

# Niebezpieczne związki, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

PIERRE CHODERLOS DE LACLOS

# *Niebezpieczne związki*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# TOM PIERWSZY

## OD TŁUMACZA

Piotr Ambroży Franciszek Choderlos de Laclos urodził się w Amiens, w roku 1741, z rodziny mieszczańskiej. Jako młody chłopiec okazywał zamiłowania literackie, dziedziczne zresztą w tym domu. Jednakże, w XVIII w. literatura nie stanowiła jeszcze zawodu; zatem młody Laclos, po odbyciu studiów, zostaje, w 20 roku życia, oficerem artylerii. Łatwość pióra i zręczność w składaniu madrygałów uczyniły go pożądanym gościem paryskich salonów: w nich też zapewne gromadzi zawczasu materiały do przyszłego arcydzieła. W r. 1774 zwraca na siebie uwagę zgrabną sztuczką pt.: *List do Malgosi*; w 3 lata później pisze operę komiczną, jednak bez szczególnego powodzenia. W r. 1778, wysłany na prowincję jako oficer inżynierii, buduje fort na wyspie Aix; tam też, może aby rozproszyć nudę zapadłego kąta i orzeźwić myśl wspomnieniem błyszczącego paryskiego świata, pisze *Niebezpieczne związki*.

Dzieło ukazało się w 1782 i zyskało niebywale powodzenie. Była to jedyna książka, jaką Laclos napisał. Później, jeśli używa pióra, to jedynie na broszury, artykuły polityczne, etc. Ferment nadciągającej rewolucji nie sprzyja snadź<sup>1</sup> plodom czystego arcyzmu. Może zraziła Laclosa i pieczołowitość policji, która umieściła jego książkę na indeksie i skazała ją na zniszczenie, jako „rozwiązłą i nieobyczajną”.

W r. 1789 Laclos, na polecenie pani de Genlis, otrzymuje miejsce sekretarza księcia Orleanu. Niebawem staje się prawą ręką i duszą polityki księcia; fama, nie zawsze zresztą sprawdzona, przypisuje autorowi *Niebezpiecznych związków* autorstwo wielu intryg przeciw prawej dynastii, jakie knuł kokietujący z ludem, ambitny Filip *Egalité*. Równocześnie ze swoim panem Laclos wstępuje do klubu jakobinów. Przewodniczy klubowi w dniu uchwalenia detronizacji Ludwika XVI. W r. 1791 redaguje „Journal des amis de la constitution”. Po ogłoszeniu republiki wraca do armii jako generał brygady; w r. 1793 dostaje się w Paryżu do więzienia; ratuje go protekcja Robespierre’a, któremu podobno Laclos układał jego mowy. Niebawem znajduje się po raz wtóry w więzieniu, z którego dopiero 9 Thermidor wyzwala go ostatecznie. Przydzielony do korpusu generała Moreau, udaje się do Włoch, gdzie umiera w Tarencie w r. 1803 na stanowisku generalnego inspektora artylerii.

Jedyna książka, jaką Laclos zostawił, zapisana jest w rzędzie trwałych bogactw literatury francuskiej. Jest ona podwójnie ciekawa; raz jako nieporównany wyraz doby, w której powstała i którą maluje, po wtóre jako arcydzieło psychologii, mało równych sobie mające. Całą książkę wypełniają jedynie sprawy miłości, tak jak wypełniały one życie „towarzystwa” tej epoki, której „kto nie znał, ten nie wie, co to słodycz życia”, jak wzdycha później jeden z jej niedobitków. Najrasowsza szlachta francuska, zamknięta, od czasów Ludwika XIV, w złotej klatce dworu i skazana na przymusową bezczynność, odsunięta stopniowo od polityki, od administracji, nie znajduje naturalnych upustów dla swoich sił życiowych. Bujna młodzież, niezbyt garnąca się do służby wojskowej, wymagającej, w nowożytnym swym przeobrażeniu, za wiele karności, dającej zbyt wiele utrudzeń, a za mało zaszczytów, zużywa temperamenty w łowach, i w tych innych łowach, w których rolę osaczanej zwierzyny gra kobieta. Przygody miłosne, oto szranki godne rozwinięcia najszlachetniejszych przymiotów, oto pole popisu dla odwagi, zręczności, żądzy sławy. „Iluż wielkich dyplomatów, iluż wielkich polityków bezimiennych, zręczniejszych niż Dubois, przenikliwszych niż Bernis, wśród tej małej gromadki ludzi, którzy uwiedzenie kobiety czynią jedynym celem swoich myśli, wielką sprawą życia, jego przewodnią ideą i zawodem! Ile studiów, wytrwałości, umiejętności, namysłu! Ile kombinacji romansopisarza i strategika?!...”. Podczas gdy część tej Francji XVIII w. filozofuje, zajmuje się problemami ekonomii, polityki, nauki, dla drugiej części miłość staje się treścią życia, rozmów, literatury, ulubioną zabawą towarzyską, przedmiotem ambicji, wszystkim.

Oczywiście, bóstwo to, obłaskawione w ten sposób i sprowadzone ze świątyni do buduaru, samo też nie mogło się uchronić od pewnych przeobrażeń. Cechą miłości w XVIII

<sup>1</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Iluż wielkich dyplomatów (...) — E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*. [przypis tłumacza]

w. (zanim przenikną wpływy Russa) jest odarcie jej ze wszystkich zasłon. Ani śladu tu z owego ubóstwienia, jakim była otoczona w wieku Ludwika XIV; ani śladu z owego języka pełnego czci i kultu dla kobiety, osłaniającego swymi religijnymi niemal formułkami całą materialną stronę miłości. To wszystko odpada; *miłość* staje się synonimem pożądania, przelotnej skłonności, „wymianą dwóch kaprysów i zetknięciem dwóch naskórków”, wedle dosadnego określenia Chamforta. Zmienia się zwłaszcza *styl* miłości. W wieku XVII najbardziej płocha Celimena czuje się w obowiązku pokrywać przelotne fantazje swej nienasyconej zalotności frazeologią wielkich uczuć; w XVIII, przeciwnie, nawet prawdziwe uczucie ukrywa się wstydliwie pod maską obojętności i cynizmu. Jeżeli przywdziewa jeszcze niekiedy szaty trubadura, czyni to jedynie chyba przez rozpustę umyslową, aby, jak Valmont w stosunku do pani de Tourvel, szukać w tej zabawie świeżych podnieć dla wyschłego serca. Syntezą epoki staje się głośne zdanie Buffona: „Jedyną rzeczą coś wartą w miłości jest jej strona fizyczna”; cały balast uczuciowy odpada, zażdość nawet wychodzi z mody, osądzona jako śmieszny i niecywilizowany przeżytek. Kobieta, rada nie rada, dostraja się do nowego stylu. Dawna bogini, która, jak słynna Julia d’Angennes, królowa *pałacu Rambouillet*, czternaście lat kazała wzdychać do siebie, nim uwieńczyła wytrwale służby, dziś godzi się na znaczne skrócenie czasu obowiązujących zalotów. Wedle powszechnie głoszonego mniemania, „wystarczy kobiecie trzy razy powiedzieć, że jest ładna, aby za pierwszym razem podziękowała, uwierzyła za drugim, a wynagrodziła za trzecim”. Przypuściwszy nawet, że kobieta — szczególnie trudna lub początkująca jeszcze w turniejach miłosnych — opiera się dłużej niż jest w zwyczaju, wówczas zaloty trwają dwa tygodnie, miesiąc wreszcie: aż nadchodzi chwila, w której dama ukazuje się ze swym wielbicielem w łożu Opery, i w ten sposób — wedle zwyczaju, ceremonii prawie, uświęconej przez światowe panie XVIII w. — przedstawia niejako oficjalnie towarzystwu uwieńczonego kochanka.

W turniejach tych kobieta przechodzi nieraz i do czynnej roli. W pustkę uczuciowego życia wciska się przede wszystkim próżność. Pozycja towarzyska kobiety zależy niemal od tego, aby przykuć do siebie, bodaj przelotnie, mężczyznę, będącego w danej chwili na świeczniku. Mężczyzna „w modzie”, oto magiczne słowo, bardziej zwycięskie niż młodość, niż uroda. Taki mężczyzna może po kobietach deptać, pomiatać nimi, urok jego będzie się wzmagał jedynie. Co rano, budząc się, zastanie przy łożku pakiet listów miłosnych, które — jak książkę Richelieu — rzuci niedbale do skrzynki z napisem: „listy, których nie miałem czasu przeczytać”. Po śmierci tego nestora złotej młodzieży znaleziono pięć nierozpieczętowanych listów, błagających, w imieniu pięciu wielkich dam, o jedną godzinę jego nocy.

O względach dla kobiet nie ma w tym wieku „galanterii” mowy, jak również nie ma mowy o dyskrecji. Życiem swoim, każdym jego dniem, tworzyć anegdotę, która mogłaby się stać uciechą i zabawą salonów, oto marzenie wszystkich tych *petit-maitre’ów*; oto, czym mierzy się ich wartość i uznanie w świecie, oto szczeble, po których wstępuje się na tron mężczyzny „w modzie”, bohatera dnia. Przygoda Prévana i jego trzech „nierozłącznych” (List LXXIX) — tak typowa dla XVIII w. przez swą czystość linii i symetrię — to jeden z wzorów tego, jakbyśmy dziś powiedzieli, *sportu*. Miejsce sentymentalnej gwary zajmuje u mężczyzn zuchwalstwo, impertynencja, smaganie szyderstwem najtkliwszych potrzeb serca. Posiąć kobietę, ani jednym czulszym słowem nie budując pomostu do usprawiedliwienia jej słabości: więcej nawet, stawiając jej przed oczy wspomnienie człowieka, którego kocha i zdradza, oto znamienity rys intelektualnej rozpusty wyziębłych don Juanów<sup>3</sup>. Do wysokości dogmatu podniesiona jest zasada, aby nie zrywać z kobietą, póki się nie posiada w ręku środków zgubienia jej.

Nie wszystkim z owych salonowych zdobywców danym był w snuciu przygód dar twórczej oryginalności. I moda miała tu swoje słowo. A słowo to brzmiało czasem paradoksem wcale interesującym: przykładem teoria — stworzona, na poparcie praktyki, przez współczesnego salonowego filozofa — iż najwyższy dowód względów i delikatności, odnośnie do kobiety, okazuje ten, kto ją bierze gwałtem; w przeciwieństwie bowiem do nieśmiałego i wyczekującego kochanka „szanuje jej wstydlivość i skrupuły, i, biorąc

<sup>3</sup>Posiąć kobietę (...) wyziębłych don Juanów — Crébillon syn, *Igraszki kącika przy kominku; Noc i chwila*. [przypis tłumacza]

całą winę na siebie, oszczędza jej długiej męczarni stopniowych ustępstw oraz bolesnego poczucia, iż uchybia samej sobie<sup>4</sup>.

Kobiety, o ile czują się na siłach, nie zostają w tyle za mężczyznami. Słabsze stają się ich łupem, silniejsze z wczesności uczą się rozpoznawać „w dzisiejszym kochanku jutrzejszego wroga” i wypracowują całą sztukę, jak z pierwszego wyssać wszystkie słodycze, nie wydając się drugiemu w ręce. Znamienne pod tym względem jest przygoda pani de Merteuil z Prévaniem (List LXXXV) i jej autobiografia (List LXXXI), do której, wedle zdania współczesnych, autor aż nazbyt wiele miał dokoła siebie wzorów. W rozpuszczeniu umysłowej, w bezwzględnym złośliwym okrucieństwie, kobieta, w pewnym swoim typie, przechodzi niemal mężczyznę. Przejmuje od niego udogodnienia życia: „Dla hodowania swoich przyjemności starają się mieć ustronne domki, zupełnie na wzór sekretnych domków ówczesnych modnisiów. Gniazdko takie kobieta sama tajemnie nabywa i urządza; odzwierzy jest z jej ramienia i wyboru, aby wszystko było na jej usługi i nic nie krępowało jej swobody, gdy zechce oszukać bodaj swego kochanka<sup>5</sup>”.

Oczywiście, przy tej łatwości obcowania płci, przy tym nadużyciu miłosnych wrażeń i upojeniu, tępieją zmysły, chłodnie wyobrażają. Stąd don Juan XVIII w. musi szukać coraz ostrzejszej zaprawy dla zużytego podniebienia: „W stosunek mężczyzny do kobiety wślizguje się jakby jakaś bezlitosna polityka, jakby ujęty w reguły system gubienia. Zepsucie staje się sztuką, w której skład po równi wchodzi okrucieństwo, wiarołomstwo, zdrada, sztuka tyranii. Machiawelizm wciska się w miłość, staje się ich dominującą nutą. Jest to chwila, w której Laclous kreśli z natury swoje *Niebezpieczne związki*, ową książkę przedziwną i okropną zarazem, która jest tym dla moralności miłosnej we Francji XVIII w., czym traktat o *Księżciu* dla moralności politycznej Włoch w wieku XVI<sup>6</sup>. Ten rys okrucieństwa w miłości znamienym jest dla epoki: przesunąwszy się z dziedziny moralnej w fizyczną, dojdzie w markizie de Sade do najpełniejszego wyrazu.

Oto tło, na którym rozgrywa się historia *Niebezpiecznych związków*. Uderzająco silną i zwartą jest budowa tej książki. Pisana w listach z zachowaniem całej wytwornej sztuki epistolarnej, tak wysoko stojącej współcześnie, mimo to nie zawiera, można powiedzieć, ani jednego zbytecznego zdania: każde ma swoją wagę, każde jest subtelnym dotknięciem pędzla, wzbogacającym całość obrazu o jakiś nowy i ciekawy szczegół. Na formie listów nie cierpi również w niczym akcja powieści: bieg jej, na wskroś dramatyczny, nawiązuje się mocno i jasno na pierwszych już kartach, płynie w skrętach i powikłaniach, aby ku końcowi pomknąć wartkim pędem ku katastrofie. Aktorów na scenie zaledwie kilkoro; jednakże węzły pomiędzy nimi pozadzierzane tak misternie i różnorodnie, iż wyczerpują niemal całą psychologię miłości we wszystkich jej rodzajach, objawach i odcieniach.

Nad akcją dominuje postać margrabiny de Merteuil, w której rączce zbiegają się wszystkie nici intrygi. Jest to niewątpliwie jeden z najsilniej narysowanych typów kobiecych żyjących w literaturze: istota o równie gorących zmysłach jak oschłym sercu, mądra i przenikliwa tak, iż Valmont, razem z całą swoją eksperymentalną psychologią, jest przy niej i w jej rękach istnym dzieckiem, owa „urocza markiza” robi chwilami wrażenie aż wprost niepokojące. Pani de Merteuil, to mimo młodego wieku weteran zahartowany jak stal w owej nieustannej wojnie miłosnej, jaką było życie „towarzystwa” XVIII w., a w której dla pełnego sukcesu nie wystarczyło rycerzowi posiąść kobietę, lecz trzeba było — mówiąc ówczesnym językiem — ją „zgubić”. Epoka, w której społecznie kobieta była pozbawiona wszelkich praw, faktycznie zaś, w panującej klasie, stała niemal ponad prawem, musiała wydawać takie typy.

Partnerem pani de Merteuil jest wicehrabia de Valmont, ciekawy zwłaszcza przez domieszkę intelektualnego dyktantyzmu: zapowiedź typu, który tyle miejsca miał zająć w późniejszej literaturze. Genealogię jego można by wywieść poniekąd od don Juana Molière, od którego wszelako Valmont jest bardziej wąty, a przynajmniej wydaje się takim przy silniejszej o wiele indywidualności pani de Merteuil. Korespondencja tych dwojga

<sup>4</sup>najwyższy dowód względów i delikatności (...) — Crébillon syn, *Igraszki kącika przy kominku; Noc i chwila*. [przypis tłumacza]

<sup>5</sup>Dla hodowania swoich przyjemności (...) — E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup>W stosunek mężczyzny do kobiety wślizguje się jakby jakaś bezlitosna polityka (...) — E. i J. de Goncourt, *La Femme au XVIII siècle*. [przypis tłumacza]

wypełnia główną część książki. W niej, zagrzewając się nawzajem w przewrotności i zepsuciu, snują wspólnie swoje plany; w niej czerpią oboje podniecie i zadowolenie miłości własnej z czynów skazanych z natury swojej na mrok tajemnicy: jedno stanowi dla drugiego publiczność. Różnica w tym, że pani de Merteuil, oddając się przyjemności tych przyjacielskich zwierzeń, nie przestaje ani na chwilę być panią swoich myśli i uczynków, nie przestaje być sobą, podczas gdy Valmont, można by powiedzieć, cały czas „zgrywa się” dla swej partnerki i, na przemian głaskany pochlebstwem i smagany drwiną, daje się prowadzić jak dziecko na pasku, nie tracąc ani na chwilę przekonania o swej rzekomej sile. Pochłonięty, o wiele więcej niż sam mniema, urokiem pani de Tourvel, Valmont wielokrotnie w zwierzeniach swoich zdrasnął panią de Merteuil w sposób, którego mu nigdy nie przebaczy. Odtąd, póty na nim wygrywa, póty go drażni i kusi, aż jej poświęci kochaną kobietę, by w zamian — rzecz najstraszliwsza dla bohatera pokroju Valmonta — zostać wystrychniętym na dudka. Wówczas, na chwilę, niby dwa wspaniale drapieżne zwierzęta, stają naprzeciw sobie do walki: walki, w której Valmont pada, zanim zdołał się opatrzyć, jak dalece był jeno igraszką w rękę tej strasznej kobiety.

Nie mniej mistrzowsko i pewnie nakreślone są inne postacie dramatu. Danceny, to sama młodość, razem z jej niewinnością i brakiem charakteru, z całą grandilokwencją i emfazą w miłości, która w próbie życiowej okazuje się nie tyle miłością danej kobiety, ile potrzebą miłości samej. Autor idzie za nim krok w krok w śliskim labiryncie tej młodzieńczej psychologii; nie oszczędza biednemu kawalerowi ani jednego kłamstewka, aby wreszcie, ustami Valmonta, wydać wyrok, który brzmi tym okrutniej, że istotnie Danceny jest szlachetnym i sympatycznym chłopcem: „Oto ludzie! wszyscy jednak zbrodniczy w swoich zamysłach, niedołęstwo, jakie wkładają w ich przeprowadzenie, nadają miano uczciwości!”. Dominującym rysem bogdanki Danceniego, Cesi, jest na wskroś kobieca podatność, skazująca ją na to, iż zawsze będzie tym, czym zrobią ją silniejsze dłonie. W swoich prawdziwych „dziejach grzechu”, od pensjonarki świeżo wypuszczonej z klasztoru, aż na powrót do furty klasztornej, przebywa ten kawałek życia jako ledwie że świadoma i ledwie że winna igraszka w zbrodniczych rękach. Jej matka, pani de Volanges, to wyborny typ osoby troszczącej się o cały świat i jego naprawę, a ślepiej na to, co się dzieje w jej własnym domu. Cechą jej, jak wielu osób specjalizujących się w cnotcie, jest pewna próżność, którą pani de Merteuil wyzyskuje po mistrzowsku. Pani de Tourvel, w pierwszej połowie książki niecierpliwą nieco swą zabójczo rezonującą doskonałością, w drugiej, kiedy przechodzi całe piekło mąk i upokorzeń, wzruszająca jest siłą uczucia i bezwzględnością oddania. Wreszcie, stara pani de Rosemonde, uroczą tym wdziękiem, który owej epoki był najprzedziwniejszym kwiatem i nad którym, zda się, ani wiek, ani choroba nie miały władzy.

Pomiędzy tymi to osobami rozgrywa się akcja powieści. Intryga jej streszczona nie dałaby w żadnej mierze obrazu dzieła. Tajemnica arcyzmu mieści się tutaj nie w wielkich liniach, ale w szczegółach, w przeprowadzeniu. Valmont kocha panią de Tourvel, która go ubóstwia, Danceny kocha Cecylię de Volanges i posiada wzajem jej serce: zdawałoby się, że z tej podwójnej sielanki nie sposób wykrzesać nic zajmującego! W jaki sposób Valmont depcze serce swej ukochanej, tak, iż staje się przyczyną jej śmierci; dlaczego po drodze łamie życie małej Cesi i sam ginie z ręki Danceniego, to tajemnica margrabiny de Merteuil i głębokiej polityki jej kobiecego machiawelizmu. Pani de Tourvel ośmieliła się tchnąć w Valmonta uczucie o tkliwszym i szlachetniejszym wyrazie, niż je żywił kiedyś dla pani de Merteuil — więc zginie. Nie ma dla niej ratunku ani przebaczenia. Valmont drasnął niezręcznie panią de Merteuil wynurzeniami swej miłości dla innej i odważył się pokrzyżować kaprys jej dla Danceniego — więc zginie. Cesia jest narzeczoną człowieka, który niegdyś ośmielił się pierwszy porzucić panią de Merteuil, zatem hańba jej jest postanowiona, iżby, wnosząc ją w dom przyszłego męża, pomściła tę zniewagę. Oto kobieta-demon, salonowy wprawdzie, ale jeden z najbardziej rasowych, jakie wydała literatura. A jaka miła, jaka mądra! Dostać się w jej ręce nie radzę, ale porozmawiać z nią życzę każdemu.

Ciekawe były koleje tej książki. Wkrótce po ukazaniu się entuzjastycznie powitana przez jeden z bystrzejszych umysłów krytycznych tej epoki, Grimma, zyskuje olbrzymią

poczytność i rozgłos, niewolny jednak od przymieszki skandalu<sup>7</sup>. Skazane na zniszczenie przez policję, zapomniane później wśród wulkanicznych wstrząśnień tworzącego się nowego społeczeństwa, dzieło to znika z horyzontu na lat niemal sto. Sainte-Beuve zaledwie o nim wspomina, romantycy obrzucają je wzgardą. Ku końcowi XIX wieku, w epoce rozkwitu psychologicznego romansu, imię autora *Niebezpiecznych związków* nabiera nowego blasku. Autor *Kwiatów grzechu*, Baudelaire, który nie mógł pozostać nieczułym na niezdrowy urok wydzielający się z kart tej powieści, opatrzył ją następującym nadpisem: „Ta książka, jeżeli parzy, parzyć może jedynie na kształt lodu”. Dziś powieść ta stałaby niechybnie „z buzią w ciup” na półkach między klasykami, gdyby nie to, że historycy literatury wciąż pobożnie się odzęgnują na jej wspomnienie. Przebywa zatem dotąd w regionach „literatury gorszącej”, zalotnie a niepokojąco z dala strzygąc okiem w stronę Pascala i Bossueta. Spotkają się kiedyś...

Boy

Kraków, 1912

## PRZEDMOWA NAKŁADCY<sup>8</sup>

Poczujemy się do obowiązku uprzedzenia czytelników, że mimo tytułu dzieła nie ręczymy za autentyczność tego zbioru, a nawet mamy poważne przyczyny mniemać, iż jest jedynie prostym powieściowym zmyśleniem.

Co więcej, zdaje się nam, że autor, mimo iż wyraźnie zabiega o prawdopodobieństwo, zniweczył je sam, i to bardzo niezręcznie, przez wybór epoki, w której umieścił opisywane wypadki. W istocie, większość osób, które wprowadza, tak mocno szwankuje na punkcie obyczajów, iż niepodobna przypuszczać, aby żyły w naszym stuleciu: w stuleciu filozofii, w którym rozlewająca się na wszystkie strony oświata, uczyniła, jak każdemu wiadomo, mężczyzn tak pełnymi zacności, a kobiety skromności i cnoty.

Sądźmy zatem, iż jeżeli wypadki opisane w tym dziele mają jakiś podkład prawdy, mogły się one zdarzyć jedynie albo w innym miejscu, albo w innym czasie. Mamy wielce za złe autorowi, że uwiedziony wyraźnie nadzieją wzbudzenia żywszego interesu<sup>9</sup> czytelnika przez większe zbliżenie się do swego kraju i epoki ośmielił się, we współczesnych kostiumach i w świetle naszych stosunków, odmalować obyczaje tak bardzo nam obce.

Aby, o ile w naszej mocy, uchronić zbyt dobrodusznego czytelnika od pułapki, którą zastawiono jego łatwowierności, poprzemy nasze mniemanie pewnym rozumowaniem. Przedkładamy mu je z całą ufnością, ponieważ wydaje się nam przekonywującym i nieodpartym; a mianowicie: te same przyczyny musiałyby przecież sprowadzać te same skutki, a przecież nie widzimy dzisiaj, aby panna mająca sześćdziesiąt tysięcy funtów rocznej renty wstępowała do klasztoru, ani też, aby jaka prezydentowa, do tego młoda i ładna, umierała ze zgrzytot sumienia.

J. J. Rousseau, Przedmowa do Nowej Heloizy

<sup>7</sup>rozgłos niewolny jednak od przymieszki skandalu — „(...) Nie ma w istocie książki, nie wyłączając Crébillona i jego naśladowców, w której skażenie zasad i obyczajów tego, co nazywa się *dobrym towarzystwem*, byłoby odmalowane z większą naturalnością, śmiałością i dowcipem: nie można się tedy dziwić, iż mało którą nowość przyjęto z takim zapalem; jeszcze mniej należy się dziwić temu, iż kobiety czują się obowiązane oburzać na tę książkę. Mimo całej przyjemności, jaką mogła im sprawić jej lektura, nie była ona wolna od żądła: w jaki sposób człowiek, który tak dobrze je zna, a tak źle dochowuje ich tajemnicy, nie miałby uchodzić za potwora?” („Correspondance littéraire”, kwiecień 1782). [przypis tłumacza]

<sup>8</sup>Przedmowa — Przedmowa nakładcy jest również pióra Laclosa i stanowi jedynie ironiczną mistyfikację czytelnika. [przypis tłumacza]

<sup>9</sup>interes — tu: zainteresowanie. [przypis edytorski]

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## LIST I

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay w klasztorze urszulanek w \*\*\**

Widzisz, droga przyjaciółko, że dotrzymuję danego słowa i że czepeczki i stroiki nie pochłonęły tak dalece całego mego czasu, aby mi go nie zostało zawsze dla ciebie pod dostatkiem. A przecież w tym jednym dniu napatrzyłam się więcej strojów niż w ciągu czterech lat, które spędziłyśmy razem w klasztorze. Mama zasięga we wszystkim mego zdania; czuję, że jestem w jej oczach daleko mniej pensjonarką niż poprzednio. Mam własną pannę służącą, pokój i salonik wyłącznie dla siebie; piszę do ciebie na prześlicznym biureczku, do którego dostałam klucz i gdzie mogę chować i zamykać, co mi się podoba. Mama oznajmiła, że będę ją widywała codziennie przy wstawianiu; wystarczy, jeżeli będę uczesana do obiadu, i wówczas uwiadomi<sup>10</sup> mnie co dzień, gdzie mam się z nią spotkać popołudniu. Resztą czasu mogę rozrządzać zupełnie do woli; mam swoją harfę, rysunki i książki, jak w klasztorze; z tą różnicą, że nie ma matki Annuncjaty, która by mi sypała bury<sup>11</sup>, i że, gdybym chciała, mogłabym nic nie robić od rana do wieczora; że jednak nie mam przy sobie mojej Zosi, z którą bym mogła śmiać się i gawędzić, wolę przeto skracać czas jakimś zatrudnieniem.

Jest zaledwie piąta; z mamą mam się spotkać dopiero o siódmej; czasu więc byłoby aż nadto, gdybym tylko miała coś do zwierzenia! Ale jeszcze nic a nic nie wiem; gdyby nie przygotowania, na jakie patrzę codziennie, i nie mnóstwo robotnic, które kręcą się tu wyłącznie tylko dla mnie, mogłabym myśleć, że nikomu się nie śni wydawać mnie za męża i że to była zwykła gadanina pocziwej Józefy. Jednakże matka powtarzała mi tak często, że panienska powinna zostawać w klasztorze aż do chwili zamążpójścia, że skoro mnie odebrano, Józefa musi chyba mieć słuszość.

Jakiś pojazd zatrzymał się przed bramą i mama kazała mnie zawołać natychmiast do siebie. Czyżby to miał być... Jestem nieubrana, ręce mi drżą i serce tłucze się we mnie. Pytam panny służącej, czy nie wie, kto jest u matki. „Owszem — odparła — pan C\*\*\*”. To mówiąc, zaczęła się śmiać. Och, mam jakieś przecucie, że to on. Wróć zaraz, aby ci opowiedzieć, jak się wszystko odbyło. Wiem przynajmniej już, jak się nazywa. Spieszę, aby nie dać na siebie czekać zbyt długo. Do widzenia, za małą chwileczkę.

Toż będziesz sobie żartować z głupiutkiej Cesi! Och, jakże się zawstydyłam! Ale i ty bylabys się złapała tak samo. Wszedłszy, ujrzałam czarno ubranego pana, który stał koło mamy. Ukłoniłam się najwdzięczniej, jak mogłam i zatrzymałam się w miejscu, niby wrośnięta w posadzkę. Możesz sobie wyobrazić, jak mu się przyglądałam! „Pani — rzekł do matki, oddając mi ukłon — córeczka jest zachwycająca i tym żywiej przychodzi mi odczuwać łaskę, jaką mnie pani darzy”. Na to tak wyraźne oświadczenie poczęłam drzeć na całym ciele, nie mogłam utrzymać się na nogach; na szczęście, spostrzegłam w pobliżu fotel: usiadłam, cała czerwona i pomieszana. Ledwie zdążyła to uczynić, już człowiek ten znalazł się u moich kolan. Wówczas twoja biedna Cesia straciła do reszty głowę; byłam, jak mówi mama, zupełnie nieprzytomna. Zerwałam się, wydając przeraźliwy krzyk... Ot, jak wtedy, podczas burzy, pamiętasz? Na to mama parsknęła śmiechem, mówiąc: „Co tobie, dziecko? Usiądźże i podaj panu nogę”. Moja złota, pokazało się, że ten pan, to po prostu szewc. Nie umiem ci opisać, jak bardzo się zawstydyłam: na szczęście nikogo nie było prócz mamy. Sądzę, iż skoro wyjdę za męża, nigdy nie wezwę już tego szewca.

Przyznaj, że my, doprawdy, dużo wiemy o świecie! Do widzenia. Już blisko szósta; panna służąca mówi, że czas się ubierać. Do widzenia, Zosiu droga; kocham cię tak, jak gdybym jeszcze była w klasztorze.

PS Nie wiem, przez kogo posłać list: zaczekam, aż przyjdzie Józefa.

*Paryż, 3 sierpnia 17\*\**

<sup>10</sup>uwiadomić — zawiadomić, powiadomić. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>sypać bury — ostro upominać. [przypis edytorski]



## LIST II

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont w zamku \*\*\**

Wracaj, drogi wicehrabio<sup>12</sup>, wracaj; cóż ty tam robisz, co możesz robić u starej ciotki, która cały majątek zapisała już na twoje imię? Ruszaj natychmiast w drogę: potrzebny jesteś. Przyszła mi do głowy wspaniała myśl i tobie pragnę powierzyć wykonanie. Te kilka słów powinny by wystarczyć: aż nazbyt zaszczycony wyborem powinien byś stawić się z całym pośpiechem, aby na kolanach odebrać me rozkazy. Ale ty nadużywaś mej dobroci, nawet wówczas, kiedy przestałaś z niej korzystać, i w wyborze, jaki mam przed sobą, albo wieczystej nienawiści, albo bezgranicznego pobażania dla ciebie, jedynie szczęściu swemu zawdzięczasz, iż dobroć moja bierze górę. Zatem spieszę wtajemniczyć cię w swoje zamysły: lecz przysiąż<sup>13</sup>, że, jako wierny rycerz, nie pogonisz za żadną inną przygodą, póki tej nie doprowadzisz szczęśliwie do końca. Jest ona zaprawdę godną bohatera: masz służyć razem miłości i zemście; słowem, będzie to jedno dzieło więcej do umieszczenia w twoich pamiętnikach: tak, w twoich pamiętnikach, gdyż chcę koniecznie, aby kiedyś ukazały się w druku i sama podejmuję się je spisywać. Ale zostawmy je na razie, a wróćmy do tego, co mnie w tej chwili zaprzęta.

Pani de Volanges wydaje za mąż córkę: to jeszcze tajemnica: ale zwierzyła mi ją od wczoraj. I kogo, myślisz, wyszukała za zięcia? Hrabiego de Gercourt. Któż by powiedział, że ja mam zostać kuzynką Gercourta? Po prostu nie posiadam się z wściekłości... Jak to! Nie domyślasz się jeszcze? O głowo niepojętna! Czyżbyś mu już przebaczył przygodę z intendentową<sup>14</sup>? A ja, czyż nie więcej jeszcze mam przyczyn uważać się na niego, ty potworze<sup>15</sup>? Ale panuję nad gniewem i nadzieja zemsty rozpogadza mą duszę.

Sto razy musiała ci się dać we znaki, tak samo jak i mnie, owa nadęta uroczyść, z jaką Gercourt rozprawia o tym, co za wszelakie przymioty musi posiadać jego przyszła żona, oraz głupia zarozumiałość, która każe mu mniemać, iż on właśnie zdoła uniknąć nieuniknionego losu. Znasz jego śmieszne urojenia na punkcie klasztornego wychowania i jeszcze o wiele śmieszniejszy przesąd co do chłodnego temperamentu blondynek. W istocie, mogłabym się założyć, że, mimo sześćdziesięciu tysięcy renty małej Volanges, nigdy nie przyszłoby mu na myśl małżeństwo, gdyby panna była brunetką lub gdyby nie chowała się w klasztorze. Przekonajmy go zatem, że jest tylko głupcem i... czymś więcej: zostałby nim z pewnością prędzej czy później; nie o to się też kłopotę; lecz byłoby zabawne, gdyby już od tego rozpoczął. Jakżebyśmy się przednio<sup>16</sup> bawili nazajutrz, słysząc, jak się chepli! Bo będzie się cheplił z pewnością; a przy tym, skoro już raz ty się zajmiesz postanowieniem pierwszych kroków tej dziewczyny, trzeba by dziwnego nieszczęścia, aby Gercourt nie stał się z czasem, jak tyłu innych, przedmiotem zabawy<sup>17</sup> całego Paryża.

Zresztą bohaterka tego nowego romansu zasługuje w zupełności na twoje starania: jest naprawdę ładna; ot, dzieciak piętnastoletni, istny pączek róży; nieprawdopodobnie naiwna i bez najmniejszej sztuki: ale was mężczyzn taka rzecz nie odstrasza: ma przy tym w spojrzeniu jakąś tkliwą omdłość, doprawdy bardzo obiecującą. Dodaj do tego, że ja ją polecam; nie pozostaje ci nic, jak tylko podziękować i posłuchać.

List ten dostanie się do twoich rąk jutro rano. Rozkazuję, abyś jutro, o siódmej wieczór, zjawił się u mnie. Nie przyjmę nikogo przed ósmą, nawet mego *panującego* kawalera: on nie ma dosyć głowy na tak ważne przedsięwzięcie. Widzisz, że miłość mnie nie zaśle-

<sup>12</sup>wicehrabia — tytuł odnoszący się do rodziny hrabiowskiej, gdzie tytuł hrabiego przypadł najstarszemu członkowi rodu, zaś tytuł wicehrabiego jego synowi; funkcjonował także we Francji jako samodzielny tytuł arystokratyczny, nadawany rodzinom bez tytułu hrabiowskiego. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>przysiąż — dziś popr.: przysięgnij. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>intendentowa — żona intendenta; *intendant*: urząd administracyjny w prowincjach francuskich przed rewolucją. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>mam zostać kuzynką Gercourta? (...) — aby zrozumieć ten ustęp, trzeba wiedzieć, że hrabia de Gercourt opuścił markizę de Merteuil dla intendentowej \*\*\*, która poświęciła dla niego wicehrabiego de Valmont i że wówczas markiza i wicehrabia zbliżyli się do siebie. Ponieważ zdarzenie to sięga znacznie wcześniej niż wypadki, o których mowa w niniejszych listach, przeto autor uważał za stosowne pominąć całą odnośną korespondencję. [przypis tłumacza]

<sup>16</sup>przednio (daw.) — znakomicie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>zabawa — tu: rozrywka, uciecha, żarty. [przypis edytorski]

pia. O ósmej zwrócę ci swobodę, o dziesiątej zaś wrócisz, aby wieczerzać wraz z pięknym przedmiotem twoich zabiegów: matka i córka będą jutro u mnie. Do widzenia; minęło już południe. Niebawem przestanę się tobą zajmować.

Paryż, 4 sierpnia 17\*\*

## LIST III

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Niczego jeszcze się nie dowiedziałem, droga. Wczoraj było u mamy dużo gości. Mimo ciekawości, z jaką przypatrywałam się całemu towarzystwu, zwłaszcza panom, wynudziłam się straszliwie. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, przyglądali mi się wytrwale, a potem szeptali sobie do ucha; wiedziałam doskonale, że rozmawiają o mnie: czułam, że się czerwienię, a nie mogłam się powstrzymać. Bardzo zła byłam na siebie, zauważyłam bowiem, że gdy się przyglądano innym kobietom, one się nie czerwieniły. A może to tylko dlatego, że się różują<sup>18</sup>, nie widać po nich, gdy są zakłopotane, bo trudno chyba nie zaczerwienić się, kiedy mężczyzna wpatruje się tak natarczywie.

Najwięcej niepokoiło mnie to, że nic nie wiem, co oni sobie wszyscy o mnie myślą. Zdawało mi się jednak, że dosłyszałam parę razy słowo *ładna*, ale na pewno usłyszałam również *niezręczna*; i to z pewnością musi być prawda, gdyż pani, która to mówiła, jest krewną i przyjaciółką matki; zdaje się, że i dla mnie nabrała od razu dużo sympatii. To jedyna osoba, która trochę rozmawiała ze mną w ciągu wieczoru. Jutro mamy być u niej na kolacji.

Słyszałam jeszcze później, jak jakiś pan (jestem pewna, że mówił o mnie), odezwał się do drugiego: „Niechże to jeszcze dojrzeje, zobaczymy tej zimy”. Może to on właśnie ma się ze mną żenić, ale to by znaczyło, że dopiero za cztery miesiące! Chciałabym bardzo wiedzieć, jak jest w istocie.

Przyszła właśnie Józefa, aby zabrać list, mówi, że jej pilno. Ale muszę ci opowiedzieć jeden jeszcze przykład mojej niezręczności. Och! Zdaje mi się, że ta pani ma słusność!

Po kolacji wszyscy zasiedli do gry. Usadowiłam się tuż koło mamy; nie wiem, jak się stało, ale zasnęłam prawie natychmiast. Obudził mnie głośny wybuch śmiechu. Nie wiem, czy ze mnie się śmiano, ale przypuszczam. Mama pozwoliła mi iść do siebie, czym mi zrobiła wielką przyjemność. Wyobraź sobie, było już po jedenastej! Do widzenia, Zosiu droga, kochaj zawsze mocno swoją Ceškę. Zaręczam ci, że *świat* nie jest tak zabawny, jak nam się wydawał w marzeniach.

Paryż, 4 sierpnia 17\*\*

## LIST IV

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil w Paryżu*

Rozkazy twoje, markizo<sup>19</sup>, są czarujące; sposób, w jaki je wydajesz, jeszcze bardziej uroczy: przy tobie, pani, byłbym zdolny pokochać despotyzm. Nie pierwszy to raz, jak ci wiadomo, ubolewam, iż nie jestem już twoim niewolnikiem; mimo nazwy *potwora*, jaką mnie obdarzasz, najmilej zawsze wspominam czasy, kiedy zaszczycłaś mnie bardziej słodkimi imionami<sup>20</sup>. Często nawet marzę o tym, aby zasłużyć je na nowo i aby już do końca dni wytrwać u twoich stóp, pani, dając całemu światu przykład budującej stałości. Ale ważniejsze przeznaczenia wołają nas w tym życiu; losem naszym jest zdobywać; trzeba iść tedy<sup>21</sup> drogą, jaką nam pisano. Może kiedyś, na schyłku naszego zawodu, spotkamy

<sup>18</sup>*różować się* — barwić sobie różem policzki. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*markiza* — żona markiza; *markiz*: tytuł arystokratyczny sytuujący w hierarchii społecznej między hrabią a księciem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*imiony* — dziś N.Im: imionami. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*tedy* (daw.) — więc. [przypis edytorski]

się jeszcze; niech mi bowiem wolno będzie powiedzieć bez urazy, pani, śliczna markizo, postępujesz co najmniej równym krokiem ze mną, i od czasu jak, rozłączywszy się ku pożytkowi świata, niesiemy naszą ewangelię<sup>22</sup> każde na swoją rękę, zdaje mi się, że w tym posłannictwie miłości, ty więcej ode mnie zdobyłaś już wyznawców. Znam twoje poświęcenie, twą płomienną żarliwość; zaprawdę, gdyby to bóstwo miało nas sądzić po dziełach, ty byłabyś kiedyś patronką dużego miasta, podczas gdy twój przyjaciel i sługa zostałby ledwie pokątnym świętym jakiej mizernej wioseczki. Ten budujący styl musi cię nieco dziwić, markizo, nieprawdaż? Ale od całego tygodnia nie słyszę innego, nie mówię innym; co więcej, aby się w nim doskonalić, zmuszony jestem być ci, pani, nieposłusznym.

Nie gniewaj się, markizo, i wysłuchaj. Tobie, skarbniczce wszystkich tajemnic mego serca, powierzę największy zamiar, jaki kiedykolwiek urodził się w mej głowie. Do czegoż ty mnie, markizo, chcesz użyć? Bym uwiódł młodą dziewczynę, która nic nie widziała, o niczym nie ma pojęcia; która byłaby mi niejako wydana na łup bez żadnej obrony; którą wprawiliby w upojenie pierwszy hołd spotkany w życiu, a ciekawość poprowadziłaby szybciej jeszcze niż miłość. Dwudziestu mogłoby tutaj dojść do celu nie gorzej ode mnie. Zupełnie inaczej mają się rzeczy w przedsięwzięciu, które mnie zaprzęta: tutaj powodzenie zapewnia mi tyleż chwały, co rozkoszy! Miłość, która gotuje się<sup>23</sup> wieńcem przystroić mą głowę, waha się sama pomiędzy mirtem<sup>24</sup> a laurem<sup>25</sup> lub raczej połączy oba, aby godnie uczcić zwycięstwo. Ty sama, piękna przyjaciółko, staniesz przejęta świętym podziwem i z zapalem wykrzykniesz: „Oto, zaprawdę, mąż wedle serca mego<sup>26</sup>”.

Znasz, markizo, prezydentową de Tourvel, jej pobożność, jej miłość małżeńską, surowe zasady. Oto forteca, do której szturm przypuszczam: oto godny mnie nieprzyjaciel, oto cel, który pragnę osiągnąć.

A jeśli chlubnej ceny nie sięgnę zwycięstwa,  
Zdobędę bodaj zaszczyt daremnego męstwa.

Można cytować liche wiersze, gdy pochodzą spod pióra wielkiego poety<sup>27</sup>

Dowiedz się zatem, że prezydent bawi w Burgundii<sup>28</sup>, dokąd udał się dla ważnego procesu (mam nadzieję, że przyprawię go o przegranie jeszcze ważniejszego). Niepocieszona połowica ma zostać tutaj przez cały czas żalosego wdowieństwa. Codzienna msza, odwiedziny biednych w okolicy, poranna i wieczorna modlitwa, samotne przechadzki, nabożne rozmowy z moją starą ciotką i od czasu do czasu nudna partia wiska<sup>29</sup>, miały stanowić jedynie jej rozrywki. Tuszę<sup>30</sup> sobie, że uda mi się zgotować jej inne, nieco bardziej ożywione. Dobry anioł przywiódł mnie tutaj dla jej i mego szczęścia. Szalony! Żałowałem dwudziestu czterech godzin, które musiałem poświęcić względem rodzinnej powinności. Jakżeż czułbym się ukarany, gdyby mnie kto dziś zmusił do powrotu do Paryża! Na szczęście, potrzeba czterech osób, aby móc grać w wiskę; że zaś tu znajduje się pod ręką jedynie miejscowy proboszcz, moja nieśmiertelna ciotka nalegała bardzo, abym jej choć kilka dni poświęcił. Zgadujesz, markizo, że nie dałem się prosić. Nie wyobrażasz sobie, jak pocziwina rozplywa się nade mną od tego czasu, a zwłaszcza, jak jest zbudowana tym, iż regularnie zjawiam się na codziennych modłach i na mszy. Ani podejrzewa, jakiemu bóstwu niosę hołdy.

Oto więc od czterech dni pochłania mnie silna namiętność. Znasz mnie; wiesz zatem, czy umiem żywo pragnąć, czy umiem dawać sobie rady z przeszkodami: ale nie wiesz, jak

<sup>22</sup>*ewangelia* — dosł. dobra nowina; tu: zestaw zasad a. nauka moralna. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*gotować się* — tu: przygotowywać się. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*mirt* — krzew o wonnych liściach, w judaizmie wykorzystywany jako element świątecznego bukietu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*laur* — wieniec z liści wawrzynu w starożytnej Grecji i Rzymie służący do dekoracji zwycięzców. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Oto, zaprawdę, mąż wedle serca mego* — nawiązane do *Dziejów apostoelskich* (Dz 13,22): „Znalazłem Dawida, syna Jessego, męża wedle serca mego, który czynić będzie każdą wolę moją” (przekład Jakuba Wujka). [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*A jeśli chlubnej (...) spod pióra wielkiego poety* — La Fontaine’a. [przypis tłumacza]

<sup>28</sup>*Burgundia* — kraina historyczna w środkowej Francji. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*wisk* — wist, gra karciana, poprzedniczka brydża. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*tuszyć* (daw.) — spodziewać się czegoś, mieć nadzieję; por. *otucha*. [przypis edytorski]

bardzo osamotnienie wzmaga gorączkę pragnienia. Żyję wyłącznie tym jednym: myślę o niej we dnie, śnię w nocy. Muszę mieć tę kobietę, aby się ocalić od śmieszności zakochania: dokąd bowiem nie zdoła zaprowadzić niezaspokojone pragnienie? O słodka sytości! Przyzywam cię dla mego szczęścia, a zwłaszcza spokoju. Jakież to szczęście dla nas, że kobiety tak słabo się bronią! Inaczej byłibyśmy wobec nich stadem kornych<sup>31</sup> niewolników. W tej chwili ogarnęło mnie uczucie głębokiej wdzięczności dla kobiet łatwych, które to uczucie, najprostszą drogą, zawiodło mnie do twoich stóp, markizo. Pochyliam się do nich, aby uzyskać przebaczenie i kończę zbyt długi list: do widzenia, uroczą przyjaciółko, i bez urazy.

Z zamku \*\*\*, 5 sierpnia 17\*\*

## LIST V

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Czy wiesz, wicehrabio, że twój list silnie przekracza dozwolone granice zuchwalstwa i że miałabym wszelkie prawo obrazić się? Dowiódł mi jednak zarazem, iż straciłeś zupełnie głowę, i to jedno ocaliło cię od mego oburzenia. Jako wspaniałomyślna i tkliwa przyjaciółka, zapominam o mojej zniewadze, aby jedynie myśleć o twoim niebezpieczeństwie; i jakkolwiek nudną jest rzeczą przemawianie do rozsądku, i na to się odważę przez wzgląd, iż snadź<sup>32</sup> bardzo tego potrzebujesz.

Ty, zdobywający prezydentową Tourvel! Cóż za kaprys pocieszny! Poznaję twoją wariacką głowę, która umie pragnąć tylko tego, czego uzyskanie zdaje się niepodobieństwem. I cóż ty widzisz w tej kobiecie? Rysy regularne, jeżeli chcesz, przyznaję, ale bez cienia wyrazu: nieźle zbudowana, ale bez wdzięku, ubrana zawsze wprost śmieszne! Te chusteczki, które opatulają jej piersi, ten biust sięgający aż gdzieś pod brodę! Powiadam ci jako przyjaciółka, wystarczyłoby ci mieć już nie dwie, ale jedną kobietę tego pokroju, by stracić całą reputację. Przypomnij sobie tylko dzień, w którym ona kwestowała w kościele św. Rocha, kiedy tak dziękowałeś mi, że ci dostarczyłam tego widowiska. Zdaje mi się, że ją widzę jeszcze, jak się prowadzi pod rękę z tą swoją długowłosą tyczką, gotowa przewrócić się przy każdym kroku, jak wiecznie zawadza o czyjaś głowę swoim łokciowym robrońem<sup>33</sup>, rumieni się przy każdym ukłonie! Któż by wówczas powiedział, że tobie się zachce kiedyś tej kobiety? Ech, wicehrabio, ty sam zarumień się ze wstydu i opamiętaj zawczasu. Przyrzekam ci solenną tajemnicę.

A zresztą, zastanów się nad zawodami, jakie cię czekają! Jakiegoż to rywala wypadnie ci zwalczać? Męża! Czy nie upokarza cię już samo zestawienie? Cóż za hańba, jeżeli poniesiesz klęskę! A na odwrót, w razie zwycięstwa, jakże mało zaszczytu! Więcej powiem: nie spodziewaj się żadnej przyjemności. Czyż można zaznać jej ze skromniami? Mówię oczywiście o szczerych: wstrzeźliwie nawet w samej godzinie upojenia, zawsze dadzą ci jedynie jakieś pół rozkoszy. To zupełne oddanie całej siebie, ten szal zmysłów, w którym rozkosz oczyszcza się własnym bezmiarem, ta najwyższa łaska miłości, to wszystko jest im zupełnie nieznane. Przepowiadam ci; w przypuszczeniu najszcześniejszej możliwości, twoja prezydentowa będzie mniemała, iż wszystko uczyniła dla ciebie, racząc cię tak, jak raczy swego małżonka: w sam na sam zaś małżeńskim, chociażby najczulszym, zostaje zawsze dwoje, a nie *jedno*. Tutaj rzecz ma się jeszcze o wiele gorzej: twoja skromnista jest nabożna i to tą nabożnością kumoszek<sup>34</sup>, która skazuje kobietę na wieczyste dzieciństwo. Może uda ci się nagiąć tę zaporę, lecz nie pochlebiaj sobie, byś zdołał ją zniweczyć: zwycięzys może miłość Boga, lecz nie obawę przed diabłem; i skoro, trzymając kochankę w ramionach, uczujesz, iż serce jej bije, będzie ono biło ze strachu, a nie z miłości. Może gdybyś poznał tę kobietę wcześniej, byłbyś może coś z niej zrobił; ale dziś ta lala ma dwadzieścia dwa lata, a już blisko dwa lata, jak wyszła za męża. Wierzaj mi, wicehrabio, gdy

<sup>31</sup>korny — pokorny. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>snadź (daw.) — zapewne, prawdopodobnie, widocznie. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>robrown — suknia o sztywnej spódnicy, z przodu spłaszczonej, z tyłu wydłużonej. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>kumoszka — wścibska, gadatliwa kobieta. [przypis edytorski]

kobieta *zapuści* się do tego stopnia, trzeba ją zdać już losowi; na zawsze zostanie tylko kwoczką.

I dla tego to uroczego przedmiotu odmawiasz mi posłuszeństwa, zakopujesz się żywcem w grobowcu swej ciotki i wyrzekasz się przygody najrozkoszniejszej w świecie i najbardziej stworzonej, aby przysporzyć ci chwały? Cóż za fatalność chce, aby ten Gercourt zawsze miał jakieś pierwszeństwo przed tobą? Słuchaj, mówię bez gniewu: ale w tej chwili skłonna byłabym doprawdy uwierzyć, że nie wart jesteś swojej reputacji, przede wszystkim zaś jestem skłonna odebrać ci moje zaufanie. Nie umiałabym zwierzać swoich tajemnic kochankowi pani de Tourvel.

Dowiedz się zresztą, że mała Volanges zdążyła już zawrócić komuś głowę. Młody Danceny szaleje za nią. Śpiewali kiedyś razem: w istocie ta gąska śpiewa o wiele lepiej, niżby przystało wychowawicy klasztoru. Mają przechodzić z sobą różne duety i sądzę, że, co do niej, chętnie byłaby gotowa dostroić się do unisona<sup>35</sup>: ale ten Danceny to dzieciak, który straci cały drogi czas na gruchaniu i do niczego nie dojdzie. Osóbka jest, ze swej strony, dosyć dzika i gdyby nawet coś się stało, będzie to z pewnością o wiele mniej zabawne, niż gdybyś ty się chciał tym zająć: toteż wściekła jestem i z pewnością zrobię scenę kawalerowi, skoro się tu pojawi. Radzę mu, aby był potulny; w tej chwili bowiem nic by mnie nie kosztowało zerwać z nim na dobre. Jestem pewna, że gdyby mi przyszło do głowy teraz go porzucić, byłby w prawdziwej desperacji; a nic mnie tak nie bawi, jak te miłośne rozpaczki; z pewnością nazwałby mnie „przewrotną”. To słowo „przewrotna” zawsze robiło mi przyjemność; jest to po słowie „okrutna” najsłodsza nazwa dla ucha kobiety, a mniej ciężko przychodzi na nią zapracować. Doprawdy, muszę zastanowić się poważnie nad tym zerwaniem. No i sam widzisz, czego stałeś się przyczyną! Niechaj to spadnie na twoje sumienie. Do widzenia. Chciej mnie polecić modłom prezydentowej.

*Paryż, 7 sierpnia 17\*\**

## LIST VI

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Czyż więc nie ma na świecie kobiety, która by nie nadużywała władzy, jaką zdobędzie? Więc i ty, ty, którą nazywałem tak często najpobłażliwszą przyjaciółką, i ty zrzucasz się z roli i nie wzdragasz się ranić mnie tak dotkliwie w przedmiocie mych uczuć! Jakimiż to rysami ośmielasz się malować panią de Tourvel!... Któryż mężczyzna życiem by nie przypłacił tego bezprzykładnego zuchwalstwa? Na którąż inną kobietę nie ściągnęłoby to przynajmniej bolesnego odwetu? Przez litość, nie wystawiaj mnie na tak ciężkie próby; nie rękę, czy zdołałbym je przetrzymać. W imię przyjaźni, zaczekaj, aż będę miał tę kobietę, jeżeli chcesz ją zożydzać. Czyż nie wiesz, że jedynie rozkosz ma prawo zdejmować z oczu przepaskę miłości?

Ale co ja mówię? Czyż pani de Tourvel potrzebuje uciekać się do pomocy złudzeń? Nie: aby być godną uwielbienia, wystarczy jej być sobą. Zarzucasz jej, że się źle ubiera; chętnie wierzę: wszelkie ubranie jej szkodzi, wszystko, co ją zakrywa, ujmuje jej wdzięk. Dopiero w swobodnej prostocie domowego stroju staje się naprawdę czarująca. Dzięki straszliwym upałom, jakie nam tutaj dokuczają, prosty szlafroczek ze zwykłego płótna pozwala mi podziwiać jej krągłą i gibką kibić<sup>36</sup>. Cieniutki muślin<sup>37</sup> zaledwie przysłania piersi: spojrzenia moje, przelotne, lecz bystre, zdołały już ogarnąć ich niezrównane kształty. Twarz, powiadasz, nie ma wyrazu. I cóż miałyby wyrażać w chwili, gdy nic nie przemawia do jej serca? Nie, to pewna, nie spotkasz u niej, jak u naszych zalotniś, owego kłamliwego spojrzenia, które czaruje nas niekiedy, a zwodzi zawsze. Ona nie umie podrywać pustki zdawkowych wyrazów za pomocą wyuczzonego uśmiechu: jakkolwiek posiada zębki najładniejsze w świecie, śmieje się tylko z tego, co ją bawi. Ale trzeba też widzieć

Miłość, Rozkosz, Przyjaźń,  
Rozczarowanie

<sup>35</sup>*unisono* — wykonywanie melodii przez różne głosy lub instrumenty w dźwiękach identycznej wysokości.  
[przypis edytorski]

<sup>36</sup>*kibić* — część tułowia od ramion do bioder; talia. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*muślin* — przezroczysta, cienka tkanina. [przypis edytorski]

w czasie najniewinniejszej igraszki, ile w jej twarzy odbija się naiwnej i szczerzej wesołości! Jak, wobec nieszczęśliwego, któremu śpieszy skwapliwie z pomocą, spojrzenie jej zwiastuje czystą radość i dobroć tak pełną współczucia! Trzeba widzieć przede wszystkim, jak przy najmniejszym słowie pochwały lub przymilenia maluje się na jej niebiańskiej twarzy cudowne zakłopotanie bynajmniej niepodrabianej skromności!... Jest skromna i nabożna, stąd wnosisz, iż musi być zimną i bezduszną? Ja myślę zupełnie inaczej. Jakież zdumiewające dary tkliwości trzeba posiadać, aby je przelewać aż na własnego męża i kochać stale przedmiot stale nieobecny? Jakiegoż silniejszego dowodu mogłabyś jeszcze pragnąć? A jednak umiałem postarać się o jeszcze inny.

Pokierowałem wspólną przechadzką w ten sposób, że trzeba nam było wszystkim przebyć dość głęboki rów; pani zaś de Tourvel, jakkolwiek bardzo zręczna, jest jeszcze bardziej bojaźliwa: pojmujesz, że jako skromnisia lęka się każdego fałszywego kroku! Trzeba się było zatem powierzyć mej pomocy, i oto wcielenie skromności znalazło się w mych objęciach. Nasze przygotowania i przeprawa starej ciotki pobudziły do głośnego śmiechu rozbawioną prezydentową; skoro zaś ją z kolei uniosłem w górę, ramiona nasze, dzięki mej zręcznej niezaradności, oploty się wzajem. Przycisnąłem ją do piersi i w ciągu tej króciutkiej chwili uczulem, że jej serce bije żywszym tętnem. Powabny rumieniec okraślił twarzyczkę; pełne skromności zakłopotanie przekonało mnie dostatecznie, że *serce jej zabiło z miłości, a nie ze strachu*. Ciotka popełniła tę samą omyłkę co i ty, markizo, i rzekła: „Przestraszyła się dziecina”; lecz cudowna prostota *dzieciny* nie pozwoliła jej na kłamstwo, toteż odparła naiwnie: „Och, nie, tylko...”. To jedno słowo oświeciło mnie. Od tej chwili słodka nadzieja zajęła miejsce okrutnego niepokoju. Będę miał tę kobietę: odbiorę ją mężowi, który nie jest jej godzien, ośmielę się ją wydrzeć nawet Bogu, którego uwielbia. Cóż za rozkosz być kolejno powodem i zwycięzcą jej wyrzutów! Daleki jestem od myśli niszczenia przesądów, które ją pętają! One to właśnie przysporzą mi szczęścia i chwały zarazem. Niech wierzy w cnotę, lecz niech ją dla mnie poświęci; niech z przerażeniem patrzy na własny upadek, niezdolna zatrzymać się w drodze, i niechaj miotana nieustannymi wyrzutami nie umie zapomnieć o nich, ani ukryć się przed nimi inaczej niż w moich ramionach. Wówczas niechaj mi powie: „Ubóstwiam cię”; zgoda na to; ona jedna ze wszystkich kobiet będzie godna wymówić to słowo. Będę w istocie Bogiem, którego uwielbiła ponad wszystko.

Bądźmy szczerzy; w stosunkach naszego świata, zarówno chłodnych, jak łatwych, to, co nazywamy szczęściem, wszak jest zaledwie przyjemnością. Mam ci się przyznać, markizo? Byłem pewny, iż serce moje zwiędło już zupełnie; nie znajdując w sobie nic jak tylko zmysły, ubolewałem nad swą przedwczesną zgrzybiałością. Pani de Tourvel wróciła mi czarowne złudzenia młodości. Przy niej nie trzeba mi nawet posiadania, abym się czuł szczęśliwy. Jedyna rzecz, która mnie przeraża, to czas, jaki zajmie cała ta przygoda; nie ważyłbym się bowiem nic zdawać na los przypadku. Na próżno przywodzę sobie na pamięć moje tryumfalne zuchwalstwa; nie mogę się zdecydować na tę drogę. Abym się czuł zupełnie szczęśliwy, ona musi mi się *oddać*; a to nie jest lada jaka sprawa.

Pewien jestem, markizo, że podziwiałabyś moją ostrożność. Nie wymówiłem jeszcze słowa *miłość*; ale już zdołaliśmy dotrzeć do *zaufania i sympatii*. Aby ją okłamywać najmniej, jak można, a zwłaszcza, aby uprzedzić plotki, które mogłyby dojść do jej uszów, sam, niby to obwiniając się, opowiedziałem parę swoich najbardziej głośnych figielków. Uśmiełałabyś się, słysząc, z jaką prostodusznością ona prawi mi kazania. Pragnie, powiada, nawrócić mnie. Ani jej w głowie świta, ile ją będzie kosztowała ta próba. Daleką jest od przypuszczenia, że *przemawiając* (to jej styl) *imieniem nieszczęsnych, które ja zgubiłem*, ujmuje się z góry za własną sprawą. Ta myśl nasunęła mi się wczoraj w ciągu jej kazania: nie mogłem odmówić sobie przyjemności przerwania jej zapewnieniem, iż mówi jak prorok. Do widzenia, uroczą przyjaciółko. Widzisz więc, że nie jestem jeszcze zgubiony bez ratunku.

PS Ale, ale, czy biedny kawaler nie odebrał sobie życia z rozpaczy? Doprawdy, markizo, ty masz w sobie sto razy więcej szelmostwa ode mnie i gdybym posiadał nieco miłości własnej, czułbym się głęboko upokorzony.

Zamek \*\*\*, 9 sierpnia 17\*\*

## LIST VII

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*<sup>38</sup>

Jeżeli dotąd nie pisałam nic o moim małżeństwie, to dlatego, że ani na jotę<sup>39</sup> więcej nie wiem niżli pierwszego dnia. Przyzwyczajam się nie myśleć o tym i czuję się wcale dobrze. Pracuję dużo nad śpiewem i harfą; mam uczucie, że bardziej je polubiłam od czasu, jak nie mam już nauczyciela, lub raczej odkąd dostałam o wiele lepszego i miłszego. Kawaler Danceny, ten pan, o którym ci mówiłam, że śpiewałam z nim u pani de Merteuil, jest tak uprzejmy, że przychodzi do nas codziennie i śpiewa ze mną całymi godzinami. Bardzo jest miły. Śpiewa jak anioł i układa prześliczne melodie, do których sam pisze słowa. Wielka szkoda, że on jest kawalerem maltańskim<sup>40</sup>! Myślę, że gdyby się ożenił, żona jego byłaby bardzo szczęśliwa... Ma w sobie jakąś czarującą słodycz. Nigdy nie ma się wrażenia, aby prawil komplementy, a mimo to wszystko, co mówi, gładzi po sercu tak mile. Ciągłe mnie za coś łaje, za muzykę, jak i za inne rzeczy: ale umie włożyć w każdą naganę tyle przymilenia i humoru, że niepodobna go nie polubić. Wystarczy, żeby na ciebie popatrzył, a już masz wrażenie, że chce ci powiedzieć coś bardzo przyjemnego. A przy tym jest ogromnie grzeczny. Na przykład wczoraj: był proszony na jakiś wielki koncert, a przecież wolał zostać cały wieczór u mamy. Bardzo się ucieszyłam, bo kiedy jego nie ma, nikt się do mnie nie odzywa i nudzę się: kiedy on jest, cały czas śpiewamy i rozmawiamy z sobą. Zawsze ma mi coś do powiedzenia. On i pani de Merteuil to jedyne dwie sympatyczne osoby. Ale teraz, bądź zdrowa, droga; przyrzekłam, że wyuczę się na dziś aryjki z bardzo trudnym akompaniamentem, a nie chciałabym nie dotrzymać. Posiedzę nad tym, dopóki on nie przyjdzie.

7 sierpnia 17\*\*

## LIST VIII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges*

Trudno mi wyrazić pani, jak bardzo jestem wdzięczna za dowód ufności, którym mnie szacujesz, i jak żywo mnie obchodzi zamęście<sup>41</sup> panny de Volanges. Z całej duszy, z całego serca życzę jej szczęścia, którego jest godna. Nie znam hrabiego de Gercourt; ale, skoro na niego padł tak zaszczytny wybór, mogę mieć o nim jedynie najlepsze wyobrażenie. Poprzestaję, pani, na życzeniu, aby to małżeństwo uwieńczone było równie pomyślnym skutkiem jak moje, które również jest twoim dziełem i za które każdy dzień pomnaża mą wdzięczność. Oby szczęście twej córki, pani, stało się nagrodą za to, które ja otrzymałam z twej ręki; oby najlepsza z przyjaciółek mogła być i najszczęśliwszą z matek!

Szczerze zmartwiona jestem, że nie mogę osobiście złożyć ci, pani, tych życzeń, a zarazem, czego bym bardzo pragnęła, zapoznać się z panną de Volanges. Doznawszy od ciebie tyle prawdziwie macierzyńskiej dobroci, mam prawo spodziewać się, że znajdę u niej tkliwą przyjaźń siostry, na którą będę się starała zasłużyć.

Przypuszczam, iż zostanę na wsi przez cały czas nieobecności pana de Tourvel. Skorzastałam z tego czasu, aby się nacieszyć towarzystwem czcigodnej pani de Rosemonde. Czarująca to zawsze osoba: sędziwy wiek nie odebrał jej nic z dawnego uroku: zachowała całą wesołość i żywość umysłu. Ciało jej jedynie liczy osiemdziesiąt cztery lata; duch nie więcej niż dwadzieścia.

<sup>38</sup>*Cecylia Volanges do Zofii Carnay* — aby nie nadużywać cierpliwości czytelnika, autor pomija wiele listów w tej codziennej korespondencji; podaje jedynie te, które wydały mu się potrzebne do zrozumienia biegu wypadków. Z tego samego powodu pomija również wszystkie listy Zofii Carnay i wiele listów innych osób biorących udział w tych wydarzeniach. [przypis tłumacza]

<sup>39</sup>*ani na jotę* — wcale, ani trochę. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*kawaler maltański* — członek Suwerennego Rycerskiego Zakonu Szpitalników Św. Jana, z Jerozolimy, z Rodos i z Malty, zwanego potocznie kawalerami maltańskimi lub joannitami. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*zamęście* — dziś popr.: zamążpójście [przypis edytorski]

Samotność naszą ożywiło nieco przybycie siostrzeńca pani de Rosemonde, wicehrabiego de Valmont, który ma zamiar pozostać tu kilka dni. Znałam go jedynie z rozgłosu, który niezbyt zachęcał do bliższego poznania; zdaje mi się jednak, że pan de Valmont więcej jest wart od swej reputacji. Tutaj, gdzie wir światowych uciech nie wie dzie go na pokuszenie, bardzo trzeźwo patrzy na siebie i z rzadką prostotą przyznaje się do błędów. Rozmawia ze mną nieraz nader rozsądnie, a ja roztrząsam mu sumienie i to bardzo surowo. Pani, która go znasz, przyznasz łatwo, iż nawrócenie takiego człowieka byłoby pięknym dziełem: nie wątpię jednak, że mimo wszystkich obietnic poprawy tydzień pobytu w Paryżu wystarczy, aby zapomniał o moich kazaniach. Przynajmniej ten czas, który tu spędzi, będzie stanowił przerwę w jego zwykłym trybie życia, co wyjdzie tylko na korzyść, jeżeli nie jemu, to innym. Pan de Valmont wie, że piszę w tej chwili do pani, i prosi, abym jej przedłożyła wyrazy najgłębszego szacunku. Chciej przyjąć również i moje, z ową dobrocią, która ci jest właściwa, i racz nie wątpić nigdy o najszczerzych uczuciach, z jakimi mam zaszczyt etc.<sup>42</sup>

Z zamku \*\*\*, 9 sierpnia 17\*\*

## LIST IX

*Pani de Volanges do prezydentowej de Tourvel*

Nie wątpiłam nigdy, młoda i piękna przyjaciółko, ani o twej przyjaźni, ani o szczerym udziale we wszystkim, co mnie dotyczy. Nie po to też, aby poruszać tę materię, która, sądzę, na zawsze jest ustalona, odpowiadam jeszcze na twą *Odpowiedź*; ale nie mogę pominąć sposobności pomówienia z tobą kilku słów odnośnie wicehrabiego de Valmont.

Wyznaję, iż nie przypuszczałam, abym się miała spotkać kiedykolwiek z tym imieniem w twoich listach. Zaprawdę, cóż może istnieć wspólnego pomiędzy nim a tobą? Nie znasz tego człowieka; i skąd mogłabyś mieć pojęcie o wizerunku duszy rozpustnika? Mówisz mi o jego *rzadkiej prostocie*: och! tak; prostota pana de Valmont musi być w istocie dość rzadka. W jeszcze wyższym stopniu fałszywy i niebezpieczny niżeli gładki i pełen powabu, nigdy, od najwcześniejszej młodości, nie uczynił jednego kroku, nie powiedział jednego słowa bez jakiegoś zamiaru, nigdy zaś nie powziął zamiaru, który by nie był nieuczciwym lub zbrodniczym. Znasz mnie, droga przyjaciółko; wiesz, że ze wszystkich cnót, jakie staram się sobie przyswoić, najwyżej cenię poblążliwość. Toteż, gdyby Valmont działał uniesiony porywem namiętności, gdyby, jak tyłu innych, dał się pociągnąć błędom swego wieku, wówczas potępiając uczynki, zachowałabym współczucie dla jego osoby i czekałabym w milczeniu, czy nie przyjdzie czas, w którym szczęśliwe opamiętanie wróci mu szacunek uczciwych ludzi. Ale w Valmoncie nie ma tego wszystkiego: postępowanie jego jest wynikiem zasad. Umie on doskonale obliczyć, na ile bezceństwa może pozwolić sobie mężczyzna, nie gubiąc się w oczach świata; toteż aby bezkarnie dać folgę swej złości i okrucieństwu, obrał sobie kobiety na ofiary. Nie próbuję nawet policzyć tych, które uwiódł: ale ile zgubił po prostu?

Przy cichym i bogobojnym życiu, jakie prowadzisz, nie docierają do ciebie wieści o owych gorszących przygodach. Mogłabym opowiedzieć niejedną, która by ci zdrzęce kazała ze zgrozy; ale spojrzenia twoje, czyste jak twoja dusza, zbrukałyby się od takich obrazów; spokojna, że Valmont nigdy nie będzie niebezpiecznym dla ciebie, nie potrzebujesz takiego pancerza, aby się obronić. To jeszcze mogę ci powiedzieć, że ze wszystkich kobiet, które miały nieszczęście stać się celem jego zabiegów, uwieńczonych powodzeniem czy nie, każdej przyszło gorzko oplakiwać tę niebezpieczną znajomość. Jedyna markiza de Merteuil stanowi wyjątek w ogólnym prawidle: ona jedna umiała mu się oprzeć, a zarazem nałożyć hamulec jego niegodziwości. Wyznaję, że ten rys życia najwięcej jej przynosi zaszczytu w mych oczach; to jedno wystarczyłoby już, aby w oczach świata w całej pełni okupić parę lekkomyślności, jakie miano jej do zarzucenia w początkach wdowieństwa<sup>43</sup>.

<sup>42</sup>etc. — skrót od *et caetera* (łac.): dosł. i inne; i tak dalej. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Jedyna markiza de Merteuil stanowi wyjątek (...) — błąd, w jakim pozostaje pani de Volanges, świadczy nam, że podobnie jak inni zbrodniarze Valmont umiał nie wydawać swoich współników. [przypis tłumacza]



Jak bądź się rzeczy mają, moja urocza przyjaciółko, z prawa wieku, doświadczenia, a przede wszystkim przyjaźni, na jedno muszę ci zwrócić uwagę; mianowicie, że w Paryżu zdołano już zauważyć nieobecność Valmonta. Jeżeli się rozgłosi, iż spędził czas w wyłącznym towarzystwie ciotki i twoim, twoja dobra sława znajdzie się w jego rękach: największe nieszczęście, jakie może się zdarzyć kobiecie. Radzę ci więc, uprosz ciotkę, aby nie zatrzymywała go dłużej: gdyby się opierał, sądzę, iż powinnaś bez wahania ustąpić mu miejsca. Ale czemuż miałby tam siedzieć? Po co mu się zakopywać na wsi? Gdybyś kazała śledzić jego kroki, odkryłabyś z pewnością, że dom ciotki obrał jedynie jako wygodne schronienie dla jakiejś miłostki w okolicy. Ale gdy nie w naszej mocy zapobiec złemu, poprzestańmy na tym, aby ubezpieczyć bodaj samych siebie.

Do widzenia, droga przyjaciółko; małżeństwo córki opóźnia się nieco. Hrabia de Gercourt, którego oczekiwaliśmy z dnia na dzień, donosi, że pułk jego wysłano na Korsykę<sup>44</sup>; że zaś trwają tam jeszcze rozruchy wojenne, niepodobieństwem mu będzie uwolnić się przed zimą. Bardzo mi to nie w smak; ale w zamian pocieszam się nadzieją, że będziemy miały przyjemność ujrzenia cię na uroczystościach weselnych; przykro mi było, iż miały się odbyć bez ciebie. Do widzenia; masz we mnie, bez czcnych zapewnień, zawsze oddaną przyjaciółkę.

PS Chciej mnie przypomnieć pamięci pani de Rosemonde, którą kocham tak, jak na to zasługuje.

*Paryż, 11 sierpnia 17\*\**

## LIST X

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Czy dąsz się na mnie wicehrabio? Czy może zmarłeś? Albo też, co niemal na jedno wychodzi, żyjesz jedynie dla swej prezydentowej? Ta kobieta, która ci wróciła *złudzenia młodości*, wróci ci wkrótce również i śmieszne jej uprzedzenia. Oto już czujesz się nieśmiałym niewolnikiem; lepiej przyznaj od razu, iż jesteś po prostu zakochany. Wahasz się uciec do *szczęśliwego zuchwalstwa*. W ten sposób właśnie postępujesz sobie zupełnie bez zasad, zdając wszystko na los przypadku, a raczej kaprysu. Czyżbyś już nie pamiętał, że miłość jest jak medycyna *jedynie sztuką pomagania przyrodzie*? Widzisz, że cię pobijam własną bronią; nie wzrastam zbyt w pychę z tej przyczyny, boć to najłatwiejszy sposób pobicia mężczyzny na głowę. *Musi ci się oddać*, powiadasz: no, dobrze, musi, to pewna, toteż odda się jak inne, z tą różnicą, że zrobi to niezgrabnie i bez wdzięku. Ale, żeby skończyła na *oddaniu*, najlepszy sposób jest zacząć od *wzięcia*. Jakimż prawdziwym dziecinstwem miłości jest to śmieszne odróżnienie! Mówię *miłości*, bo ty jesteś zakochany, wicehrabio. Mówić inaczej, znaczyłoby oszukiwać cię, znaczyłoby ukrywać przed tobą twą chorobę. Powiedz mi więc, omdlewający kochanku: te kobiety, które w życiu miały ochotę oddać się komu, choćby nam nawet nie wiem jak było do tego pilno, i tak przecież trzeba jakiegoś pozorów; a czyż może istnieć wygodniejszy niż ten, który pozwala odgrywać rolę słabej istoty ulegającej sile? Co do mnie, przyznam się, iż w kampanii miłosnej najwyżej cenię żywy i dobrze przeprowadzony atak, w którym wszystko postępuje po sobie w porządku, jakkolwiek z szybkością; który nie zostawia nas nigdy w tym kłopotliwym położeniu, abyśmy same musiały naprawiać niezręczność nieprzyjaciela; atak, który pozwala zachować pozory poddania się przemocy w tym nawet, na co same się godzimy, i z ręcznie głaska dwie nasze uprzywilejowane słabostki: chwałę obrony i przyjemność porażki. Wyznaję, ten talent, rzadszy o wiele, niżby można mniemać, zawsze zyskiwał moje uznanie i nieraz zdarzyło mi się ulec, jedynie aby uwieńczyć męstwo zasłużoną nagrodą.

Ale ty, ty, który nie jesteś już sobą, ty postępujesz już tak, jakbyś obawiał się zwycięstwa. Ech! Odkądże ty podróżujesz w ten sposób, popasając co chwilę, bocznymi drózkami? Mój przyjacielu, gdy chcesz dojechać do kresu, bierz konie pocztowe i jazda! Gościńcem! Ale zostawmy ten przedmiot, który drażni mnie tym więcej, że pozbawia mnie

<sup>44</sup>Korsyka — wyspa na Morzu Śródziemnym, od 1768 w granicach Francji. [przypis edytorski]

przyjemności ujrzenia cię rychło. Przynajmniej pisuj częściej i donoś o wszystkim w miarę postępów. Czy wiesz, że już przeszło dwa tygodnie pochłania cię ta śmieszna miłostka i że zdołałeś przez ten czas zaniedbać wszystkie inne obowiązki?

Ale, ale, gdy mowa o zaniedbaniu: przypominasz mi, wicehrabio, ludzi, którzy zasięgają regularnie wiadomości o chorych przyjaciółach, lecz nigdy nie są ciekawi odpowiedzi. Kończysz ostatni list zapytaniem, czy kawaler nie rozstał się ze światem. Ja nie odpowiadam, a ty przestajesz się o to troszczyć. Czyż zapomniałeś, że mój kochanek jest, już z urzędu, twoim najserdeczniejszym przyjacielem? Ale uspokój się: nie umarł; lub gdyby mu się to miało przytrafić, to chyba z nadmiaru szczęścia. Biedaczek mój, jakież on tkliwy! Cóż to za urodzony kochanek! Jak on umie żywo czuć i wyrażać uczucia! W głowie mi się kręci na samo wspomnienie. Doprawdy, nieopisane szczęście, jakie on znajduje w przekonaniu o mej miłości, gotowe mnie jeszcze do niego przywiązać.

Tego samego dnia, w którym, jak ci pisałam, obudziła się we mnie chęć zerwania z kawalerem, ileż szczęścia czekało go jeszcze! A przecież w chwili, gdy mi go oznajmiono, rozmyślałam zupełnie poważnie nad środkami doprowadzenia go do rozpacz. Nie wiem, kaprys czy inna przyczyna, ale nigdy nie wydał mi się tak pełnym powabu. Mimo to, przyjęłam go kwaśno. Liczył, że spędzi ze mną jakie dwie godziny, zanim drzwi otworzą się dla wszystkich. Powiedziałam, że wychodzę; zapytał dokąd: odmówiłam odpowiedzi. Zaczął nalegać; *tam, gdzie pana nie będzie*, odparłam opryskliwie. Szczęściem dla siebie, stanął jak skamieniały po tej replice; to pewna, gdyby był wyrzekł jedno słowo, wybuchłaby niechybnie scena i skończyłoby się zerwaniem. Zdziwiona tym milczeniem, zwróciłam na niego oczy bez innego zamiaru, przysięgam, wicehrabio, jak tylko, aby zobaczyć jego minę. Spostrzegłam na tej prześlicznej twarzy ten smutek zarazem głęboki a tkliwy, któremu, sam przyznałeś, trudno w istocie się oprzeć. Ta sama przyczyna wywołała ten sam skutek: uczułam się zwyciężoną po raz drugi. Od tej chwili poczęłam jedynie myśleć nad sposobem oczyszczenia się w jego oczach z wszelkiej winy. „Wychodzę w pewnej sprawie — rzekłam nieco łagodniej — w sprawie dotyczącej nawet i pana; ale nie pytaj o nic. Będę wieszczę w domu, przyjdź, a dowiesz się wszystkiego”. Wtedy dopiero odzyskał mowę, ale nie pozwoliłam mu mówić. „Śpieszę się bardzo — rzekłam. — Zostaw mnie; do zobaczenia”. Pocałował mnie w rękę i wyszedł.

Aby mu powetować to rozstanie, może aby powetować je samej sobie, wpadam na myśl zapoznania go z moim domkiem, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Dzwonię na wierną Wiktoryę. Dostaję migreny<sup>45</sup>, każe oznajmić wszystkim, że kładę się do łóżka; zostawszy wreszcie sama z moją powiernicą<sup>46</sup>, stroję się za pannę służącą, podczas gdy ona przebiera się za lokaja. Następnie Wiktoria sprowadza dorożkę do bramy ogrodowej i pomykamy w drogę. Przybywszy do świątyni miłości, wyszukuję negliżyk najpowabniejszy, jaki posiadam, po prostu rozkoszny: najzupełniej własnego pomysłu: nie pozwala nic oglądać, a wszystkiego każe się domyślać. Przyrzekam ci przesłać wzór dla prezydentowej, skoro ją już uczynisz godną takiego ryzsztunku.

Po tych przygotowaniach, podczas gdy Wiktoria zajmuje się resztą, odczytuję jeden rozdział *Sofy*<sup>47</sup>, jeden list *Heloizy*<sup>48</sup> i dwie powiastki *La Fontaine'a*<sup>49</sup>, aby dostroić rozmaite struny, jakie zamierzam potrącić. Tymczasem kawaler zjawia się u mnie, jak zawsze niecierpliw. Szwajcar<sup>50</sup> odprawia go, oznajmiając, iż jestem niezdrowa: pierwsza niespodzianka. Równocześnie oddaje bilecik ode mnie, ale nie przeze mnie pisany, zgodnie z mą roztropną zasadą. Kawaler otwiera i widzi, ręką Wiktorii: „Punkt o dziewiątej, na bulwarze, naprzeciw kawiarni”. Udaje się na wskazane miejsce; tam lokajczyk, którego rolę odgrywa wciąż też sama Wiktoria, każe mu odprawić powóz i podążyć za sobą. Cały ów romantyczny aparat miał ten skutek, iż rozpałił głowę mego kawalera, rozpalona zaś głowa ma zawsze swoje zalety. Przybywa wreszcie oszołomiony zdumieniem i miłością.

<sup>45</sup>*migrena* — powtarzający się, najczęściej jednostronny, pulsujący, silny ból głowy. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*powiernica* — osoba obdarzana zaufaniem, której powierza się tajemnice. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*Sofa* — romans Crébillona syna, treści niezmiernie swobodnej. [przypis tłumacza]

<sup>48</sup>*Nowa Heloiza* — powieść w listach z 1761, autorstwa Jeana Jacques'a Rousseau, opisująca nieszczęśliwą miłość skromnego nauczyciela i jego arystokratycznej uczennicy, zaliczana do nurtu sentymentalizmu. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Jean de La Fontaine* (1621-1695) — jeden z czołowych pisarzy klasycyzmu francuskiego, autor około 250 bajek. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*szwajcar* — portier; odźwierny. [przypis edytorski]

Aby mu pozwolić przyjść nieco do siebie, przeprowadzam go przez chwilę po ogrodzie, następnie zaś kieruję ku domowi. Widzi stół i dwa nakrycia; następnie posłane łóżko. Przechodzimy do przystrojonego odświętnie buduaru<sup>51</sup>. Tam, na wpół z rozmysłu, na wpół ze szczerego serca, otoczyłam go ramionami i osunęłam mu się do kolan. „O mój najdroższy — rzekłam — aby ci zgotować niespodziankę tej chwili, popełniłam tę zbrodnię, iż udanym gniewem przyprowadziłam cię o zmartwienie i na chwilę pozbawiłam twe źrenice widoku ukochanej. Przebac mi winy, a okupię je potęgą miłości”. Możesz sobie wyobrazić skutek tej sentymentalnej przemowy. Kawaler, uszczęśliwiony, podniósł mnie co żywo i rozgrzeszenie moje zostało przypieczętowane na tej samej otomance<sup>52</sup>, na której ty i ja pieczętowaliśmy tak wesoło i w ten sam sposób wieczyste zerwanie.

Ponieważ mieliśmy przed sobą całe sześć godzin, a postanowiłam sobie, iż czas ten upłynie mu w sposób niezmiernie rozkoszny, powściągnęłam tedy jego uniesienia. Powabna zalotność zajęła miejsce gorętszej czułości. Nigdy jeszcze nie dołożyłam tylu starań, aby się komuś podobać, nigdy też nie byłam równie zadowolona z siebie. Po kolacji, na przemian dziecinna i pełna rozsądku, swawolna i tkliwa, niekiedy nawet nieco wyuzdana, starałam się obchodzić z lubym niby z sułtanem zasiadającym pośród swego seraju<sup>53</sup>, w którym ja grałam kolejno rolę rozmaitych faworytek<sup>54</sup>. W istocie jego wielokrotnie holdy, jakkolwiek wciąż przyjmowała je ta sama kobieta, skłaniały się do stóp coraz to nowej kochanki.

Wreszcie o brzasku trzeba się było rozłączyć; co bądź kawaler powiadał, czynił nawet, aby temu przeczyć, rozstanie to było dlań równie potrzebne jak bolesne. Gdy nadeszła chwila ostatniego pożegnania, wzięłam klucz błogosławionego ustronia<sup>55</sup> i wręczając mu go, rzekłam: „Zgotowałam je tylko dla ciebie, słusznym jest, abys był jego panem: rzeczą Ofiarnika<sup>56</sup> jest rozporządzać Świątynią”. W ten sposób zręcznie uprzedziłam podejrzenia, jakie mogłoby mu nasunąć to zagadkowe nieco posiadanie ustronnego domku. Znam kawalera i nie lękam się, by mi do sanktuarium wprowadził inną kobietę; gdyby mnie zaś przyszła fantazja zagościć tam bez niego, zostaje mi zawsze drugi klucz w odwodzie. Chciał za wszelką cenę umówić dzień następnej schadzki; ale za wiele mi wart jeszcze mój kawaler, abym go chciała zużywać tak szybko. Można sobie pozwolić na takie wybryki jedynie z kimś, kogo się ma zamiar niebawem porzucić. On tego nie wie, biedaczek, na szczęście ja wiem za nas oboje.

Widzę, że już trzecia rano i że napisałam cały tom, usiadłszy z zamiarem skreślenia paru słówek. Oto co może czar przyjacielskiej ufności: ona też sprawia, że ty mi jesteś zawsze najdroższym ze wszystkich; ale jeśli mam wyznać prawdę, milszym jest mi dzisiaj mój kawaler.

12 sierpnia 17\*\*

## LIST XI

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges*

Surowy twój list, szanowna przyjaciółko, przeraziłby mnie z pewnością, gdybym, na szczęście, nie znajdowała tutaj więcej rękojmi<sup>57</sup> bezpieczeństwa, niż ty mi kreślisz, pani, przyczyn do obawy. Ów groźny pan de Valmont, który ma być postrachem kobiet, odłożył, zdaje się, swe mordercze bronie, zanim przestąpił mury tego zamku. Daleki od

<sup>51</sup>*buduar* — pokój pani domu przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*seraj* — pałac władcy w krajach muzułmańskich; seraj w Istambule był siedzibą sułtanów tureckich. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*faworyta* — kochanka osoby wysoko postawionej. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*ustronie* — miejsce położone na uboczu, z dala od ludzkich siedzib. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*ofiarnik* — daw. kapłan składający ofiarę. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*rękojmia* — poręczenie, zagwarantowanie czegoś, zapewnienie o czymś. [przypis edytorski]

snucia jakich bądź zamysłów, wyzbył się niemal wszelkiej kokieterii<sup>58</sup>; talenty uroczego światowca<sup>59</sup>, które przynajmniej mu nawet nieprzyjaciele, znikły prawie w zupełności, aby zostawić jedynie przymioty dobrego i sympatycznego chłopca. Widocznie wiejskie powietrze jest przyczyną tego cudu. O jednym mogę panią upewnić, mianowicie iż mimo że pan de Valmont przebywa bezustannie w moim towarzystwie i nawet zdaje się w nim podobać, nie wymknęło mu się dotąd ani jedno słowo, które by bodaj trochę trąciło oświadczeniami, ani jedna z owych aluzji, na jakie pozwalają sobie wszyscy mężczyźni, nie mając nawet jak on warunków na ich usprawiedliwienie. Nigdy nie zmusza mnie do tej baczności, jaką musi dzisiaj rozwijać każda szanująca się kobieta, aby powstrzymać zapędy otaczających mężczyzn. Umie nie nadużywać wesołości, którą promieniuje dokoła. Lubi może trochę nadto chwalić, ale czyni to w sposób tak delikatny, że zdołałby Skromność samą oswoić z pochlebstwem. Słowem, gdybym miała brata, pragnęłabym, aby był taki, jakim pan de Valmont się tutaj przedstawia. Może wiele kobiet życzyłoby sobie wyraźniejszego nadszkakiwania z jego strony; co do mnie, wyznaję, wdzięczna mu jestem, iż umiał ocenić mnie dość dobrze na to, by mnie nie stawiać w ich liczbie.

Ten obraz pana de Valmont różni się bez wątpienia bardzo od wizerunku, który ty mi, pani, nakreśliłaś; mimo to oba mogą być wierne, zależnie od czasu. On sam przyznaje, iż popełnił wiele błędów; może i świat dorzucił niejedno na jego rachunek. Ale niewielu mężczyzn zdarzyło mi się spotkać, którzy by mówili o uczciwych kobietach z większym szacunkiem, powiedziałabym, prawie uwielbieniem. Z listu pani wnoszę, że przynajmniej ta jego cnota nie jest obłudą. Sposób, w jaki odnosi się do pani de Merteuil, jest tego dowodem. Często mówi o niej; a zawsze z takimi pochwałami i z akcentem tak szczerego przywiązania, iż mniemałam, aż do otrzymania pani listu, że to, co on nazywa przyjaźnią między nimi, jest, w gruncie, miłością. Wyrzucam sobie obecnie sąd tak niebaczny, w którym ponoszę tym większą winę, ile że pan de Valmont sam niejednokrotnie dokładał starań, aby uchronić tę złą osobę od takich podejrzeń. Wyznaję, iż uważałam jedynie za dyskrecję to, co było z jego strony uczciwą szczerością. Nie wiem, ale wydaje mi się, że ktoś, kto jest zdolny do równie stałej przyjaźni dla kobiety tak godnej szacunku, nie może być beznadziejnym lekkomyślnikiem<sup>60</sup>. Poza tym nie wiem, czy owo stateczne prowadzenie się, jakiego tu daje dowody, zawdzięczamy jakiejś miłostce w okolicy, jak pani przypuszcza. Jest wprawdzie parę powabnych kobiet w sąsiedztwie; ale pan de Valmont wychodzi z domu w ogóle mało, wyjąwszy rano: mówi, że idzie polować. To prawda, rzadko z sobą przynosi zwierzyńcę; ale zapewnia, iż bardzo zeń niezręczny myśliwy. Zresztą, niezbyt się troszczę, co on może robić poza domem; jeżeli pragnęłabym wiedzieć, to jedynie, aby mieć jedną przyczynę więcej przychylenia się do zdania pani lub też przekonania cię o słuszności mego.

Co się tyczy rady twojej, droga przyjaciółko, abym postarała się o skrócenie pobytu pana de Valmont, wyznaję, że nie wiem, czy ośmieliłabym się prosić jego ciotkę, aby odmówiła gościny siostrzeńcowi, zwłaszcza że jest do niego bardzo przywiązana. Przyrzekam jednak — jedynie, by iść za twą radą, a nie z istotnej potrzeby — że chwycę się jakiejś sposobności i spróbuję przedłożyć tę prośbę albo jej, albo wprost jemu. Co się mnie tyczy, pan de Tourvel wie, iż miałam zamiar zostać tutaj aż do jego powrotu, i zdziwiłby się, nie bez słuszności, gdybym tak lekko odmieniła postanowienie.

Rozpisałam się może zbyt długo, ale zdawało mi się, że winna jestem prawdzie owo pochlebne świadectwo dla pana de Valmont, świadectwo, którego w twoich oczach, pani, zdawał się bardzo potrzebować. Niemniej szczerze wdzięczną jestem za przyjaźń, która podyktowała ci twoje przestrogi. Jej również zawdzięczam wszystkie miłe słowa, jakimi mnie obdarzasz z okazji opóźnienia małżeństwa córki. Dziękuję serdecznie za zaproszenie; ale mimo całej przyjemności, jaką sobie obiecuję po chwilach spędzonych w pani towarzystwie, poświęciłabym je chętnie, gdyby przez to panna de Volanges prędzej mogła stać się szczęśliwą, o ile w ogóle kiedy może być nią bardziej niż teraz, przy boku

<sup>58</sup>*kokieteria* — zachowanie osoby starającej się wzbudzić zainteresowanie, zjednać sobie kogoś. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*światowiec* — człowiek obyty, potrafiący zachować w każdej sytuacji, obracający się w wyższych kręgach. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*lekkomyślnik* (neol.) — lekkoduch; osoba lekkomyślna. [przypis edytorski]

matki, tak godnej całej jej czułości i szacunku. Podzielam z nią oba te uczucia i proszę, abyś raczyła to zapewnienie przyjąć ze zwykłą dobrocią.

Mam zaszczyt etc.

13 sierpnia 17\*\*

## LIST XII

*Cecylia Volanges do markizy de Merteuil*

Donoszę pani, że mama jest cierpiąca; nie wychodzi dzisiaj i muszę dotrzymywać jej towarzystwa: nie będę miała zatem zaszczytu towarzyszyć pani do Opery. Zapewniam panią, o wiele bardziej żałuję, że nie będę razem z panią, niż całego widowiska. Mam nadzieję, że pani nie wątpi o tym; bardzo o to proszę. Ja panią tak kocham! Czy będzie pani tak dobra powiedzieć panu kawalerowi Danceny, że nie mam zbioru, o którym mówił, i że jeżeli może go przynieść jutro, sprawi mi wielką przyjemność? Gdyby przyszedł dziś, powiedziano by mu, że nas nie ma w domu: mama nie chce nikogo dziś przyjmować. Mam nadzieję, że jutro będzie jej już lepiej.

Mam zaszczyt, etc.

13 sierpnia 17\*\*

## LIST XIII

*Markiza de Merteuil do Cecylii Volanges*

Bardzo jestem zmartwiona, ślicznotko, że nam się tak nie składa, ale mam nadzieję, że stracona sposobność jeszcze się powtórzy. Wywiążę się z twego zlecenia wobec kawalera Danceny, który z pewnością bardzo się trapi wiadomością, że mama chora. Jeżeli pani de Volanges zechce mnie przyjąć jutro, przyjdę dotrzymywać jej towarzystwa. Wyzwiemy we dwie kawalera de Belleruche<sup>61</sup> do walki w pikietę<sup>62</sup>, a ogrywając go, będziemy miały dla dopełnienia przyjemności satysfakcję przysłuchiwania się, jak śpiewasz ze swym miłym nauczycielem. Jeżeli to dogadza matce i tobie, ręczę za siebie i za moich kawalerów. Do widzenia, moja śliczna; pozdrowienia drogiej pani de Volanges. Ściskam was z całego serca.

13 sierpnia 17\*\*

## LIST XIV

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Nie pisałam wczoraj, droga Zosiu, ale nie nadmiar przyjemności jest tego przyczyną, możesz mi wierzyć. Mama była chora, nie opuściłam jej cały dzień ani na chwilę. Wieczorem, kiedy znalazłam się w swoim pokoju, nie miałam głowy do niczego; czym prędzej położyłam się do łóżka, aby się upewnić, że dzień się już skończył: jeszcze mi się nigdy nie wydał równie długi. To nie znaczy, abym nie kochała mamy, ale nie wiem, co to takiego. Miałam iść do Opery z panią de Merteuil; kawaler Danceny z nami. Wiesz dobrze, że to są dwie osoby, które lubię najwięcej w świecie. Skoro nadeszła godzina, o której się zaczyna przedstawienie, serce mi się ścisnęło mimo woli. Wszystko mi zbrzydło nagle; płakałam, płakałam tak, że nie mogłam się powstrzymać. Na szczęście, mama leżała w łóżku i nie

<sup>61</sup>kawaler de Belleruche — ten sam [kawaler], o którym mowa w listach pani de Merteuil. [przypis tłumacza]

<sup>62</sup>pikieta — gra karciana, pochodząca z Francji, znana od XIV w. [przypis edytorski]

mogła widzieć. Jestem pewna, że kawaler Danceny był także bardzo zmartwiony; ale on miał przynajmniej na pociechę widowisko i ludzi: to całkiem co innego.

Na szczęście mama dziś ma się lepiej i pani de Merteuil przyjdzie z kawalerem Danceny i innym jakimś panem; ale pani de Merteuil przychodzi zawsze bardzo późno, a jak się jest tak długo samej, to strasznie nudno. Dopiero jedenasta. Prawda, że muszę pograć trochę na harfie; przy tym toaleta także zajmie nieco czasu, bo chciałabym być dzisiaj dobrze uczesana. Zdaje się, matka Annuncjata miała słuszość: kiedy człowiek zaczyna żyć w świecie, robi się zalotny. Od kilku dni strasznie chciałabym ładnie wyglądać, a ze smutkiem widzę, że nie jestem tak ładna, jak mi się dawniej wydawało; przy tym przy kobietach, które się różują, straszliwie się traci. Na przykład pani de Merteuil, widzę dobrze, że wszyscy mężczyźni uważają ją za ładniejszą ode mnie: to mnie niezbyt martwi, bo ona mnie bardzo lubi; a przy tym zapewnia mnie, że kawalerowi Danceny ja się więcej podobam. Bardzo szlachetnie z jej strony, że mi to powiedziała! Zdawało mi się nawet, że jest z tego rada. Tego to już nie rozumiem. Jak ona mnie lubi! A on!... Och! tym to strasznie się cieszę! Toteż zdaje mi się, że wystarczy na niego popatrzeć, aby już stać się ładniejszą. Patrzałabym też ciągle, gdybym się nie lękała spotkać jego oczu; za każdym razem, kiedy mi się to przytrafi, mieszam się zaraz i jakoś mi się robi przykro; ale to nic.

Do widzenia, jedyna: zabieram się do toalety. Kocham cię zawsze jak dawniej.

*Paryż, 14 sierpnia 17\*\**

## LIST XV

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Bardzo ładnie z twojej strony, markizo, że nie zupełnie zapominasz o mnie w moich smutnych losach. Życie, jakie tu wiodę, jest w istocie nużące przez nadmierny spokój i bezbarwną jednostajność. Odczytując twój list i szczegóły owego rozkosznego dnia, doznawałem po dwadzieścia razy pokusy, aby zmyślić jakąś pilną sprawę, polecieć do twoich stóp i wyblagać, abys bodaj na chwilę sprzeniewierzyła się kawalerowi, który, bądź co bądź, nie zasługuje na swoje szczęście. Czy wiesz, markizo, sprawiłaś, iż uczulem się zazdrosny? Cóż ty mi mówisz o wieczystym zerwaniu? Odwołuję te śluby, wyrzeczone w jakimś obłędzie; nie byłibyśmy godni ich uczynić, gdybyśmy istotnie mieli ich dotrzymać. Ach, gdybym mógł kiedyś pomścić w twych ramionach mimowolną przykrość, jakiej przyczyną stało się szczęście kawalera! Jestem oburzony, wyznaję, gdy pomyślę, że ten człowiek, bez żadnego planu, nie zadając sobie najmniejszego trudu, ot, idąc po prostu za instynktem własnego serca, znajduje szczęście, którego ja nie mogę osiągnąć. Och, ja mu je zamączę... Przysiąż mi, że je zamączę. Ty sama, czyż nie czujesz się upokorzona? Ty sobie zadajesz tyle trudu, aby go oszukiwać, a on się czuje szczęśliwszym od ciebie! Tobie się zdaje, że go trzymasz w niewoli, a to ty raczej dźwigasz jego kajdany. On śpi spokojnie, podczas gdy ty czuwasz, łamiąc sobie głowę nad jego przyjemnościami. I cóż innego czyniłaby jego niewolnica?

Tak, piękna przyjaciółko, dopóki dzielisz się między kilku, nie doznaję uczucia najmniejszej zazdrości: widzę wówczas w twoich kochankach jedynie następców Aleksandra, niezdolnych do zdzierzenia społem królestwa<sup>63</sup>, którym ja władałem sam jeden. Ale abyś się miała oddać wyłącznie jednemu! Aby inny mężczyzna miał posiąść szczęście, które było moim udziałem! Tego nie ścierpię: nie myśl, bym zdołał to przenieść<sup>64</sup>. Albo weź mnie z powrotem, albo przynajmniej weź jeszcze kogoś: nie zdradzaj, przez wyłączność swego kaprysu, owej niezniszczalnej przyjaźni, którąśmy sobie poprzysięgli.

Dosyć już chyba złego, jeśli miłość jest mi niełaskawa. Widzisz, markizo, że skłaniam się do twoich poglądów i przynaję do własnych słabości. W istocie, jeżeli być zakochanym, znaczy nie móc żyć bez posiadania tego, czego się pragnie, poświęcać temu swój

<sup>63</sup>następców Aleksandra, niezdolnych do zdzierzenia społem królestwa — po śmierci Aleksandra Wielkiego w 323 r. p.n.e. najwyżsi dowódcy jego armii rozpoczęli tzw. wojny diadochów, które doprowadziły do podziału macedońskiego imperium między dowódców. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>przenieść (daw.) — znieść, ścierpieć, przeboleć. [przypis edytorski]

czas, przyjemności, życie, to naprawdę jestem zakochany. W niczym to zresztą nie lepsza sprawa. Nie miałbym ci nawet nic do doniesienia w tym przedmiocie, gdyby nie pewien wypadek, który mi daje dużo do myślenia i który nie wiem jeszcze, czy mnie winien przejąć obawą czy nadzieją.

Znasz mego strzelca; wiesz, co to za skarbnica przebiegłości, prawdziwy sługus z komedii: zgadujesz łatwo, że z urzędu swego miał polecane robić słodkie oczy do panny służącej i rozpajać ludzi. Szelma, ma więcej szczęścia ode mnie: już zdołał coś uzyskać. Odkrył mianowicie, że pani de Tourvel poleciła któremuś z ludzi, aby zasięgnął wiadomości co do mego prowadzenia, a nawet aby mi towarzyszył z daleka w rannych wycieczkach, o ile mu się to uda bez zwrócenia uwagi. Cóż ona sobie myśli? Ona, ta skromnisia, ośmiała się brać na sposoby, na które zaledwie my byśmy się odważyli! Klnę się, że... Ale nim zacznę myśleć nad zemstą za tę kobietą sztukę, zajmijmy się sposobami obrócenia jej na swoją korzyść. Aż dotąd te podejrzone wycieczki nie miały żadnego celu; trzeba im wynaleźć jakiś. Zadanie to wymaga całego skupienia umysłu, opuszczam cię więc, markizo, aby się nad tym zastanowić. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

*Zawsze z zamku \*\*\*, 15 sierpnia 17\*\**

## LIST XVI

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Ach, moja Zosiu, ileż nowin! Nie powinnam ci może mówić: ale muszę przecież zwierzyć się przed kimś; nie umiałabym się powstrzymać. Kawaler Danceny... Jestem tak wzruszona, że nie mogę wprost pisać: nie wiem, od czego zacząć. Od czasu, jak ci opowiadałam o przemiłym wieczorze<sup>65</sup>, który spędziłam u mamy z nim i z panią de Merteuil, nie mówiłam ci o nim więcej: nie chciałam już mówić; ale mimo to myślałam o nim ciągle. Od tego czasu, on się zrobił smutny, ale taki smutny, że mi aż przykro było; kiedy pytałam, dlaczego, mówił, że nie: ale ja widziałam dobrze! Wreszcie, wczoraj był jeszcze smutniejszy niż zazwyczaj. Mimo to był na tyle uprzejmy, że śpiewał ze mną jak zawsze, ale, za każdym razem, kiedy na mnie popatrzył, serce się we mnie ścisnęło. Skoro skończyliśmy śpiewać, poszedł schować harfę, następnie zaś, oddając klucz od pudra<sup>66</sup>, prosił, abym przegrała jeszcze wieczorem, skoro tylko znajdę się sama. Nie podejrzewałam nic a nic; wymawiałam się nawet: ale on tak prosił, aż powiedziałam, że dobrze. Wiedział czemu! Zatem, skoro wróciłam do siebie i kiedy panna służąca sobie poszła, wyjęłam harfę, i, wystaw sobie<sup>67</sup>, znalazłam pomiędzy strunami list od niego, złożony tylko i niezapieczone! Ach, gdybyś ty wiedziała, co on mi tam pisze! Od czasu, jak przeczytałam ten list, taka jestem szczęśliwa, że nie mogę myśleć o niczym innym. Odczytałam go cztery razy z rzędu, a potem zamknęłam w sekretarzyku<sup>68</sup>. Umiałam całutki na pamięć: kiedy już leżałam w łóżku, powtarzałam sobie tyle razy, że do spania zupełnie odeszła mi ochota. Jak tylko zamknęłam oczy, widziałam go tuż przed sobą, jak mi powtarza sam to wszystko, com wyczytała przed chwilą. Usnęłam bardzo późno; ledwie się obudziłam (było jeszcze bardzo wcześnie), poszłam wydobyć list, aby znowu odczytywać do syta. Zabrałam go z sobą do łóżka, a potem całowałam tak, jak gdyby... To może niedobrze całować list w taki sposób, ale nie mogłam się wstrzymać.

Z tym wszystkim, droga Zosieńko, chociaż jestem bardzo rada, mam i wielki kłopot; bo to pewna, że nie powinnam odpowiadać na taki list. Wiem dobrze, że nie trzeba, ale cóż, kiedy on prosi; jeżeli nie odpowiem, znowu będzie taki smutny. To naprawdę strasznie niedobrze! Cóż ty mi radzisz? Ale ty tak samo nic nie wiesz jak ja. Mam wielką ochotę zwierzyć się pani de Merteuil, która mnie bardzo kocha. Chciałabym strasznie go

<sup>65</sup>(...) jak ci opowiadałam o przemiłym wieczorze (...) — list, w którym mowa jest o tym wieczorze, nie odnalazł się. Można przypuszczać, że to ów wieczór, projektowany w bileciku pani de Merteuil, o którym jest również mowa w poprzedzającym liście panny de Volanges. [przypis tłumacza]

<sup>66</sup>pudro — skrzynka lub pudełko z przegródkami, używane dawniej do przechowywania przedmiotów, zwłaszcza podczas podróży. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>wystawić sobie (daw.) — wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>sekretarzyk — biurko z nadbudówką zawierającą szufladki. [przypis edytorski]

pocieszyć; ale nie chciałabym zrobić nic, co by było nie tak, jak trzeba. Tyle nam mówią, że powinno się mieć dobre serce! A potem, jak tylko chodzi o mężczyznę, zabraniają iść za tym, co ono powiada! Co za niesprawiedliwość! Czy mężczyzna nie jest naszym bliźnim tak samo jak kobieta, i bardziej jeszcze? Bo przecież ma się tak samo ojca jak matkę, tak samo brata jak siostrę! Pozostaje zatem jeszcze mąż jako nadwyżka. Jednak gdybym miała zrobić coś, co nie trzeba, może i sam pan Danceney nie miałby o mnie dobrego wyobrażenia! Och, gdyby tak, to już wolę, żeby był smutny, a zresztą zawsze mam czas to naprawić. Że on napisał do mnie wczoraj, to jeszcze ja nie jestem obowiązana pisać zaraz dzisiaj; dziś wieczór zobaczę panią de Merteuil i jeżeli się zdobędę, opowiem jej wszystko. Zrobię po prostu to, co ona powie, nie będę miała sobie nic do wyrzucenia. A może ona powie, że mogę odpowiedzieć troszeczkę, żeby nie był taki smutny! Och, straszniem zmartwiona. Do widzenia, moja złota. Powiedz mi, w każdym razie, co myślisz.

19 sierpnia 17\*\*

## LIST XVII

*Kawaler Danceney do Cecylii Volanges*

Pani! Zanim się oddam — nie wiem, jak to nazwać — szczęściu, czy też potrzebie pisania do pani, błagam, abyś raczyła mnie wysłuchać. Rozumiem, iż odważając się na zwierzenie mych uczuć, potrzebuję całej twojej pobłażliwości: byłaby ona zbyt dużą, gdyby chodziło jedynie o usprawiedliwienie tego, co czuję. Czymże jest bowiem to wyznanie, jeżeli nie stawieniem ci przed oczy twego własnego dzieła? I co mogę ci powiedzieć, pani, czego by moje spojrzenia, moje wzruszenie, zachowanie się, milczenie nawet nie zdradziło ci wcześniej, nim ja się ośmieliłem to uczynić? I czemuż byś się miała gniewać o uczucie, które sama zbudziłaś? Natchnione przez ciebie, nie może być ciebie niegodnym: jeśli jest płomienne jak moja dusza, czyste jest jak twoja. Czyż miałoby być zbrodnią, iż umiałem ocenić uroczą twarzyczkę, czarujące talenty, wdzięk nieodparty i wzruszającą niewinność, która dodaje nieporównanej ceny tym tak już cennym przymiotom? Nie, z pewnością nie: ale, nie będąc winnym, można być nieszczęśliwym; oto los, który mnie czeka, jeśli ty, pani, odrzucisz hołd mego uwielbienia. Jest to pierwszy, jaki serce moje złożyło komukolwiek. Bez ciebie byłbym dotąd, nie powiem: szczęśliwy, ale spokojny. Ujrzałem ciebie: spokój odleciał daleko, a szczęście tak niepewne! Mimo to dziwisz się memu smutkowi; pytasz o przyczynę; czasem nawet zdawało mi się, że on i ciebie dotyka. Ach, powiedz słowo, a szczęście moje stanie się twym dziełem! Ale zanim je wypowiesz, pomyśl, że jedno słowo może również dopełnić miary nieszczęścia. Bądź zatem władczynią mego losu. Przez ciebie mogę być na wieki zbawiony lub przeklęty. W jakież droższe ręce mógłbym złożyć sprawę większej dla mnie wagi?

Kończę jak zacząłem: odwołaniem się do twojej pobłażliwości. Prosiłem, abyś mnie wysłuchała; odważę się na więcej: błagam, byś raczyła odpowiedzieć. Odmówić, znaczyłoby pozwalać mi przypuszczać, że czujesz się obrażoną, serce zaś moje jest rękojmią, że mój szacunek dorównywa miłości.

PS Gdybyś raczyła mi, pani, odpowiedzieć, możesz się posłużyć sposobem, którego ja użyłem; zdaje mi się zarówno pewny, jak dogodny.

18 sierpnia 17\*\*

## LIST XVIII

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Jak to, Zosiu, z góry już potępiasz to, co chcę uczynić! Dostyc miałam niepokojów, a ty je jeszcze pomnażasz. To jasne, powiadasz, że nie powinnam odpowiadać. Łatwo tobie mówić; zresztą, ty nie wiesz naprawdę, jak jest: nie widzisz na własne oczy. Jestem



pewna, że gdybyś była na moim miejscu, zrobiłabyś jak ja. Z pewnością, że w zasadzie nie należy odpowiadać; widziałas po moim wczorajszym liście, że i ja nie chciałam: ale bo też nie przypuszczam, aby ktoś kiedykolwiek znajdował się w podobnym położeniu!

Do tego musiałam rozstrzygać zupełnie sama! Pani de Merteuil, którą spodziewałam się zobaczyć wczoraj, nie przyszła. Wszystko obraca się przeciw mnie: przecież to ona jest przyczyną, że jego poznałam. Prawie zawsze przy niej widywałam go, rozmawiałam z nim. To nie znaczy, abym miała żal do niej, ale zostawia mnie tak samą w chwili największego kłopotu. Biedna ja, doprawdy!

Wyobraź sobie, on wczoraj przyszedł jak zwyczajnie. Byłam tak zmieszana, że nie śmiałam nań popatrzeć. Nie mógł mówić ze mną, mama była w pokoju. Domyślałam się, że będzie zmartwiony, skoro zobaczy, że nie ma listu. Nie wiedziałam, jak się zachować. W chwilę potem zapytał, czy chcę, aby przynieść harfę. Serce mi biło tak mocno, że nic nie byłam w stanie odpowiedzieć, tylko *tak*. Kiedy wrócił, było jeszcze gorzej. Popatrzyłam nań tylko króciutką chwilę. On nie patrzył na mnie: ale wyglądał tak, że można by pomyśleć, że jest chory. Strasznie mi było ciężko. Zaczął stroić harfę, potem zaś, podając, rzekł: „Ach! pani!...”. Powiedział tylko tyle: ale takim tonem, że się wszystko we mnie zatrzęsło. Wzięłam parę akordów, nie wiedząc zupełnie, co czynię. Mama zapytała, czy nie będziemy śpiewać. On wymówił się, podając, że jest nieco cierpiący, ale ja nie miałam wymówki. Byłabym wolała nigdy nie mieć głosu. Wybrałam umyślnie jakąś arię, której nie przerabiałam: byłam bowiem pewna, że nie umiałabym śpiewać i że musiano by się czegoś domyślić. Na szczęście, zjawił się ktoś; skoro tylko usłyszałam turkot karety, przerwałam i poprosiłam go, aby odniósł harfę. Bałam się strasznie, że już całkiem sobie pójdzie, ale nie: wrócił.

Podczas gdy mama i ta pani, która przyjechała, rozmawiały z sobą, chciałam nań popatrzeć jeszcze chwileczkę. Spotkałam się z jego oczami i niepodobna mi się było już oderwać. W chwilę później spostrzegłam, jak mu łzy płyną po twarzy; zmuszony był odwrócić się, aby kto nie zauważył. Wówczas nie mogłam już się opanować; czułam, że sama się rozpłaczę. Wysłam z pokoju i napędce napisałam ołówkiem na skrawku papieru: „Niech pan nie będzie taki smutny, proszę bardzo; przyrzekam, że panu odpowiem”. Nie możesz chyba powiedzieć, żeby w tym było co złego; zresztą, to było już nad moje siły. Założyłam za struny, tak jak on tamten list, i wróciłam do salonu. Czułam się znacznie spokojniejsza. Pilno mi było, żeby ta pani już się podziela. Na szczęście, śpieszyła się gdzieś i poszła niedługo. Zaledwie się zabrała, powiedziałam, że mam ochotę jeszcze pograć trochę i prosiłam go, aby przyniósł harfę. Widziałam z twarzy, że niczego się nie domyśla. Ale za powrotem, och! jakież był szczęśliwy! Ustawiając harfę, umieścił się w ten sposób, że mama nie mogła widzieć i wziął mnie za rękę, przy tym uściskał... ale jak!... Trwało to tylko jedną chwilę; ale nie umiem ci powiedzieć, jakie było przyjemne. Mimo to cofnęłam rękę, nie mam więc sobie nic do wyrzucenia.

Teraz, moja jedyna, widzisz, że nie mogę już nie napisać, skoro przyrzekłam; a przy tym nie umiałabym mu zrobić takiej przykrości, bo ja przez to cierpię bardziej jeszcze od niego. Gdyby chodziło o coś złego, z pewnością bym tego nie uczyniła. Ale cóż może być złego w napisaniu listu, zwłaszcza jeżeli chodzi o to, aby ktoś nie był nieszczęśliwy? Boję się tylko, że nie będę umiała dobrze napisać; ale on przecież zrozumie, że to nie moja wina; zresztą, jestem pewna, że już przez to samo, że ode mnie, list robi mu przyjemność.

Do widzenia, Zosińko najdroższa. Jeżeli myślisz, że źle uczyniłam, powiedz szczerze; ale nie zdaje mi się. W miarę jak zbliża się chwila pisania, serce mi tak bije, że nie możesz sobie wprost wyobrazić. Ale cóż, trzeba, skoro przyrzekłam.

21 sierpnia 17\*\*

## LIST XIX

*Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

Był pan wczoraj tak smutny i robiło mi to taką przykrość, że to skłoniło mnie do przyrzeczenia, iż odpowiem panu na list. Zdaję sobie dobrze sprawę, że nie powinnam;

ponieważ jednak przyrzekłam, nie chcę uchylać się od danego słowa: to powinno być wyraźnym dowodem przyjaźni, jaką mam dla pana. Teraz, kiedy pan już wie, spodziewam się, że już pan nie będzie żądał, abym więcej pisała. Spodziewam się również, że pan nikomu nie powie, że do pana pisała, z pewnością bowiem wzięto by mi to za złe i miałabym w domu wiele przykrości. Spodziewam się przede wszystkim, że pan sam nie będzie miał o mnie z tego powodu złego wyobrażenia; to by mnie zmartwiło daleko więcej jeszcze niż wszystko. Mogę upewnić, że nie zgodziłabym się na to dla nikogo prócz pana. Chciałabym bardzo, aby pan w zamian nigdy nie był już taki smutny jak wtedy; to mi odbiera całą przyjemność widzenia pana. Widzi pan, mówię do pana bardzo szczerze. Z całego serca bym chciała, aby nasza przyjaźń trwała wiecznie, ale proszę bardzo, niech pan już nie pisze.

Mam zaszczyt pozostać...

Cecylia Volanges

21 sierpnia 17\*\*

## LIST XX

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Ej, wicehrabio, nic dobrego z ciebie, przymilasz mi się z obawy, abym sobie nie drwiła! Ale nie lękaj się, przebaczam ci: piszesz mi w swoim liście tyle szaleństw, że muszę ci wybaczyć statek<sup>69</sup>, jaki narzuca ci prezydentowa. Nie zdaje mi się, aby mój kawaler umiał się zdobyć na równą pobłażliwość; sądzę przeciwnie, że takie odnowienie kontraktu między nami nie bardzo by mu się podobało i że twój szalony pomysł wcale by mu się nie wydał zabawny. Co do mnie, uśmiełam się z całego serca i doprawdy żalowałam, że musiałam śmiać się sama jedna. Gdybyś w tej chwili znalazł się gdzieś pod ręką, nie wiem, dokąd by mnie zaprowadziło rozbawienie; ale miałam czas opamiętać się i uzbroić w pancerz surowości. Nie znaczy to, abym odmawiała na zawsze; ale odraczam; mam powody. Gotowa by się jeszcze we mnie obudzić miłość własna, a skoro raz już ona wejdzie w grę, nigdy nie wiadomo, dokąd może zaprowadzić. Byłabym zdolna na nowo jeszcze chcieć zakuć cię w kajdany i przyprawić o zapomnienie twojej prezydentowej; a gdybym ja, niegodna, miała obrzydzić ci powab cnoty, pomysł, co za zgorzenie! By uniknąć tego niebezpieczeństwa, oto moje warunki:

Skoro tylko zdobędziesz piękną nabożnisę i będziesz mi mógł dostarczyć dowodów w tej mierze, przybywaj, a jestem twoja. Ale nie potrzebuję ci mówić, że w sprawach tej wagi dowody muszą być na piśmie. Przez taki układ, z jednej strony, ja stanę się nagrodą zamiast być pocieszeniem, i ta myśl bardziej mi się uśmiecha; z drugiej, zwycięstwo twoje nad tą cnotką nabierze jeszcze ostrzejszego smaku, stając się tym samym drogą do tym rychlejszej niewierności. Przybywaj więc, przybywaj, jak najspieszniej przynieść mi zakład swego tryumfu: podobny do dawnych chrobrych<sup>70</sup> rycerzy, którzy u stóp swoich dam składali świetne trofea zwycięstwa. Doprawdy, szczerze ciekawa jestem, co może pisać skromnisia po takim momencie i w jakie zasłony stroi jeszcze swoje gawędy wówczas, gdy osobę pozwoliła już rozebrać ze wszystkich. Twoją rzeczą rozważyć, czy stawiam za siebie cenę zbyt wysoką; ale uprzedzam, że nic z niej nie opuszczę. Aż do tego czasu, drogi wicehrabio, pozwolisz, że zostanę wierną kawalerowi i nadal będę się zabawiała uszczęśliwianiem go, mimo drobnej przykrości, o jaką cię to przyprawia.

Jednakże, gdybym mniej miała zasad moralnych, obawiam się, iż miałby on w tej chwili niebezpiecznego rywala: a to w osobie małej Volanges. Szaleję wprost za tym dzieckiem: to istna namiętność. Albo się bardzo mylę, albo też będzie ona kiedyś jedną z naszych najbardziej rozrywanych piękności. Patrząc, jak stopniowo rozwija się to małe serduszek: obrazek wprost zachwycający. Kocha się już w Dancenym z całą zapamiętałością, ale jeszcze nic o tym nie wie. On, zakochany po uszy, ale niezdarne jak młokos, nie śmie jej nadto okazywać swych zapałów. Oboje ubóstwiają mnie po prostu. Mała

<sup>69</sup>statek (daw.) — stateczność. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>chrobry (daw.) — odważny. [przypis edytorski]

zwłaszcza ma straszliwą ochotę zwierzyć mi się ze swą tajemnicą; od kilku dni widzę, że wprost rady sobie dać nie może. Wyświadczyłabym jej wielką przysługę, gdybym jej trochę dopomogła: ale nie zapominam o tym, że to zupełnie dziecko i nie chcę się narażać. Danceny wynurzał się przede mną nieco wyraźniej; co do niego, droga moja jest zupełnie jasna: nie chcę słyszeć o niczym. Co się tyczy małej, nieraz bierze mnie pokusa, aby z niej zrobić swoją uczennicę; miałabym wielką ochotę oddać tę przysługę Gercourtowi. Czasu zostawia mi aż nadto, skoro aż do października uwięziony jest na Korsyce. Bardzo mi się coś zdaje, że skorzystam z odwłoki<sup>71</sup> i że w miejsce niewinnej pensjonarki damy mu za żonę zupełnie już gotową kobietkę. Cóż to w istocie za zuchwała pewność siebie u tego człowieka, który ośmiela się zasypiać spokojnie, podczas gdy obrażona przezeń kobieta nie zemściła się jeszcze? Ot, gdybym miała w tej chwili pod ręką tę małą, nie wiem sama, czego bym jej nie naplotła.

Bywaj mi zdrów, wicehrabio; życzę ci dobrej nocy i powodzenia w zamysłach: ale, na miłość Boga, postępujże trochę. Pomyśl, że jeżeli ty nie będziesz miał tej kobiety, wszystkie inne będą musiały się rumienić, iż miały ciebie.

19 sierpnia 17\*\*

## LIST XXI

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Nareszcie, piękna przyjaciółko, zrobiłem krok naprzód, ale krok nie lada; jeżeli nie doprowadził mnie do celu, to pouczył przynajmniej, że znajduję się na dobrej drodze, i rozprószył obawy, żali<sup>72</sup> przypadkiem nie zbłądziłem na manowce. Nareszcie wyznałem miłość i jakkolwiek zachowano w tej mierze najupartsze<sup>73</sup> milczenie, zdobyłem mimo to odpowiedź równie pochlebną, jak niezostawiającą wątpliwości. Ale nie uprzedzajmy wypadków i sięgnijmy do początków.

Przypominasz sobie może, iż pani moja kazała śledzić me kroki. Zapragnąłem tedy, aby to gorszące przedsięwzięcie obróciło się ku powszechnemu zbudowaniu, i oto co uczyniłem. Polecilem memu *factotum*<sup>74</sup>, aby mi znalazł w okolicy jakiegoś potrzebującego pomocy biedaka. Zlecenie nietrudne do wykonania. Wczoraj po południu przyszedł mi oznajmić, że dziś rano komornik ma zając cały dobytek ubogiej rodziny niemającej z czego opłacić podatku. Upewniłem się, że nie ma w tym domu żadnej dziewczyny ani kobiety, której wiek i uroda mogłyby uczynić postępek mój podejrzanym; i gdy już o wszystkim dokładnie zasięgnąłem języka, objawiłem przy wieczerzy zamiar udania się na polowanie nazajutrz wczesnym rankiem.

Tu muszę oddać sprawiedliwość prezydentowej: z pewnością musiały ją nieco dręczyć wyrzuty sumienia, iż puściła się na śliską drogę śledzenia cudzych postępków, nie mając zaś siły do zwalczania ciekawości, zdobyła się na odwagę zwalczania mego zamiaru. „Zapowiada się na jutro straszne gorąco; mogę się nabawić choroby; nic nie zabiję i tylko zmęcze się na próżno”, etc. etc. W ciągu tych perswazji, spojrzenia jej, wymowniejsze może, niżby sama pragnęła, dostatecznie jawiły, jak gorąco sobie życzy, abym te liche racje przyjął za dobrą monetę. Ani mi w głowie było się poddawać, jak łatwo możesz się domyślić, markizo; oparłem się nawet małej diatrybie<sup>75</sup> przeciw polowaniu i myśliwym, jak również lekkiej chmurce niezadowolenia, która przesłoniła na resztę wieczoru niebiańskie oblicze. Obawiałem się przez chwilę, aby nie odwołała poleceń i aby ten spóźniony skrupuł nie pokrzyżował mych planów. Nie brałem w rachubę kobiecej ciekawości; toteż omyliłem się. Strzelec mój rozproszył obawy jeszcze tego samego wieczoru, zaczę<sup>76</sup>, pełen zadowolenia, udałem się na spoczynek.

<sup>71</sup> *odwłoka* (daw.) — zwłoka, odłożenie sprawy. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *żali* (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *najupartszy* — dziś tylko: najbardziej uparty. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *factotum* (łac.) — służący lub inna osoba wykonująca wiele różnych czynności. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *diatryba* — wypowiedź wyrażająca protest lub krytykę. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *zaczem* (daw.) — po czym, następnie. [przypis edytorski]

Z pierwszym braskiem zrywam się i wychodzę. Ledwie o pięćdziesiąt kroków od zamku spostrzegam szpiega, który postępuje trop w trop za mną. Wchodzę na teren polowania i posuwam się przez pola ku wiosce, będącej celem mej wyprawy, nie mając w ciągu drogi innej rozrywki, jak tylko porządne przepędzenie gamonia, który bojąc się zejść z gościńca, musiał przebiegać przy każdym zwrocie potrójną drogę. Jednakże pędząc go w ten sposób i sam zgrzałem się porządnie; aby więc odpocząć chwilę, usiadłem pod drzewem. Patrząc spod oka, a ten hultaj posuwa bezczelność tak daleko, że skrada się wzdłuż krzaków odległych nie więcej niż o dwadzieścia kroków i również się rozsiada! Przez chwilę korciło mnie, aby mu posłać z jeden nabój, który, choć z drobnego śrutu, pouczyłby go dostatecznie o niebezpieczeństwach ciekawości: szczęściem dla niego, przypomniałem sobie, że ten szpieg jest użyteczny, a nawet potrzebny dla moich zamysłów; ta refleksja ocaliła go.

Niebawem, znalazłem się we wsi; widzę zbiegowisko; zbliżam się, wypytuję; opowiadają mi wydarzenie. Każę wołać komornika i idąc za popędem szlachetnego współczucia, płacę wspaniałomyślnie pięćdziesiąt sześć funtów, za cenę których pięć osób miało postradać dach nad głową i możliwość pracy. Po tym uczynku tak prostym, nie wyobrażasz sobie, markizo, jakie błogosławieństwa posypały się na mą głowę. Jakie łzy wdzięczności płynęły z oczu starca, głowy rodziny, i jaką piękną uszlachetniły to oblicze patriarchy, które chwilę przedtem było niemal wstrętne z malującym się piętnem najstraszliwszej rozpacz! Przyglądałem się temu widowisku, gdy nagle inny wieśniak, młodszy, prowadząc za rękę żonę i dwoje dzieci i zbliżając się pośpiesznym krokiem, rzekł: „Padnijmy wszyscy do nóg tego pana, dobrego jak sam Bóg”. W tej samej chwili ujrzałem całą rodzinę klęczącą u mych kolan. Przyznaję się do chwili słabości: oczy zwilżyły mi się łzami; uczulem jakieś wzruszenie niezależne od woli, ale pełne rozkoszy. Zdumiony byłem odkryciem, jak wiele przyjemności znajduje się, czyniąc dobrze; skłonny jestem do przypuszczenia, że ci, których zwykliśmy nazywać cnotliwymi ludźmi, nie mają może tak wielkiej zasługi, jak by się zdawało na pozór. Tak czy owak, uważałem za słuszne zapłacić biednym ludziom przyjemność, jaką mi sprawili. Wziąłem z sobą dziesięć luidorów<sup>77</sup>; rozdałem je.

Tak tedy pośród rozlewnych błogosławieństw całej rodziny, wyglądałem sobie na jakiegoś bohatera dramatu w chwili szczęśliwego rozwiązania. Pojmujesz, że w tym tłumie główną osobą był dla mnie gorliwy szpieg. Cel był osiągnięty; uwolniłem się od gromady i wróciłem do zamku. Razem wzięwszy, mogę sobie powinszować pomysłu. Ta kobieta warta jest niewątpliwie, aby sobie zadać dla niej tyle trudów; kiedyś staną się one dla mnie brzęczącą walutą; w ten sposób, zapłaciwszy niejako z góry, będę mógł rozrządzać jej osobą wedle zachcenia, bez najmniejszych wyrzutów.

Zapomniałem dodać, że chcąc już wszystko wyzyskać, prosiłem pocziwych ludzi, aby się modlili do Boga za spełnienie mych zamiarów. Zaraz przekonasz się, czy ich prośby nie zostały już w części wysłuchane... Ale oto oznajmiamą mi, że wieczerza na stole; byłoby już za późno na wysłanie listu, gdybym go miał kończyć, dopiero udając się na spoczynek. Zostawiam więc resztę do następnej przesyłki. Żałuję bardzo, bo reszta jest najciekawsza. Do widzenia, miła przyjaciółko. Okradasz mnie o jedną chwilę przyjemności oglądania mego bóstwa.

18 sierpnia 17\*\*

## LIST XXII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges*

Sądzę, iż rada pani będzie zapoznać się z pewnym rysem charakteru pana de Valmont; rysem, który, o ile mi się zdaje, odbiega ogromnie od tych, jakimi go pani odmalowano. Tak przykro jest myśleć niekorzystnie o kimkolwiek, tak boleśnie znajdować jedynie błędy w tych, którzy by mieli wszelkie potrzebne warunki, aby przedstawiać cnotę we wszystkich jej powabach! Wreszcie, pani tak ceni pobłażliwość, że jedynie można cię uczieszyć, dostarczając motywów odstąpienia od nazbyt może surowego sądu. Zdaje mi

<sup>77</sup>luidor — złota moneta francuska, bita od 1640 do 1791 r. [przypis edytorski]

się, że pan de Valmont miałby prawo do tej łaski, powiedziałabym niemal do tej sprawiedliwości; i oto na czym buduję swój sąd.

Dziś rano wybrał się na jedną z owych przechadzek, które mogły pani nasunąć przypuszczenie, iż pan de Valmont nawiązuje już jakąś miłośćkę w okolicy, przypuszczenie, którego — przyznając się do winy — chwyciłam się może z nazbyt wielką żywością. Szczęściem dla niego, a zwłaszcza szczęściem dla nas (ponieważ ocala nas to od niesprawiedliwości), któryś z moich ludzi szedł właśnie w tę samą stronę<sup>78</sup>; dzięki temu ciekawość moja, karygodna, ale w tym wypadku zbawienna, została zaspokojona. Człowiek ów przyniósł wiadomość, że pan de Valmont, znalazłszy we wsi \*\*\* nieszczęśliwą rodzinę, której dobytek właśnie miano zająć, ponieważ nie miała z czego opłacić podatków, nie tylko pośpieszył z wyrównaniem długu biednych ludzi, ale nawet wręczył im dość znaczną kwotę. Biedacy wspominali również o jakimś służącym, który wedle opisu wygląda na służącego pana de Valmont, a który poprzedniego dnia zasięgał wiadomości o mieszkańcach wsi najbardziej potrzebujących pomocy. Jeżeli tak było w istocie, nie jest to nawet przelotne współczucie wypływające z przypadku; to już określony zamiar czynienia dobrze; dobroczynność uprawiana ze zrozumieniem; najwznioślejsza cnota najpiękniejszych dusz na ziemi. Zresztą, z rozmysłu czy z przypadku, jest to w każdym razie czyn zacny i chwalebny; samo opowiadanie o nim do łez mnie poruszyło. Dodam więcej, również dla sprawiedliwości, że kiedy wspomniałam panu de Valmont o zdarzeniu, o którym sam nie rzekł ani słowa, zrazu się zapierał, a skoro wreszcie się przyznał, uczynił to ze skromnością zwiększającą jeszcze zasługę.

A teraz, powiedz mi, czcigodna przyjaciółko: jeżeli pan de Valmont jest w istocie zakamieniałym niegodziwcem, a postępuje w ten sposób, cóż zaprawdę wypadnie czynić ludziom poczciwym? Jak to! Żyli mieliby dzielić z dobrymi święte rozkosze zacnego uczynku? Bóg miałby pozwolić, aby cnotliwa rodzina otrzymywała z ręki nędznika ratunek i składała zań dzięki Jego boskiej Opatrzności? Mógłby sobie podobać w tym, aby słyszeć, jak czyste usta zlewają błogosławieństwa na jakiegoś wyrodka? Nie. Wolę raczej przypuścić, że błędy jego, choć zastarzałe, nie płyną z jego natury; nie mogę myśleć, aby ten, który czyni dobrze, miał być wrogiem cnoty. Pan de Valmont jest może tylko jednym przykładem więcej niebezpieczeństwa złych wpływów. Chwytam się tego przypuszczenia, w które rada bym uwierzyć.

Mam zaszczyt być, etc.

PS Pani de Rosemonde i ja wybieramy się w tej chwili, aby poznać tę zacną a nieszczęśliwą rodzinę i dołączyć naszą spóźnioną pomoc do ofiary pana de Valmont. Weźmiemy go z sobą. W ten sposób damy przynajmniej tym dobrym ludziom przyjemność oglądania swego dobroczyńcy; to, zdaje się, wszystko, co nam pozostawił.

*Z zamku \*\*\*, 18 sierpnia 17\*\**

## LIST XXIII

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Przerwaliśmy tedy korespondencję w chwili mego powrotu do zamku; idźmy dalej. Otóż przebrałem się spiesźnie i udałem do salonu, gdzie moja pani pracowała nad haftem, podczas gdy proboszcz czytał ciotce gazetę. Zbliżyłem się i usiadłem przy krosnach. Parę spojrzeń, słodszych jeszcze niż zazwyczaj, niemal pieszczotliwych, pozwoliło mi domyślić się, że służący musiał już zdać sprawę z poselstwa. Jakoż ciekawa istotka nie umiała długo utrzymać tak chytrze zdobytej tajemnicy i nie wahając się przerwać czcigodnemu pastarzowi, którego czytanie mocno przypominało kazanie niedzielne, rzekła: „I ja mam także coś do opowiedzenia”; po czym z miejsca wyrecytowała całą mą przygodę z dokładnością zaszczytnie świadcząca o jej talencie dziejopisa. Wyobrażasz sobie, jak skwapliwie rozwinałem skarby skromności: ale któż byłby zdolny powstrzymać kobietę śpiewającą bezwiednie pochwały tego, którego kocha? Ostatecznie, trzeba jej było zostawić wolne pole.

<sup>78</sup>szczęściem (...), któryś z moich ludzi szedł właśnie w tę samą stronę — Czyżby pani de Tourvel nie śmiała wyznać, iż było to z jej rozkazu? [przypis autorski]

Podczas tego panegiryku<sup>79</sup> ja, śledząc ją spod oka, czerpałem najrozkoszniejsze nadzieje w tkliwym spojrzeniu, ruchach bardziej ożywionych niż zazwyczaj, a przede wszystkim w głosie, który już samym zmienionym brzmieniem zdradzał stan jej duszy. Zaledwie skończyła mówić, ozwała się pani de Rosemonde: „Pójdź, chłopcze, niech cię ucałuję”. Połapałem się natychmiast, że piękna kaznodziejka również nie będzie mogła się obronić przed moim uściskiem. Mimo to chciała uciekać, ale w tejże chwili znalazła się w moich ramionach: nie tylko że nie miała mocy się opierać, ale zaledwie zdołała utrzymać się na nogach. Im dłużej patrzę na tę kobietę, tym bardziej staje mi się pożądaną. Z pośpiechem wróciła do krosien i na pozór zabrała się do haftu; ale widziałem dobrze, że drżenie rąk nie pozwala jej rozpocząć.

Po obiedzie panie zapragnęły ujrzeć ową tak wspaniałomyślnie ocaloną rodzinę; musiałem im towarzyszyć. Oszczędzę ci, markizo, nudy wysłuchania drugiej serii pochwał i wdzięczności. W ciągu drogi piękna prezydentowa, pogrążona w zadumie, nie rzekła ani słowa. Ja również milczałem, myśląc nad sposobami rychłego wykorzystania dzisiejszych wypadków. Jedynie pani de Rosemonde usiłowała gawędzić, odbierając zaledwie skąpe i krótkie odpowiedzi. Musieliśmy ją znudzić; leżało to w moich planach i powiodło się w zupełności. Toteż wysiadłszy z powozu, udała się do swoich pokoi, zostawiając nas sam na sam w słabo oświetlonym salonie: łagodny półmrok, dodający odwagi trwożliwej miłości.

Bez trudu udało mi się skierować rozmowę na zamierzone tory. Zapał uroczej kazo-dziejki przyszedł mi z pomocą. „Skoro się jest tak powołanym do tego, aby czynić dobrze — rzekła, kładąc na mnie lube spojrzenie — jak można trawić życie na złym?” — „Nie zasługuję — odparłem — ani na tyle pochwał, ani na tyle potępienia; nie pojmuję, w ja-ki sposób przy swoim rozumie i bystrości nie przeniknęła jeszcze pani mojej tajemnicy. Chociażby szczerść miała mi zaszkodzić w pani oczach, zbyt godną jej jesteś, bym mógł przed tobą coś ukrywać. Klucz do mego dotychczasowego życia znajdziesz w charakte-rze, niestety nazbyt słabym. Otoczony towarzystwem ludzi bez zasad, naśladowałem ich błędy: być może nawet sililem się przewyższyć ich jeszcze. Tak samo teraz, pociągnię-ty przykładem cnoty, choć bez nadziei dorównania ci, pani, chciałem próbować bodaj zbliżyć się do ciebie. Kto wie? Czyn, za który chwalisz mnie dzisiaj, straciłby może całą wartość w twych oczach, gdybyś знаła jego prawdziwe pobudki! (Widzisz markizo, jak bliskim tutaj byłem najistotniejszej prawdy.) Wcale nie mnie — ciągnąłem — ci biedacy zawdzięczają ratunek. Tam, gdzie pani widzisz chwalebny postęp, ja szukałem jedy-nie sposobu podniesienia się w twych oczach. Byłem, skoro mam wyznać całą prawdę, jedynie słabym narzędziem Bóstwa, które uwielbiam. (Tu chciała przerwać, lecz nie po-zwoliłem.) I dziś — dodałem — jedynie słabość charakteru zdradziła ci mą tajemnicę. Przyrzekłem sobie zmilczeć ją przed panią; szczęściem mi było nieść twoim cnotom, jak i twoim wdziękom, czysty hołd, o którym nigdy nie miałaś się dowiedzieć. Nie zdołałem wytrwać, ale w ten sposób nie będę sobie przynajmniej wyrzucał wobec ciebie niegodnej obłudy. Nie sądz, pani, iż śmiem cię obrażać zuchwałą nadzieją. Będę nieszczęśliwym, wiem o tym: ale cierpienia moje pozostaną mi zawsze drogic: będą świadectwem bez-miaru mej miłości; u twoich stóp, na twym łonie pragnę złożyć swoje udęczenia. Tam będę czerpał siły do nowych cierpień; tam znajdę pełną współczucia dobroć i ulgę w nie-doli, skoro ty, pani, użalisz się nade mną. O ty, którą ubóstwiam, wysłuchaj mnie, ulituj się nade mną, wesprzyj mnie”. W ciągu tej przemowy znalazłem się u jej kolan i tuliłem jej ręce; ale ona, uwalniając je nagle z mego uścisku i przyciskając do oczu z wyrazem rozpacz, wykrzyknęła: „Ach, ja nieszczęśliwa!”. Po czym załża się łzami. Na szczęście, ja przejąłem się do tego stopnia rolą, że płakałem również; ujmując na nowo jej ręce, ob-lałem je obficie łzami, było to prawie że konieczne, gdyż pochłonięta własną boleścią nie byłaby zauważyła mego wzruszenia. Dzięki temu mogłem do syta napatrzeć się tej cza-rującej twarzy, którą przemożny powab łez czynił jeszcze piękniejszą. Głowę miałem całą w ogniu i tak dalece nie byłem panem siebie, że już chciałem się pokusić o wykorzystanie sytuacji.

Ach, jakież słaby jest człowiek! Jakąż władzę mają nad nami okoliczności, skoro ja sam, zapominając o mych zamiarach, gotów już byłem przez takie przedwczesne zwycięstwo

<sup>79</sup>panegiryk — utwór wysławiający osobę, czyn lub wydarzenie. [przypis edytorski]

poświęcić urok długich walk i słodczy powolnego upadku; skoro, uniesiony pragnieniem istotnie godnym młokosa, miałem już narazić zwyciężcę pani de Tourvel na to, aby otrzymał jako owoc mozołów jedynie mdlą przyjemność posiadania jednej kobiety więcej! Och, nie! Niechaj się podda, ale niech walczy; niechaj, nie mając dość siły, aby zwyciężyć, ma jej na tyle, aby się opierać; niech karmi się do syta poczuciem własnej słabości i niech będzie zmuszona sama uznać swą porażkę. Zostawmy raubszycom<sup>80</sup> zabicie jelenia z zasadzki: prawdziwy myśliwiec<sup>81</sup> musi go ująć w regularnym pościgu. Jest coś szczytnego w tym zamiarze, nieprawdaż, ale kto wie, czy zdołałbym w nim wytrwać, gdyby przypadek nie był przyszedł na pomoc roztropności.

Usłyszeliśmy szelest. Ktoś wszedł, pani de Tourvel, przestraszona, wstała śpiesznie, pochwyciła świecznik i wyszła. Nie mogłem jej zatrzymywać. Okazało się, że to tylko służący. Skoro tylko upewniłem się o tym, podążyłem za nią. Zaledwie uczyniłem kilka kroków, ona, zdjęta uczuciem nieokreślonego lęku, przyspieszyła kroku i wpadła raczej niż weszła do swego pokoju, zamykając gwałtownie drzwi. Chciałem wśliznąć się za nią, ale zamknęła się na klucz. Nie zapukałem oczywiście; byłbym jej dał sposobność do nazbyt łatwego oporu. Wpadłem na szczęśliwą a prostą myśl, aby zajrzeć przez dziurkę od klucza: ujrzałem tę anielską kobietę na kolanach, zalaną łzami i pogrążoną w gorącej modlitwie. Jakiegoż Boga ważyła się przyzywać? Czyż istnieje potężniejszy niżeli Miłość? Na próżno próbuje się uciekać do obcej pomocy; w moim już ręku spoczywają jej losy.

W przekonaniu, iż dosyć działałem jak na jeden dzień, udałem się również do siebie i zabrałem się do tego listu. Myślałem, że ujrzę panią de Tourvel przy wieczerzy; kazała oznajmić, że jest cierpiąca i położyła się. Pani de Rosemonde chciała ją odwiedzić; wymówiła się straszliwym bólem głowy. Pojmujesz, że po wieczerzy niedługo trwała zabawa w salonie i że ja również dostałem migreny. Wróciwszy do siebie, napisałem długi list z wyrzutami za takie postępowanie i położyłem się z zamiarem oddania go nazajutrz rano. Nie mogąc usnąć, wstałem, aby jeszcze odczytać swoje bazgroty, i stwierdziłem, że nie dosyć czuwałem nad sobą; więcej w nich przebija pożądania niż miłości i więcej złego humoru niż smutku. Będę musiał przerobić; ale na to trzeba by mieć spokojniejszą głowę.

Już pierwszy brzask na niebie; może on mi sen przyniesie. Wracam do łóżka; mimo całej władzy, jaką ma nade mną ta kobieta, przysięgam ci, markizo, aż nazbyt często nawiedza mnie w snach twoja urocza postać. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

19 sierpnia 17\*\*\*, o godzinie 4 rano

## LIST XXIV

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Ach, przez litość, pani, chciej ukoić niepokój mej duszy; chciej objawić mi, czego mam się spodziewać lub lękać. Zawieszonemu między bezmiarem szczęścia lub niedoli, niepewność nazbyt okrutnym jest cierpieniem. Po cóż uczyniłem to wyznanie? Czemuż nie umiałem się oprzeć przemożnemu czarowi, który zdradził przed tobą, pani, tajniki mych myśli? Szczęśliwy, iż mogłem uwielbiać cię w milczeniu, upajałem się własną miłością; uczucie, którego nie mącił wówczas obraz twego cierpienia, zaspakajało pragnienia mego serca: ale to źródło szczęścia stało się źródłem rozpaczki od chwili, gdy ujrzałem lzy płynące z twych oczu, od czasu, gdy usłyszałem owo okrutne: „Ach, ja nieszczęśliwa!”. Pani, te dwa słowa dźwiżyć mi długo będą w sercu. Przez jakąż fatalność to najśłodsze z uczuć mogło obudzić w tobie jedynie zgrozę? Jakiż widzisz powód do obawy? Ach, nie ten chyba, byś miała kiedy podzielić to uczucie: ty, pani, mimo iż ludziłem się dotąd w tej mierze, nie jesteś stworzona dla miłości; moje jedynie serce, które ty spotwarzasz bezustannie, zdolne jest do uczucia, twoje nawet litować się nie umie. Inaczej nie byłabyś odmówiła słowa pociechy nieszczęśliwemu, który zwierzył ci swe cierpienia; nie byłabyś odarła jego spojrzeń ze swego widoku, gdy on nie posiada innej rozkoszy niż słodczy

<sup>80</sup>raubszy (daw.) — kłusownik. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>myśliwiec — dziś popr.: myśliwy. [przypis edytorski]

twego obrazu; nie byłabyś sobie uczyniła okrutnej igraszki z jego niepokoju, byłabyś odczuła, że ta noc — dla ciebie jedynie dwanaście godzin spoczynku — miała być dla niego wiekiem cierpienia.

I czym, powiedz, zasłużyłem na tę bezlitosną surowość? Nie lękam się ciebie samej wziąć za sędziego: cóż więc uczyniłem? Prócz tego, iż niezależnie od mej woli uległem uczuciu natchnionemu przez twą piękność i cnotę; uczuciu, które nigdy nie przekroczyło granic szacunku, a którego niewinne wyznanie było następstwem zaufania, nie zaś nadziei. Czyż chciałabyś, pani, zdradzić ufność, którą sama zdawałaś się upoważniać i której ja się oddałem bez zastrzeżeń? Nie, nie mogę uwierzyć; to znaczyłoby doszukiwać się w tobie błędu, a serce moje buntuje się na myśl znalezienia go w tobie: cofam wszystkie wyrzuty; mogłem to napisać, ale nie mogłem pomyśleć. Ach! Pozwól mi pani wierzyć, iż jesteś doskonałą! Oto jedyne szczęście, jakie mi pozostało. Czyż zdarzyło ci się kiedy użyć pomocy nieszczęśliwemu, który by jej bardziej potrzebował? Nie opuszczaj mnie w obłędzie, w jakim mnie pograżałaś: użyj mi swego rozumu, skoro wydarłaś mi własny; nawróciwszy mnie, oświeć jeszcze, aby dokończyć swego dzieła.

Nie chcę cię oszukiwać, pani: nie zdołasz dokonać tego, byś miała zwyciężyć mą miłość; ale nauczysz mnie panować nad nią: kierując moimi postępami, dyktując słowa, ocalisz mnie przynajmniej od strasznego nieszczęścia obrażenia ciebie. Racz przede wszystkim rozproszyc tę rozpacz pełną obawę; powiedz, że mi przebaczasz, że się litujesz; upewnij mnie o swym pobłażaniu. Nie będziesz go miała z pewnością nigdy tak wiele, ile ja bym pragnął; ale błagam o tyle bodaj, ile mi jest niezbędne do życia: czy i tego odmówisz?

Bądź zdrowa, pani; racz przyjąć z dobrocią ten hołd mych uczuć dla ciebie; nie jest zdolny w niczym osłabić mego bezgranicznego szacunku.

19 sierpnia 17\*\*

## LIST XXV

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Oto przebieg wczorajszego dnia: o jedenastej udałem się do pani de Rosemonde i pod jej ochroną dostałem się do niby-chorej, która jeszcze spoczywała w łóżku. Oczy miała bardzo zmęczone; przypuszczam, że i ona źle spała tej nocy. Skorzystałem z tego, że pani de Rosemonde oddaliła się na chwilę, i podałem list; zrazu nie chciała przyjąć; ale położyłem na łóżku i poszedłem najniewinniej przysunąć fotel staruszki, która chciała umieścić się tuż koło *swjej pieszczotki*; trzeba więc było ukryć list, aby uniknąć skandalu. Chora, bardzo nieostrożnie, napomknęła coś o gorączce. Pani de Rosemonde poleciła mi ująć ją za puls<sup>82</sup>, wysławiając wielce moje doświadczenie lekarskie. Panią de Tourvel spotkała więc podwójna przykrość: jedna, iż musiała powierzyć mi rękę, druga, iż drobne kłamstewko wyszło natychmiast na jaw. Ująłem dłoń, ściskając ją czule; równocześnie zaś, drugą ręką, ślizgałem się po świeżym i pulchnym ramieniu. Przebiegła osóbką nie odpowiedziała na to wszystko najmniejszym znakiem życia, rzekłem więc, puszczając rękę: „Nie ma najlżejszego przyspieszenia”. Czulem, iż minkę musi mieć bardzo surową, toteż za karę nie szukałem jej spojrzeń. W chwilę potem rzekła, iż pragnie wstać, zostawiłszy więc ją samą. Obiad upłynął dość niewesoło, po czym pani de Tourvel oświadczyła, iż nie pójdzie na przechadzkę, dając mi tym samym do zrozumienia, że nie będę miał sposobności z nią mówić. Uczulem, iż tu jest właściwy moment na westchnienie i wzrok przepelniony boleścią; widocznie spodziewała się tego, gdyż spojrzała na mnie; była to jedyna chwila w całym dniu, w której udało mi się spotkać jej oczy. Mimo całej cnoty i ona ma swoje sztuczki, jak każda. Znalazłem okazję, aby zapytać, czy *była na tyle łaskawą, by uwiadomić mnie o moim losie*; zdziwiłem się nieco, usłyszawszy: *Owszem, odpisałam panu*. Pilno mi było dobrać się do tej epistoły<sup>83</sup>; ale czy to przez chytrą, czy

<sup>82</sup>*puls* — tu: miejsce na ciele (najczęściej na przegubie dłoni), w którym wyczuwane są drgania wywołane krążeniem krwi. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*epistola* — daw. list, przen. długi, nudny list. [przypis edytorski]



przez niezręczność lub bojaźliwość, oddała mi ją dopiero wieczorem, w chwili rozstania. Posyłam ci, markizo, ten list, również jak brulion<sup>84</sup> mego; czytaj i sądz; widzisz, z jaką skończoną obłudą ta dama twierdzi, że mnie nie kocha, gdy z pewnością rzecz się ma wręcz przeciwnie; i jeszcze gotowa się żalić, jeśli ja ją będę oszukiwał *potem*, gdy ona nie waha się oszukiwać mnie już *przedtem*! Tak, piękna przyjaciółko, najprzebieglejszy mężczyzna jeszcze nie dorówna w fałszu najbardziej szczerzej kobiecie. Mimo to trzeba będzie udawać, iż wierzę tej całej gadaninie i odgrywać sceny rozpacz, bo pani przyszła chętna bawić się w niezłomną cnotę! I jak tu się nie mścić za takie szelmstwa!... No! cierpliwości!... Ale do widzenia. Mam jeszcze dużo do pisania.

Ale, ale, nie zapomnij odesłać mi listu mojej tyranki; kto wie? mogłaby w przyszłości przywiązywać wagę do takich głupstewek; chcę być, na wszelki wypadek, w porządku.

Nie piszę nic w kwestii małej Volanges; pomówimy przy najbliższej sposobności.

Zamek \*\*\*, 20 sierpnia 17\*\*

## LIST XXVI

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

Może pan być pewny, iż nie otrzymałby pan żadnej odpowiedzi, gdyby moje niemądre zachowanie wczoraj wieczorem nie zmuszało mnie do paru wyjaśnień. Tak jest, płakałam, przyznając: może również i te dwa słowa, które pan przytaczasz z taką skwapliwością, wymknęły mi się z ust; widzę, że nic nie uszło pańskiej bacności; trzeba więc wszystko wytłumaczyć.

Ponieważ przywykłam wzbudzać tylko zacne i godziwe uczucia, brać udział jedynie w rozmowach, których mogę słuchać bez rumieńca, słowem, cieszyć się bezpieczeństwem, na które zasługuję, nie umiem ani udawać, ani też ukrywać wrażeń. Zdumienie i pomieszanie wywołane pańskim zachowaniem, jakiś niezrozumiały lęk spowodowany sytuacją, w jakiej nie powinnam się była nigdy znaleźć, być może wzburzenie, iż widzę się zrównaną z owymi kobietami, którymi pan pogardzasz i traktowaną przezeń w równie lekki sposób — oto, co było powodem łez i wydarło mi z ust słowa skargi. Wyrażenie, które wydało się panu tak silnym, byłoby z pewnością o wiele jeszcze za słabe, gdyby mój płacz i wykrzyknik miały jeszcze inną pobudkę; gdybym zamiast potępiać pańskie obrażające uczucia, mogła się lękać, iż kiedykolwiek będę zdolna je podzielić.

Nie, panie, nie mam tej obawy; gdybym ją miała, uciekłabym o sto mil; udałabym się na pustynię, aby tam płakać nad nieszczęściem, iż spotkałam pana na mej drodze. Może nawet, mimo całej pewności, że pana nie kocham, że go nigdy nie pokocham, może byłabym lepiej uczyniła, idąc za radą przyjaciół i nie pozwalając nawet przybliżyć się do siebie.

Uwierzyłam, to moja jedyna wina, uwierzyłam, że pan potrafi uszanować uczciwą kobietę, która najszczerzej pragnęła i pana również uważać za uczciwego człowieka; która stawiała nawet w pańskiej obronie, podczas gdy pan znieważałeś ją przez swe zbrodnicze zamiary. Pan mnie nie zna; nie, panie, pan mnie nie zna. Inaczej nie przyszłoby panu na myśl brnąć z jednego zuchwałstwa w drugie. Stąd, iż ośmieliłeś się mówić rzeczy, których nie powinnam słuchać, uczuleś się w prawie napisania listu, którego nie powinna bym czytać: i po tym wszystkim prosisz, abym *kierowała twymi postępami, dyktowała słowa!* Dobrze więc, stanie się, jak pan żąda; milczenie i niepamięć, oto rady, jakich mnie przystoi udzielić, panu usłuchać; wówczas będziesz miał w istocie prawa do mojego pobażania: od pana zależałoby jedynie zdobyć sobie prawa do mej wdzięczności... Ale nie, nie zwrócę się z prośbą do tego, który mnie nie uszanował: nie dam dowodu ufności człowiekowi, który nadużył mego bezpieczeństwa. Zniewalaś mnie pan, bym się go musiała obawiać, może nawet nienawidzić: nie chciałam tego; pragnęłam widzieć w panu jedynie siostrzeńca mej najczcigodniejszej przyjaciółki; przeciwstawiałam głos przyjaźni głosowi ogółu, który pana oskarżał. Zniszczyłeś wszystko; i — przewiduję to — nie będziesz chciał niczego naprawić.

<sup>84</sup>brulion — tekst napisany na brudno. [przypis edytorski]

Poprzestaję na tym, aby oznajmić panu, że jego uczucia obrażają mnie, że ich wyznanie jest dla mnie zniewagą. Nie tylko nie zdobędziesz wzajemności, ale jeśli sobie nie nakazesz milczenia, którego, sądzę, mam prawo oczekiwać, a nawet wymagać od pana, zmusisz mnie, abym pana nigdy nie oglądała na oczy. Dołączam do tego pisma pański list w nadziei, że i pan również zechcesz mi zwrócić mój własny; byłoby dla mnie wielką przykrością, gdyby pozostał jakikolwiek ślad wydarzenia, które nigdy nie powinno było mieć miejsca.

19 sierpnia 17\*\*

## LIST XXVII

*Cecylia Volanges do markizy de Merteuil*

Mój Boże, jaka pani dobra! Jak pani dobrze odczuła, że łatwiej mi będzie pisać niż mówić! Bo też to, co mam pani powiedzieć, bardzo ciężko wyznać: ale przecież pani jest moją przyjaciółką, prawda? Och, tak, ukochaną przyjaciółką! Będę się starała nie bać; mnie tak trudno dać sobie rady bez pani, bez pani wskazówek! Bardzo mi ciężko, zdaje mi się, że każdy od razu pozna po mnie, co myślę: zwłaszcza kiedy on jest, czerwienię się zaraz, jak tylko kto spojrzy na mnie. Wczoraj, kiedy pani widziała, że płakałam, to z tego, że chciałam coś pani powiedzieć, a potem nie mogłam wydobyć słowa, i kiedy pani spytała, co mi jest, łzy mi same jakoś napłynęły do oczu. Nie umiałam po prostu zapanować nad sobą. Żeby nie pani, mama byłaby wszystko spostrzegła i co by się wówczas stało ze mną? Oto jakie jest teraz moje życie, zwłaszcza od czterech dni!

Całe cztery dni upłynęło już, tak, wszystko muszę pani powiedzieć, od czasu jak pan kawaler do mnie napisał. Och, zaręczam pani, że kiedy znalazłam jego list, zupełnie nie wiedziałam, co to takiego! Ale żeby już nic nie skłamać, nie mogę się zaprzeczyć, że strasznie mi się przyjemnie zrobiło, kiedy czytała; widzi pani, wolałabym już mieć zmartwienie przez całe życie, niż żeby on nie był do mnie napisał. Wiedziałam dobrze, że nie powinnam mu tego powiedzieć, mogę pani zaręczyć nawet, powiedziałam, że jestem bardzo rozgniewana; ale on mówi, że to było ponad jego siły i ja to bardzo rozumiem; bo i ja postanowiłam sobie, że mu nie odpowiem, a i tak nie mogłam się powstrzymać i odpowiedziałam. Och, tylko raz napisałam do niego i to nawet głównie po to, żeby mu powiedzieć, żeby już nie pisał: ale mimo to on ciągle pisuje; a że ja mu nie odpowiadam, widzę, że jest taki smutny, a mnie to martwi jeszcze bardziej: tak że nie wiem już, co robić, ani jak postępować, i doprawdy jestem bardzo biedna.

Niech mi pani powie, proszę pani, czy to bardzo byłoby źle, żeby mu odpisać od czasu do czasu? Tylko dopóty, aż on potrafi przemóc na sobie, żeby nie pisać więcej i zostać tak, jak byliśmy przedtem: bo, co do mnie, jak tak dalej będzie, to nie wiem, co się ze mną stanie. O, kiedy czytała ostatni list, tom płakała, płakała tak, żem się nie mogła uspokoić; jestem pewniutka, że jeżeli mu jeszcze teraz nie odpowiem, znowu będziemy mieli masę zmartwienia.

Poślę pani jego list albo odpis i niech pani osądzi: zobaczy pani, że to naprawdę nic złego, o co on prosi. Jednakże jeżeli pani się będzie wydawać, że nie trzeba, to przyrzekam pani, że się powstrzymam; ale pewna jestem, że pani będzie myślała tak jak ja, że w tym nie ma nic złego.

Kiedy już o tym mówimy, niech mi pani pozwoli zadać jeszcze jedno pytanie: mówiono mi, że to źle, żeby kogoś kochać; ale dlaczego? Dlatego się pani pytam, bo kawaler Danceney utrzymuje, że w tym wcale nie ma nic złego i że prawie wszyscy kogoś kochają; gdyby tak było w istocie, nie wiem, czemu ja jedna miałabym sobie zabraniać: lub też, może to jest co złego tylko u panien? Bo przecież słyszałam, jak mama sama mówiła, że pani de D... kocha pana M... i nie mówiła o tym jak o czymś bardzo niedobrym; a przecież pewna jestem, że pogniewałyby się na mnie, gdyby choć trochę domyślała się mojej przyjaźni dla pana Danceney. Mama uważa mnie zawsze za dziecko i o niczym ze mną nie mówi. Myślałam, kiedy mnie odbierała z klasztoru, że to po to, aby mnie wydać za mąż; ale teraz wydaje mi się, że nie: nie żeby mi chodziło o to, zaręczam pani; ale pani,

która jest z nią w takiej przyjaźni, może pani wie, jak jest naprawdę; jeżeli pani wie, mam nadzieję, że mi pani powie.

To dopiero długi list mi się napisał: ale skoro pani pozwala pisać do siebie, skorzystam z tego, aby powiedzieć wszystko, i liczę na pani przyjaźń.

Mam zaszczyt pozostać, etc.

*Paryż, 23 sierpnia 17\*\**

## LIST XXVIII

*Kawaler Danceney do Cecylii Volanges*

Jak to, panno Cecylio, czyż zawsze wzdraga się pani odpowiedzieć! Nic więc nie zdoła pani ugiąć? Każdy dzień unosi z sobą nadzieję, jaka mi zaświtała z jego brzaskiem? Cóż więc warta nasza przyjaźń, której nie zaprzesz się chyba, jeżeli nie posiada dość siły, by cię uczynić tkliwą na moją niedolę; jeżeli ci pozwala zostać spokojną i chłodną, podczas gdy ja cierpię wszystkie męczarnie nieugaszonych płomieni; jeżeli nie tylko nie zdoła obudzić w tobie zaufania, lecz nie wystarcza nawet, aby cię natchnąć odrobiną litości? Jak to, przyjaciel cierpi i ty nie czynisz nic, aby mu dopomóc! Błaga o jedno słowo tylko i ty mu go odmawiasz! Chcesz, aby zadowolił się uczuciem tak wątłym, o którym obawiasz się nawet upewnić go powtórnie!

Nie chciałabyś być niewdzięczną, mówiłaś pani wczoraj. Ach, wierzaj mi, pani, chcieć płacić miłość przyjaźnią, to nie znaczy obawiać się niewdzięczności, to znaczy jedynie obawiać się jej pozoru. Mimo to, nie śmiem dłużej mówić o uczuciu, które, skoro pani go nie dzieli, może być dla niej jedynie ciężarem; trzeba mi je za jaką bądź cenę zamknąć w samym sobie, czekając, aż je pokonam. Czuję, jak bardzo praca ta będzie uciążliwą; nie taję<sup>85</sup>, że będę potrzebował wszystkich sił moich w tym celu; ucieknę się do wszelkich środków: jest między nimi jeden, który najcięższym będzie dla mego serca, mianowicie przypominać sobie często, że twoje jest dla mnie z głazu. Spróbuję nawet rzadziej panią widywać; już myślę nad tym, aby znaleźć jakąś stosowną wymówkę.

Jak to! Miałbym wyrzec się słodkiego nałogu codziennego widywania pani! Ach, jedno jest pewne, że nigdy nie przestanę boleć nad tą stratą. Wieczysta niedola będzie nagrodą najtkliwszej w świecie miłości; tyś sama tak chciała, to twoje dzieło! Nigdy, czuję to, nie odnajdę szczęścia, które dzisiaj tracę; ty jedna byłaś stworzona dla mego serca; z jakąż rozkoszą uczyniłbym ślub, że będę żył jedynie dla ciebie! Ale ty nie chcesz przyjąć tego ślubu; milczenie twoje przekonuje mnie dostatecznie, że serce twoje nic za mną nie przemawia; milczenie to jest zarazem i najpewniejszym dowodem obojętności, i najokrutniejszym sposobem jej okazania. Żegnaj więc panią.

Nie śmiem już ludzię nadzieją odpowiedzi; miłość byłaby ją skreśliła z zapalem, przyjaźń z życzliwością, litość nawet z wyrozumieniem: ale litość, przyjaźń i miłość zarówno są obce twojemu, pani, sercu.

*Paryż, 23 sierpnia 17\*\**

## LIST XXIX

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Dobrze mówiłam, Zosiu, są wypadki, w których można pisywać; i bardzo sobie dziś wyrzucam, że poszła za twoją radą, która sprawiła nam tyle zgrzyoty. Musiałam chyba mieć słuszność, kiedy pani de Merteuil, osoba, która z pewnością wie dobrze, co trzeba, a co nie, sama wreszcie doszła do tego samego przekonania. Ze wszystkim się jej zwierzyłam. Z początku powiedziała to, co i ty: ale kiedy wszystko dobrze wytłumaczyłam, przyznała, że to zupełnie co innego; żąda tylko, abym jej pokazywała wszystkie nasze listy,

<sup>85</sup>*taic* — ukrywać, zatajać. [przypis edytorski]

aby być pewną, że nie napiszę nic, czego nie trzeba; toteż jestem już całkiem spokojna. Mój Boże, jak ja kocham panią de Merteuil! Jaka ona dobra! A to jest kobieta ze wszechmiar szanowna. Teraz więc wszystko jest bez zarzutu.

Dopieroż teraz będę pisała do pana Danceny, a on jaki będzie szczęśliwy! Jeszcze więcej niż sam przypuszcza: bo dotąd mówiłam mu tylko o przyjaźni, a on zawsze chciał o miłości. Myślałam, że to jedno i to samo: ale jakoś nie śmiałam i jemu było przykro. Powiedziałam to pani de Merteuil; rzekła, że miałam słuszość i że nie trzeba przyznawać, że się kocha kogoś, dopiero wtedy, jak już się nie można wstrzymać; otóż ja pewna jestem, że już nie będę się mogła wstrzymać; ostatecznie, to jedno i to samo, a jemu będzie przyjemniej.

Pani de Merteuil powiedziała także, że mi pożyczy książek, w których mowa jest o tym wszystkim i z których nauczę się, jak postępować i także nauczę się pisać lepiej niż teraz. Widzisz, ona mi wytyka wszystkie braki; to najlepszy dowód, że mnie bardzo kocha. Zaleciła tylko, żeby nic mamie nie mówić o tych książkach, bo by to wyglądało jakby na wymówkę, że mama zaniedbała moje wykształcenie i to by mogło ją zmartwić. Och, ani słóweczka nie pisnę!

To jednak szczególnie, żeby osoba, która ledwo że jest moją krewną, więcej troszczyła się o mnie niż rodzona matka! Co za szczęście dla mnie, że ją spotkałam!

Poprosiła także mamę, żeby pozwoliła wziąć mnie pojutrze do Opery, do jej łóży; powiedziała mi, że będziemy zupełnie same i będziemy sobie rozmawiały cały czas, bez obawy, żeby kto usłyszał: wolę to jeszcze o wiele niż Operę. Pomówimy także o moim małżeństwie: bo powiedziała, że to prawda, że mam iść za męża; ale nie mogłyśmy o tym dłużej porozmawiać. Doprawdy, czy to nie dziwne, że mama nie mówi ze mną o tym ani słowa?

Do widzenia, Zosięńko, muszę pisać do kawalera Danceny! Ach, jakam ja teraz szczęśliwa!

24 sierpnia 17\*\*

## LIST XXX

### *Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

Zatem, panie kawalerze, godzę się napisać do pana, upewnić go o mej przyjaźni, o *miłości*, skoro inaczej miałby pan być nieszczęśliwy. Mówi pan, że ja nie mam dobrego serca: zaręczam z pewnością, że pan się myli i spodziewam się, że teraz już pan nie wątpi. Jeżeli pan się martwił, że ja nie pisałam do pana, czy myśli pan, że i mnie nie było z tym ciężko? Ale bo też za żadne skarby świata nie chciałabym zrobić coś, co nie trzeba: z pewnością nawet nie byłabym się przyznała do mej miłości, gdybym się mogła powstrzymać; ale zanedo mi przykro patrzeć, jak pan jest smutny. Mam nadzieję, że teraz już pan nigdy nie będzie taki i że będziemy bardzo szczęśliwi.

Spodziewam się, że pana ujrzę dziś wieczorem i że pan przyjdzie wcześniej: nigdy tak wcześniej, jak ja bym pragnęła. Mama spędza wieczór w domu i pewno pana będzie chciała zatrzymać; mam nadzieję, że pan nie będzie zaproszony gdzie indziej, tak jak przedwczoraj. Musiała być bardzo przyjemna ta kolacja, na którą pan poszedł? Jakoś strasznie się panu śpieszyło? Ale nie mówmy już o tym: teraz, kiedy pan wie, że go kocham, mam nadzieję, że będzie się pan starał być ze mną tyle, ile tylko się da; co do mnie, jest mi dobrze tylko wtedy, kiedy jestem z panem i chciałabym bardzo, aby i panu było tak samo.

Bardzo zmartwiona jestem, że pan jest jeszcze smutny w tej chwili, ale to nie z mojej winy. Poproszę pana o harfę zaraz, jak tylko pan przyjdzie, żeby pan dostał mój list jak najprędzej. Więcej już nie mogę zrobić.

Do widzenia panu. Kocham pana bardzo, z całego serca: im częściej to powtarzam, tym więcej rada jestem; mam nadzieję, że i pan także.

24 sierpnia 17\*\*

## LIST XXXI

*Kawaler Danceney do Cecylii Volanges*

O tak, z pewnością, pani, będziemy szczęśliwi. Moje szczęście jest pewne, skoro posiadam twe serce; twoje nie skończy się nigdy, jeżeli ma trwać tak długo jak miłość, którą mnie natchnęłaś! Jak to! Kochasz mnie, nie wzdrgasz się już upewnić mnie o *swej miłości!* Im częściej mi to powtarzasz, tym więcej rada jesteś! Gdy przeczytałem to czarujące: *kocham pana*, napisane twoją ręką, zdawało mi się, że słyszę twoje cudne usta, jak powtarzają mi to wyznanie. Ujrzałem zwrócone ku mnie te niebiańskie oczy, upiękzone jeszcze wyrazem czułości. Usłyszałem zakłęcie, iż żyć pragniesz jedynie dla mnie. Och, przyjm i moje śluby, iż życie całe poświęcę twemu szczęściu; przyjm je i bądź pewna, że nie sprzeniewierzę się im nigdy!

Jakież szczęśliwy dzień spędziliśmy wczoraj! Ach! Czemuż pani de Merteuil nie co dzień ma jakieś tajemnice z twoją matką? Czemuż trzeba, aby myśl o tym skrępowaniu, jakie nas czeka, musiała się mieszać do czarujących wspomnień, przepelniających mą duszę? Czemuż nie mogę bez przerwy pieścić drobnej rączki, która mi napisała: „*kocham pana!*”, okrywać jej pocałunkami i mścić się w ten sposób za odmowę, jakiej doznałem, gdy sięgnął po większą jeszcze łaskę!

Powiedz, Cesium ubóstwiana, skoro mama wróciła do pokoju, kiedy byliśmy zmuszeni, wskutek jej obecności, zwracać na siebie jedynie obojętne spojrzenia, kiedy nie mogłaś mnie już pocieszać zapewnieniami miłości po odmowie, jakiej doznałem, gdy zapragnąłem od ciebie żywszego uczuć dowodu, czy nie uczułaś w sercu żalu? Czy nie powiedziałaś sobie: ten pocałunek uczyniłby go jeszcze szczęśliwszym, i to ja pozbawiłam go tego szczęścia! Przynajmniej, ubóstwiana, że przy najbliższym widzeniu nie będziesz już taka surowa. Dzięki tej obietnicy znajdę odwagę znoszenia przeciwności, jakie gotują nam losy; chwile okrutnej rozłąki mniej będą mi bolesne, jeśli będę miał pewność, że i ty dzielisz me żale.

Do widzenia, Cesium uroczą; nadchodzi pora, w której mam udać się do waszego domu. Niepodobniestwem byłoby mi rozstać się z tobą, gdyby to nie było po to, aby oglądać ciebie samą. Do widzenia, ukochana, teraz, zawsze i na wieki.

25 sierpnia 17\*\*

## LIST XXXII

*Pani de Volanges do prezydentowej de Tourvel*

Żądasz zatem, dobra przyjaciółko, abym uwierzyła w cnotę pana de Valmont? Wyznaję, nie mogę się na to odważyć, i równie trudno by mi było uznać go pocziwym na podstawie jednego faktu, jak dla jednego błędu potępić jako zbrodniarza człowieka znanego z zacności. Ludzkość nie jest doskonała w żadnym kierunku, ani w złym, ani w dobrym. Zbrodniarz ma swoje cnoty, uczciwy człowiek swoje słabości. Prawda ta wy daje mi się tym godniejszą pamięci, ile że z niej właśnie płynie potrzeba wyrozumienia tak dla złych, jak też i dla dobrych; ona to winna chronić jednych od pychy, drugich od zrozpaczenia o sobie. Pomyślisz zapewne, że ja w tej chwili bardzo niedoskonale stosuję tę pobłażliwość, której zasady wyznaję; ale bo też cnota ta staje się w mych oczach jedynie niebezpieczną słabością, kiedy prowadzi nas do tego, aby jednaką miarą mierzyć niegodziwca i pocziwego człowieka.

Nie pozwolę sobie z pewnością na dociekanie pobudek postępków pana de Valmont; chcę wierzyć, iż są nie mniej chwalebne od samego uczynku: ale czyż to zmienia fakt, iż strawił życie na tym, aby szerzyć wśród rodzin niepokój, hańbę i zgorszenie? Słuchaj, jeżeli chcesz, głosu nieszczęśliwego, którego on wspomógł; ale niech ci ten głos nie przeszkadza słyszeć jęków stu ofiar, które pognębił. Choćby pan de Valmont był, jak powiadasz, jedynie przykładem niebezpieczeństwa złych wpływów, to czyż, na odwrót, jego wpływ nie jest co najmniej równie niebezpieczny? Przypuszczasz, droga, że on może być zdolnym do

szczęśliwego nawrócenia? Idźmy jeszcze dalej; przypuśćmy nawet, że ten cud nastąpił. Czy nie zostaje jeszcze zawsze przeciw niemu wyrok opinii publicznej i czy sam wyrok ów nie wystarcza, aby wytyczyć twoje postępowanie? Bóg jeden może odpuścić winy za chwilę skruchy; on czyta w sercach; ale ludzie mogą sądzić myśli jedynie na podstawie uczynków; i nikt, postradawszy szacunek drugich, nie ma prawa skarżyć się na nieufność, jaka go spotyka. Pomyśl zwłaszcza, moja młoda przyjaciółko, że nieraz do utraty tego szacunku wystarcza, że ktoś nie dość ceny<sup>86</sup> zdaje się doń<sup>87</sup> przywiązywać. Nie nazywaj tego surowego prawidła niesprawiedliwością; prócz tego bowiem, że ludzie mają powód mniemać, iż nie wyrzeka się tego cennego dobra ktoś, kto ma do niego pełne prawo, niewątpliwym jest, że z większą łatwością może ulec złemu ten, komu nie stanie za zaporę ów potężny hamulec. W takim zaś świetle postawiłoby cię zbliżenie z panem de Valmont, chociażby samo przez się najniewinniejsze.

Przestraszona zapalem, z jakim występujesz w jego obronie, spieszę uprzedzić możliwe zarzuty. Przytaczasz panią de Merteuil, której świat zdołał wybaczyć tę przyjaźń; zapytasz, czemu go przyjmuję w swym domu; powiesz, iż pana de Valmont nie tylko nie wykluczono z grona uczciwych ludzi, ale przeciwnie, jest mile widziany, poszukiwany nawet w całym tak zwanym dobrym towarzystwie. Sądzę, że mogę odpowiedzieć na wszystko.

Przede wszystkim pani de Merteuil, w istocie osoba ze wszech miar godna szacunku, posiada może jedną jedyną wadę, mianowicie zbytnią ufność w swoje siły; jest to zręczny sternik, któremu sprawia przyjemność prowadzić łódź pośród skał i wirów. Dobry wynik starczy za usprawiedliwienie tej śmiałości: ale o ile słusznie można ją podziwiać, o tyle byłoby nieroztropnie wstępować w jej ślady; ona sama to przyznaje i wini się o tę słabostkę. Im dłużej obraca się w świecie i patrzy nań, tym zasady jej stają się surowsze: i nie waham się zaręczyć, że przychyliłaby się do mego poglądu.

Co się mnie tyczy, nie będę się uniewinniała. Istotnie, przyjmuję pana de Valmont jak wszyscy: jedna niekonsekwencja więcej pośród tysiąca innych. Wiesz dobrze, jak i ja, że życie spływa na tym, aby je widzieć, narzekać na nie i poddawać się! Pan de Valmont, przy pięknym nazwisku, dużym majątku i wielu ujmujących zaletach, zrozumiał bardzo rychło, że aby stać się panem otoczenia, wystarczy posługiwać się zręcznie pochlebstwem i szyderstwem. Nikt nie posiada w tym co on stopniu tego podwójnego talentu: jednym zdobywa sobie ludzi, dzięki drugiemu umie wzbudzać postrach. Nikt go nie szanuje, ale wszyscy się z nim liczą. Oto jego rola wśród świata, który, z większą ostrożnością niż odwagą, woli oszczędzać go niż otwarcie stanąć przeciw niemu.

Ale to pewna, że ani sama pani de Merteuil, ani żadna inna nie odważyłaby się zakopać gdzieś na wsi, prawie sam na sam z człowiekiem tego pokroju. I oto właśnie najcnotliwsza, najskromniejsza ze wszystkich daje przykład tej niewłaściwości; wybacz, proszę, to słowo, ale wydarło się ono z ust przyjaźni. Wierzaj, droga przyjaciółko, właśnie twoja nieskazitelnność zwraca się przeciw tobie, wpajając ci uczucie zwodnego bezpieczeństwa. Pomyśl więc, że będziesz miała za sędziów z jednej strony ludzi lekkich, i ci nie będą zdolni uwierzyć w cnotę, której przykładów nie widzą koło siebie; z drugiej złych, którzy będą udawać, iż nie wierzą. Pomyśl, że czynisz w tej chwili coś, na co nie każdy mężczyzna by się ważył. To pewna, że spośród młodych ludzi, między którymi pan de Valmont aż nadto umiał się stać wyrocznią, każdy stateczniejszy strzegłby się pozorów zbyt ściślejsz z nim zażyłości; a ty nie obawiasz się tego! Ach! cofnij się, cofnij, zaklinam... Jeśli moje wywody nie wystarczyły, aby cię przekonać, ustąp mojej przyjaźni; ona to każe mi ponawiać przestrogi, ona niechaj starczy za usprawiedliwienie. Znajdujesz mnie zbyt surową; chciałabym, aby surowość ta była zbytęcną; ale wolę, byś się miała użalać na mą zbytnią gorliwość niżli na opieszłość.

24 sierpnia 17\*\*

<sup>86</sup>cena — tu: waga, znaczenie, szacunek. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>doń — skrócone: do niego. [przypis edytorski]

## LIST XXXIII

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Z chwilą kiedy obawiasz się dojść do celu, drogi wicehrabio, z chwilą gdy twoim zamiarem jest dostarczyć broni przeciw sobie i nie tyle pragniesz zwyciężyć, ile walczyć, nie mam już nic do powiedzenia. Postępowanie twoje jest arcydziełem roztropności. Byłoby arcydziełem głupstwa w razie odwrotnego przypuszczenia; i jeżeli mam być szczerą, obawiam się, że ulegasz złudzeniom w tej mierze.

Nie to ci wyrzucam, że nie skorzystałeś z chwili. Z jednej strony, nie jest mi wcale jasnym, czy ta chwila nadeszła: z drugiej, wiem dobrze, że — wbrew przysłowiu — utraconą sposobność zawsze się da odzyskać, podczas gdy wszystko można zepsuć przedwczesnym pośpiechem.

Ale czynem istotnie godnym uczniaka jest to, iż puściłeś się na pisanie. Zechciej się tylko zastanowić, dokąd to zaprowadzi? Masz może nadzieję przekonać na drodze argumentacji tę kobietę, iż powinna się oddać? Zdaje mi się, że taką prawdę można jedynie odczuć, nie dowieść jej, i że aby ją kobiecie narzucić, jedyną drogą jest wzruszyć ją, nie zaś rezonować<sup>88</sup>: lecz i na cóż by się zdało, gdybyś ją i wzruszył swymi epistołami, skoro nie będzie cię w tej chwili na miejscu, aby z tego skorzystać? Choćby nawet twoje piękne frazesy zdołały nadprzyrodzoną mocą wprawić ją w miłosne upojenie, czy pochlebiaz sobie, iż starczy tej mocy na to, aby jeszcze przed wyznaniem nie przyszła chwila opamiętania? Pomyśl, ile czasu potrzeba na napisanie listu; ile go upływa, zanim dostanie się do rąk odbiorcy; i zastanów się, czy zwłaszcza kobieta z zasadami może hodować przez tak długi czas pokusę, którą stara się wszelkimi siłami zwalczać?

Ten sposób może być skutecznym u dzieci, które kiedy piszą: *kocham*, nie wiedzą, że tym samym mówią: *jestem twoja*. Ale rezonująca cnota pani de Tourvel zdaje się znać bardzo dobrze wartość i znaczenie wyrazów. Toteż mimo przewagi, jaką uzyskałeś nad nią w rozmowie, ona cię bije na głowę w swym liście. A potem, czy wiesz, co się dzieje? Przez to samo, że ktoś się spiera, nie chce ze swego ustąpić. Siłac się na wyszukanie argumentów, znajduje je wreszcie, wygłasza i później już upiera się przy nich, nie tyle dlatego, że są coś warte, ile aby nie przeczyć samemu sobie.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga, której dziwię się, iż sam sobie nie uczyniłeś. Nie ma nic równie trudnego w miłości, jak pisać w sposób dający złudzenie prawdopodobieństwa: czyniąc to na chłodno, używasz niby tych samych wyrażen: ale nie układasz ich jakoś tak samo, a raczej układasz je i to już wystarczy. Odczytaj swój list: jest w nim jakiś porządek, jakiś ład, który zdradza cię w każdym zdaniu. Chcę przypuszczać, że prezydentowa zbyt mało jest wyrobiona, aby się na tym poznać: ale cóż stąd? Wrażenie niemniej chybione. To wada wszystkich romansów: autor dobywa ostatniego tchu, aby się rozpalić, a czytelnik pozostaje zimny. Jedna *Heloiza* może stanowi wyjątek; toteż, mimo całego talentu autora, nigdy nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tło tego romansu musi być prawdziwe. Całkiem co innego w rozmowie. Przyzwyczajenie modulowania głosu może dać jego brzmieniu akcenty uczucia: łatwość wylewania łez pomnaża jeszcze to wrażenie: wyraz pożądania miesza się w oczach z wyrazem tkliwości; mniejsza wreszcie ciągłość ustnej rozmowy łatwiej pozwala przybrać ów ton pomieszania i nieładu, które są prawdziwą wymową miłości: przede wszystkim zaś obecność kochanej osoby poraża zdolność zastanowienia i budzi w nas bezwiedną chęć uznania swej porażki.

Wierzaj mi, wicehrabio: żądam, abyś nie pisał więcej, skorzystaj z tego, aby naprawić błąd, i czekaj na sposobność rozmowy. Czy wiesz, że ta kobieta silniejsza jest niż przypuszczałam? Obrona wcale tęga: gdyby nie rozmiary listu i nie furtka, jaką zostawia, byś mógł powrócić do przedmiotu na temat niedokończonego zdania o *wdzięczności*, nie byłaby się zdradziła ani na chwilę.

Moim zdaniem, wiary w zwycięstwo powinno ci dodać to, że ona zużywa za wiele sił naraz: przewiduję, że wyczerpie je na walkę o *słowa* i że ich zbraknie na obronę *rzeczy*.

Odsyłam ci oba listy; jeżeli masz nieco zastanowienia, będą to ostatnie aż do szczęśliwego *nazajutrz*. Gdyby nie było tak późno, pomówiłabym z tobą o małej Volanges, która

<sup>88</sup>rezonować — rozprawiać, przekonywać. [przypis edytorski]

czyni dość szybkie postępy: jestem z niej bardzo rada. Spodziewam się skończyć z nią jeszcze przed tobą, ku tym większemu twemu zawstydzeniu. Do widzenia na dzisiaj.

22 sierpnia 17\*

## LIST XXXIV

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Mówisz wspaniale, piękna przyjaciółko: ale po co zadawać sobie tyle trudu, aby udowodnić coś, o czym nikt nie wątpi. Aby szybko iść naprzód, lepiej mówić niż pisać; to, jak sądzę, sens moralny całego twego listu. Ależ to są najelementarniejsze zasady sztuki uwodzenia! Pozwolę sobie tylko zauważyć, że ty dopuszczasz jeden tylko wyjątek od tej zasady, gdy tymczasem istnieją dwa. Do dzieci, które wstępują na tę drogę przez nieśmiałość, a wydają się na łup przez niewiedzę, trzeba dołączyć jeszcze kobiety-pięknoduszki, które dają się wciągnąć przez miłość własną i które próżność zapędza do pułapki. Tak na przykład jestem pewny, że gdy hrabina de B... odpowiedziała bez trudności na mój pierwszy list, nie kochała się wówczas we mnie ani trochę więcej niż ja w niej i chwyciła się jedynie sposobności porozprawiania na temat, w którym da się powiedzieć wiele ładnych rzeczy.

Jak bądź się rzeczy mają, mówiąc po adwokacku, kwestia zasad jest w tym przypadku zgola bezprzedmiotowa. Jak widzę, przypuszczasz, że ja mam wolny wybór między pisaniem a rozmową: tak nie jest. Od czasu wypadku z dnia 19. okrutna piękność, obwarowana jak forteca, unika wszelkiej możliwości spotkania, i to ze zrećznością, wobec której moja staje się bezradną; do tego stopnia, że jeżeli to ma potrwać dłużej, będę zmuszony poważnie zastanowić się nad sposobami odzyskania straconej przewagi. Listy moje nawet stały się przedmiotem cichej wojny podjazdowej; nie dość, że nie odpowiada, ale wprost nie chce przyjmować. Za każdym razem trzeba uciekać się do nowego podstępu, a i to nie zawsze się udaje.

Przypominasz sobie, jak prostego sposobu użyłem przy pierwszym liście; z drugim również poszło gładko. Prosiła, bym zwrócił jej własny list: wręczyłem mój w jego miejsce, bez najmniejszego podejrzenia z jej strony. Ale czy to ze złości, że dała się oszukać, czy przez kaprys, czy też z pobudek cnoty (bo wreszcie zmusi mnie, abym uwierzył w cnotę!), stanowczo broniła się przed przyjęciem trzeciego. Mam nadzieję jednak, że przykre położenie, w jakim omal się nie znalazła w następstwie tej odmowy, poprawi ją na przyszłość.

Nie bardzo mnie dziwiło, że nie chce przyjąć tego listu, który próbowałem jej wręczyć całkiem po prostu; byłoby to już pewnym ustępstwem z jej strony; ja zaś byłem przygotowany na długą walkę. Po tym usiłowaniu, które zresztą było jedynie mimochodem uczynioną próbą, włożyłem list w kopertę i wybrawszy chwilę, kiedy pani de Rosemonde i panna służąca znajdowały się w jej pokoju, posłałem go przez strzelca, każąc oznajmić, że są to papiery, o które mnie prosiła. Zgadłem dobrze, że w obawie przykrych wyjaśnień nie zdobędzie się, aby wprost odrzucić zuchwałą przesyłkę; w istocie, wzięła list, a wysłannik mój, który miał rozkaz śledzić wyraz jej twarzy (umie zaś spostrzegać wcale bystro), zauważył jedynie lekki rumieniec i więcej zakłopotania niż gniewu.

Tryumfowałem zatem, pewny, że albo zachowa list, albo też, jeżeli zechce go zwrócić, będzie musiała znaleźć się ze mną sam na sam. Jakoż w niespełna godzinę służący wchodzi do mego pokoju i oddaje zwitek, na którego kopercie poznaję upragnione pismo. Otwieram z pośpiechem... Mój własny list, nieotwarty i złożony we dwoje!

Znasz mnie, markizo; nie potrzebuję ci zatem malować mej wściekłości. Trzeba jednak było przywołać na pomoc całą zimną krew i szukać nowych sposobów. Oto jedyny, jaki znalazłem.

Codziennie rano posyła się stąd po listy na pocztę odległą o trzy ćwierci mili. Do tego celu służy zamknięta puszka, od której poczmistrz ma jeden klucz, pani zaś de Rosemonde drugi. Każdy wrzuca do niej listy, kiedy mu się podoba; ktoś ze służby niesie je na pocztę, rano zaś odbiera te, które przybyły. Cała służba, tutejsza czy obca, wypełnia ten obowiązek



kolejno. Nie była to wprawdzie kolej mego służącego; mimo to podjął się iść pod pozorem, że ma coś do załatwienia w tej stronie.

Zabrałem się tedy do mej epistoły. Zmieniłem charakter pisma na adresie i podrobiłem wcale niezłe na kopercie pieczętkę z Dijon<sup>89</sup>. Obrałem to miasto, ponieważ bawiło mnie, skoro ubiegam się o te same prawa co mąż, pisać z tego samego miejsca, a także ponieważ dama kładła nam przez cały tydzień w uszy, iż pragnęłaby bardzo mieć wiadomości z Dijon. Uważałem za rzecz sprawiedliwą dostarczyć jej tej przyjemności.

Uporawszy się z wszystkimi ostrożnościami, bez trudności zdołałem wmieszać list pomiędzy inne. Zyskiwałem na tym sposobie i to, że mogłem być świadkiem doręczenia: obyczaj bowiem tutejszy każe zbierać się na śniadanie i następnie oczekiwać wspólnie poczty. Wreszcie nadeszła. Pani de Rosemonde otwarła skrzynkę. „Z Dijon”, rzekła, oddając list pani de Tourvel. — „To nie pismo męża” odparła głosem pełnym niepokoju, żywo rozrywając pieczętkę. Pierwszy rzut oka objaśnił wszystko; wyraz takiego pomieszczenia odmalował się na jej twarzy, że pani de Rosemonde spostrzegła to i rzekła: „Co tobie, dziecko?”. Zbliżyłem się również, mówiąc: „Musi być chyba coś bardzo strasznego w tym liście?”. Skromnista nie śmiała oczu podnieść, nie wyrzekła słowa, i aby pokryć zakłopotanie, udawała, że przebiega oczami list, którego czytać nie była zdolną. Cieszyłem się jej pomieszczeniem i dość zadowolony, iż mogę się z nią podrażnić, dodałem: „Uspokoila się pani trochę: wolno przypuszczać, iż list ten sprawił więcej zdziwienia niż przykrości”. Wówczas gniew natchnął ją lepiej, niżby to mogła uczynić rozwaga. „List ten — rzekła — zawiera rzeczy, które są dla mnie obrazą, i dziwię się, że ktoś ośmielił się go do mnie napisać”. — „Któż taki?” — przerwała pani de Rosemonde. — „Nie jest podpisany — odparła — ale i list, i autor budzą we mnie jednakową wzdrgę i bardzo bym pragnęła nie słyszeć o nich więcej”. Mówiąc te słowa, przedarła zuchwałe pismo, schowała kawałki do kieszeni, wstała i wyszła.

Mimo tego gniewu, bądź co bądź, odebrała list, a polegam już na jej ciekawości, że go sumiennie przeczyta od deski do deski.

Dalsze szczegóły dnia zaprowadziłyby mnie zbyt daleko. Łączę do tego opisu brulion listów; w ten sposób będziesz mogła zdać sobie sprawę ze wszystkiego. Jeżeli pragniesz, markizo, śledzić przebieg korespondencji, musisz się przyzwyczaić odcyfrowywać moje gryzmoły: za żadne skarby świata nie zdobyłbym się na nudę przepisywania. Do widzenia, piękna przyjaciółko.

25 sierpnia 17\*\*

## LIST XXXV

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Trzeba ci być posłusznym, pani; trzeba dowieść, że pośród tylu błędów, których podobna ci się we mnie doszukiwać, zostało mi przynajmniej dość delikatności, bym sobie nie pozwolił na żadne wyrzuty i dość siły woli, bym umiał sobie nałożyć najcięższe ofiary. Zalecasz milczenie i niepamięć! Dobrze więc! Nakazę mej miłości, ażeby zamilkła; zapomnę, jeśli możebna, okrutny sposób, w jaki przyjęłaś jej wyznanie. Podobna ci się, pani, patrzeć na mą miłość jak na zniewagę; zapominasz, że gdyby mogła być winą, ty byłabyś zarazem tej winy przyczyną i usprawiedliwieniem. Zapominasz również, iż mnie, przyzwyczajonemu otwierać ci mą duszę nawet wówczas, kiedy ta ufność mogła mi zaszkodzić w twych oczach, niepodobieństwem było ukryć przed tobą uczucia przepelniające me serce. Na to, co było dziełem dobrej wiary, ty, pani, patrzysz jako na owoc zuchwalstwa. W nagrodę najczulszej, najbardziej pełnej szacunku, najszczerzej miłości, odrącasz mnie daleko od siebie. Mówisz w końcu o swej nienawiści... Któż inny nie skarżyłby się na moim miejscu, gdyby się z nim obchodzono w ten sposób? Ja jeden poddaję się; cierpię wszystko i nie szemram; ty wymierzasz cios, ja ubóstwiam rękę, która go zadała. Niepojęta władza, jaką posiadasz nade mną, czyni cię wszechmocną panią mych uczuć; jeśli miłość moja ci się opiera, jeśli nie zdołasz jej zniweczyć, to dlatego, że twoim jest dziełem, nie moim.

<sup>89</sup>Dijon — miasto we Francji w rejonie Burgundii. [przypis edytorski]

Nie żądam bynajmniej wzajemności, którą się nigdy nie ludziłem. Nie oczekuję nawet tej litości, której nadzieję mogłaby we mnie obudzić okazywana mi niekiedy sympatia. Ale mniemam, przyznając, że mam prawo odwołać się do twojej sprawiedliwości.

Mówi pani, że próbowano mi szkodzić w twojej opinii. Gdybyś słuchała rady przyjaciół, nie byłabyś mi pozwoliła nawet zbliżyć się do siebie: oto twoje słowa. I któż są owi tak gorliwi przyjaciele? Ludzie pojęć tak surowych, cnoty tak nieskazitelnej, zgodzą się z pewnością, aby ich wymienić; nie pragną chyba okrywać się tajemnicą, która by ich stawiała w rzędzie nikczemnych potwarców; toteż mniemam, będzie mi wolno dowiedzieć się, kto oni są i co mi zarzucają. Zrozum pani, mam prawo do tego, skoro na tej podstawie opiera się twój wyrok. Nie skazuje się winnego, nie wymieniając mu jego występku, ani też imion oskarżycieli. Nie żądam innej łaski i z góry zobowiązuję się usprawiedliwić, zmusić ich, by odwołali zarzuty.

Jeśli zanadto może gardziłem w życiu czczymi<sup>90</sup> sędami gawiedzi, inaczej mają się rzeczy, gdy idzie o twój, pani, szacunek. Skoro życie poświęcić chcę na to, aby nań zasłużyć, nie pozwolę go sobie wydrzeć tak bezkarnie. Jest mi tym bardziej cenny, iż jemu z pewnością mógłbym zawdzięczać ową prośbę, przed którą się tak wzdragasz, a która dałaby mi, jak mówisz, *prawa do twojej wdzięczności*. Ach, nie żądam jej od ciebie! Ja to będę czuł raczej wdzięczność niewygasłą, jeżeli dasz mi sposobność, bym się w czymkolwiek tobie stać mógł miłym. Zaczynaj więc postępować nieco sprawiedliwiej: nie ukrywaj dłużej, czego ode mnie pragniesz. Gdybym mógł odgadnąć, oszczędziłbym ci trudu mówienia o tym. Do rozkoszy oglądania ciebie, dorzuc szczęście służenia ci, pani, a będę wielbił twą łaskawość. Cóż może cię wstrzymywać? Chyba nie obawa odmowy? Tęgo, czuję, nie mógłbym ci, pani, przebaczyć. Bo nie jest odmową to, iż dotychczas nie zwróciłem ci listu. Pragnąłbym bardziej od ciebie jeszcze, aby mi nie był już potrzebny: ale przyzwyczajony uwielbiać twą duszę tak pełną słodyczy, jedynie w tym liście mogę cię odnaleźć taką, jaką pragniesz się objawić. Gdy marzę o tym, aby zmiękczyć twoje serce, czytam oto, iż nimbyś się miała na to zgodzić, raczej uciekłabyś o sto mil; gdy cała twa luba istota potęguje i usprawiedliwia mą miłość, list znowu mi powtarza, że miłość moja jest dla ciebie zniewagą; skoro zaś, patrząc na cię, czuję, iż uczucie to jest dla mnie najwyższym dobrem, muszę odczytać twe słowa, by pamiętać, że jest ono mą najsroźszą niedolą. Pojmujesz teraz, pani, że mym największym szczęściem byłoby oddać ci ten list złowrogi; żądając zwrotu, uprawniałabyś mnie, bym przestał brać za prawdę to, co on zawiera: nie wątpisz chyba, jak skwapliwie pospieszylbym usłuchać.

21 sierpnia 17\*\*

## LIST XXXVI

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

*(Znaczony z Dijon)*

Surowość twoja, pani, wzmagą się z każdym dniem; zdawałoby się, doprawdy, iż w stosunku do mnie mniej lękasz się być niesprawiedliwą niż zdolną do wyrozumiałości. Wydawszy wyrok bez wysłuchania mnie, musiałas uczuć, w istocie, że łatwiej będzie nie czytać moich racji, niżeli na nie odpowiedzieć. Odmawiasz uparcie przyjęcia listów; zwracasz je ze wzgardą. Zmuszasz wreszcie, bym uciekał się do podstępu, w tej chwili właśnie, w której mym jedynym celem jest przekonać panią o mej dobrej wierze. Konieczność obrony, w jakiej mnie postawiłaś, usprawiedliwia wszakże wszystkie środki. W poczuciu szczerości mych uczuć, w przekonaniu, że wystarczy dać ci je poznać w ich prawdziwej istocie, aby uniewinnić się w twoich oczach, odważyłem się na ten niewinny podstęp. Ośmielam się mniemać, że mi go przebaczysz; nie powinno cię dziwić, iż miłość bardziej jest przemyślna w sposobach wynurzania uczuć niż obojętność w oddalaniu ich od siebie.

<sup>90</sup>czczy — nic nieznaczący, nie mający potwierdzenia. [przypis edytorski]

Pozwól więc, pani, aby me serce odsłoniło się przed tobą całkowicie. Masz prawo, masz obowiązek poznać je do głębi.

Przybywając do pani de Rosemonde, daleki byłem od przewidywania losu, który mnie tu oczekiwał. Nie wiedziałem, że tu przebywasz; dodam nawet, z właściwą mi szczerością, że gdybym i wiedział, nie byłoby mnie to zaniepokoiło; nie, iżbym nie oddawał twym wdziękom należnej sprawiedliwości, ale przywykły podlegać jedynie zachceniom, a poddawać się im tylko wówczas, kiedy je podsycala nadzieja powodzenia, nie znalazłem po prostu, co są udręczenia miłości.

Byłaś pani świadkiem, jak bardzo nalegała pani de Rosemonde, bym u niej pozostał przynajmniej czas jakiś. Spędziłem już jeden dzień w twoim towarzystwie: mimo to uległem jedynie — lub przynajmniej tak mi się zdawało — naturalnej i usprawiedliwionej przyjemności okazania względów sędziwej i czcigodnej krewnej. Rodzaj życia, jaki prowadzimy tutaj, różnił się bardzo, zaiste, od tego, do jakiego byłem przyzwyczajony; mimo to nic mnie nie kosztowało zastosować się doń! Nie starając się zgłębiać przyczyn zmiany, jaka odbywała się we mnie, przypisywałem ją jedynie łatwości mego charakteru, o której, zdaje mi się, już wspominałem kiedyś.

Na nieszczęście (i czemuż trzeba, aby to było nieszczęściem?), poznając cię, pani, lepiej, poznałem wkrótce, że twoja urocza postać, która jedynie z początku ściągnęła mą uwagę, była najmniejszą spośród twych zalet; twoja niebiańska dusza wprawiła w zdumienie, porwała za sobą moją. Podziwiałem piękność, ubóstwiałem cnotę. Nie kusząc się zdobywać cię, pragnąłem stać się ciębie godnym. Odwołując się do twego pobłażania za mą przeszłość, marzyłem o twej sympatii na przyszłość. Szukałem jej w słowach, śledziłem w spojrzeniach; w spojrzeniach, z których płynęła trucizna tym niebezpieczniejsza, że sączona bez zamiaru, wchłaniania bez obawy.

I tak poznałem miłość. Ale jakże daleki byłem wówczas od rozpacz! Gotowy pogrzebać ją w wieczystym milczeniu, oddawałem się bez obawy, zarówno jak bez miary, rozkosznemu uczuciu. Każdy dzień pomnażał jego potęgę. Wkrótce przyjemność widywania cię stała się koniecznością. Skoro tylko oddaliłaś się na chwilę, serce moje ścisnęło się z żalu; szelest, który zwiastował twój powrót, przyprawiał je o drżenie. Istniałem już jedynie dla ciebie i przez ciebie. Mimo to ciebie samą wzywam na świadectwo: czy kiedykolwiek, bądź to wśród wesołości niewinnych igraszek, bądź wówczas, gdy nas pochłaniała poważna rozmowa, wymknęło mi się bodaj jedno słowo zdolne zdradzić tajemnicę mego serca?

Wreszcie nadszedł dzień, w którym miała się rozpocząć moja niedola: przez jakiś niepojęty fatalizm<sup>91</sup> dobry uczynek stał się jej zwiastunem. Tak, pani, w obliczu tych nieszczęśliwych, którym użyczyłem pomocy, ty, pani, objawiając skarby tej najcenniejszej tkliwości, która upiększa piękność samą i dodaje blasku cnotcie, obłąkałaś do reszty serce, już nieprzytomne z nadmiaru miłości. Przypominasz sobie może zamyślenie, w jakim utonąłem w czasie owego powrotu! Niestety! Staralem się jeszcze walczyć ze skłonnością, która, czułem to, stawała się mocniejszą ode mnie.

Wówczas to, kiedy już wyczerpałem siły w nierównej walce, przypadek, którego nie byłem mocen<sup>92</sup> przewidzieć, kazał mi znaleźć się sam na sam z tobą. Tutaj uległem, wyznając. Serce moje, nazbyt wezbrane, nie zdołało powstrzymać ani słów, ani łez, które się zeń<sup>93</sup> wydarły przemocą. Ale czyż to jest zbrodnią? A jeśli nawet, czy nie dosyć ukarany jestem przez straszliwe cierpienia, których doznaję?

Pożerany miłością bez cienia nadziei, błagam cię, pani, o litość i znajduję nienawiść; jedyne szczęście czerpiąc w twym widoku, mimo woli szukam cię oczyma i drzę przed spotkaniem twych spojrzeń. W okropnym stanie, do jakiegoś mnie doprowadziła, trawię dni na ukrywaniu mych cierpień, noce zaś na oddawaniu się im ze zdwojoną siłą; podczas gdy ty, spokojna i obojętna, jeśli znasz te męczarnie, to tylko stąd, że umiesz je zadawać i dumę czerpać z własnych okrucieństw. Mimo to ty, pani, się uskarżasz, a ja się usprawiedliwiam!

Oto wszystko, pani, oto wierne przedstawienie moich, jak nazywasz, błędów, które może słuszniej byloby nazywać mym nieszczęściem. Miłość czysta i szczera, cześć nie-

<sup>91</sup>*fatalizm* — nieunikniony los. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*nie byłem mocen* — dziś: nie byłem w mocy; nie mogłem, nie byłem w stanie. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*zeń* — skrócone: z niego. [przypis edytorski]

zmącona ani na chwilę, poddanie się bez granic: oto uczucia, jakimi mnie natchnęłaś. Takiego hołdu nie obawiałbym się przedłożyć samemu Bóstwu. O ty, która jesteś jego najpiękniejszym dziełem, chciej naśladować je w dobroci i pobożaniu! Wejrzyj na me okrutne męczarnie; pomyśl zwłaszcza, że nieszczęsnemu, postawionemu przez ciebie między najwyższą szczęśliwością a najstraszliwszą rozpaczą, pierwsze słowo, które wyrzekniesz, będzie wyrokiem wiekuistego losu.

23 sierpnia 17\*\*

## LIST XXXVII

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges*

Poddaję się, pani, radom, które dyktuje ci przyjaźń. Przywykła szanować we wszystkim twe zapatrywania, zawsze gotowa jestem zarazem wierzyć w ich słuszność i rozum. Przyznam nawet, że pan de Valmont musi być w istocie człowiekiem bardzo niebezpiecznym, jeżeli potrafi równocześnie udawać takiego, jakim jest tutaj, a w głębi zostać tym, jakim go pani maluje. Jak bądź się rzeczy mają, skoro ty tego żądasz, oddalę go od siebie: uczynię przynajmniej po temu, co będzie w mej mocy, nieraz bowiem rzeczy w treści bardzo proste, stają się kłopotliwe przez swą formę.

Ciągle wydaje mi się niepodobieństwem prosić o to jego ciotkę: żądanie takie byłoby uchybieniem zarówno jej, jak jemu. Bardzo niechętnie również zdecydowałabym się sama wyjechać; pomijając już bowiem przyczyny, które przytoczyłam poprzednio, gdyby mój wyjazd, co być bardzo może, był nie po myśli pana de Valmont, czyż nie mógłby on z łatwością pośpieszyć za mną do Paryża? Powrót zaś ten, którego ja, przynajmniej w oczach ludzi, byłabym powodem, czyż nie bardziej jeszcze byłby rażącym niż spotkanie na wsi u osoby, o której cały świat wie, iż jest jego krewną, a moją przyjaciółką?

Pozostaje mi więc tylko skłonić jego samego, aby zechciał się usunąć. Czuję, że nie jest zbyt łatwo uczynić taką propozycję, ponieważ jednak, o ile mi się wydaje, panu de Valmont zależy na tym, aby mi dowieść, iż w istocie lepszym jest od swej reputacji, nie tracę nadziei. Rada nawet będę, że będę miała sposobność ocenić, czy prawdą jest, co on często powiada, iż nigdy uczciwa kobieta nie miała ani nie będzie miała powodu uskarżać się na jego postępowanie. Jeśli odjedzie, jak bym pragnęła, uczyni to w istocie jedynie przez wzgląd dla mnie: wiem dobrze, że miał zamiar zabawić do późnej jesieni. Jeśli odmówi i uprze się zostać, zawsze będę miała dość czasu, aby wyjechać i przyrzekam to uczynić.

Oto, jak sądzę, wszystko, czego przyjaźń twoja żądała: pospieszam skwapliwie uczynić jej zadość i dowieść, iż mimo *zapalu*, z jakim mogłam ujmować się za panem de Valmont, zawsze skłonna jestem nie tylko wysłuchać, lecz i wypełnić rady mych dobrych przyjaciół.

Mam zaszczyt etc.

24 sierpnia 17\*\*

## LIST XXXVIII

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Odebrałam przed chwilą olbrzymi pakiet, drogi wicehrabio. Jeżeli data jest ścisła, powinnam go była otrzymać o dobę wcześniej; ale to pewna, że, gdybym obróciła czas na czytanie tych foliałów<sup>94</sup>, zbrakłoby mi go z pewnością na odpowiedź. Wolę zatem poprzestać na potwierdzeniu odbioru i na razie pomówić o czym innym. Nie sądz z tego, iż mam ci coś do opowiedzenia na własny rachunek: jesień ogalała Paryż niemal ze wszystkich mężczyzn bodaj trochę podobnych do ludzi; toteż odznaczam się od miesiąca wiernością wprost morderczą i każdy, prócz kawalera, byłby już znużony dowodami mej

<sup>94</sup>*foliał* — gruba książka dużych rozmiarów, przen.: obszerne dzieło. [przypis edytorski]

stałości. Pozostając tedy w przymusowym bezrobociu, próbuję się rozrywać z małą de Volanges; o niej właśnie chcę pomówić.

Czy wiesz, że więcej, niż myślisz, straciłeś na tym, że nie chciałeś się zająć tym dzieckiem? Rozkoszna jest, doprawdy! Lube<sup>95</sup> stworzonko: ani charakteru, ani zasad; pomyśl, co za nieocenione zalety w poźyciu! Nie sądzę, by kiedykolwiek silną jej stroną miało być uczucie; ale wszystko zapowiada obudzenie zmysłów bardzo a bardzo obiecujące. Inteligencji tam nie ma; nawet sprytu; posiada jednak pewną naturalną, jeśli można się tak wyrazić, zdolność fałszu, która nieraz zdumiewa mnie samą i która ma tym więcej widoków powodzenia, ile że twarzyczka przedstawia sam obraz prostoty i niewinności. Z natury wielki z niej pieszczoch, z czego nieraz mam trochę rozrywki: nie uwierzyłbyś, jak ta główka umie się rozpalać; a tym zabawniejsza przez to, że nie wie nic, ale to zupełnie nic, a chciałaby wiedzieć wszystko. Paradna<sup>96</sup> jest czasem doprawdy: śmieje się, złości, płacze, a potem prosi, aby ją nauczyć, i to z naiwnością wprost rozczulającą. Doprawdy, prawie że jestem zazdrosna o tego, komu los przeznaczył w udziale tę przyjemność.

Nie wiem, czy ci pisałam, że od kilku dni mam zaszczyt być jej powiernicą. Domyślasz się, że zrazu<sup>97</sup> trzymałam się bardzo ostro: ale skoro tylko małej mogło się zdawać, że mnie przekonała swymi głupiotkami argumentami, udałam, że je biorę za dobrą monetę<sup>98</sup>. Jest tedy najpewniejsza w świecie, że zawdzięcza ten sukces swej wymowie: uważałam za właściwe zachować tę ostrożność, aby się zanadto nie odsłaniać. Pozwoliłam jej pisać i mówić: *kocham*; tegoż samego dnia, nie wspominając ani słowa, dostarczyłam jej sposobności *sam na sam* z Dancenym. Ale, wyobraź sobie, z niego jeszcze taki głuptasek, że nie umiał uzyskać nawet pocałunku. A przecież ten chłopak pisuje bardzo ładne wiersze! Mój Boże! Jacyż ci inteligentni ludzie są głupi! Nie wiem, doprawdy, co z nim począć; jego przecież nie mogę prowadzić za rączkę!

Obecnie tedy mógłbyś mi być bardzo pomocnym. Jesteś dość blisko z Dancenym, aby wydobyć z niego jakieś zwierzenia, gdyby zaś raz wszedł na tę drogę, pojechalibyśmy gładko. Załatw się zatem co rychlej z prezydentową, bo — tak czy owak — nie chcę, aby Gercourt miał wyjść cało. Rozgadałam się już zresztą o nim z młodą osóbką i odmalowałam go tak skutecznie, że gdyby była jego żoną od lat dziesięciu, nie mogłaby go lepiej nienawidzić. Mimo to nie szczędziłam kazań na punkcie małżeńskiej wierności; okazałam w tym względzie wprost budującą surowość. Przez to z jednej strony utrwałam w jej oczach mą reputację, której nadmierna pobłażliwość mogłaby zaszkodzić; z drugiej potęguję w niej tę nienawiść, z jakiej pragnę uczynić podarek ślubny mężowi. Wreszcie, utwierdzając przekonanie, że wolno jej żyć dla miłości jedynie przez ten krótki czas panieństwa, mam nadzieję, że łatwiej rozwinie się w niej chęćka, aby nic zeń nie uronić.

Do widzenia, wicehrabio; zabiorę się do toalety albo też zacznę czytać twoje foliały.

27 sierpnia 17\*\*

## LIST XXXIX

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Smutna jestem i niespokojna, Zosiu droga. Płakałam prawie całą noc. Wprawdzie, mimo wszystko, na razie czuję się i tak bardzo szczęśliwą, ale boję się, że to niedługo potrwa.

Byłam wczoraj w Operze z panią de Merteuil; rozmawialiśmy dużo o moim małżeństwie, ale to, co usłyszałam, wcale mnie nie pocieszyło. Mój przyszły mąż nazywa się hrabia de Gercourt, a ślub ma być już w październiku. Jest bogaty, pochodzi ze znakomitej rodziny, jest pułkownikiem w pułku \*\*. Aż dotąd wszystko bardzo ładnie. Ale przede wszystkim jest stary: wyobraź sobie, ma co najmniej trzydzieści sześć lat! A potem pani de Merteuil mówi, że jest ponury i zgryźliwy; obawia się, że nie będę z nim szczęśliwa.

<sup>95</sup>luby (daw.) — miły, przyjemny, kochany. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>paradny (daw.) — zabawny, śmieszny. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>zrazu — początkowo. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>brać za dobrą monetę — wierzyć w coś, uznawać za prawdę. [przypis edytorski]

Widziałam nawet po niej, że całkiem na pewno tak myśli, tylko nie chciała wyraźnie powiedzieć, żeby mnie nie martwić. Prawie cały wieczór mówiła tylko o obowiązkach żony: przyznaje, że pan de Gercourt nie jest miły ani powabny, a jednak mówi, że trzeba koniecznie go kochać. Powiedziała także, że, gdy raz wyjdę za mąż, nie wolno mi będzie kochać kawalera Danceny! Jak gdyby to było możliwe! Och! Co do tego, ręczę ci, że będę go kochała zawsze. To już bym wolała wcale nie iść za mąż. Niech ten pan Gercourt robi sobie, co mu się podoba, ja go wcale nie prosiłam. Teraz jest na Korsyce, bardzo daleko; chciałabym, żeby tam siedział z dziesięć lat. Gdybym się nie bała, że mnie wsadzą na powrót do klasztoru, zaraz bym powiedziała mamie, że nie chcę takiego męża; ale to by było jeszcze gorzej.

Wielki mam kłopot, Zosieńko. Czuję, że nigdy jeszcze tak nie kochałam pana Danceny; i kiedy pomyślę, że już tylko miesiąc tego życia, zaraz mi lzy napływają do oczu. Jedyną pociechą jest przyjaźń pani de Merteuil; ona ma takie dobre serce! Każdym moim zmartwieniem przejmuję się na równi ze mną; przy tym taka miła, że jak jestem z nią razem, już prawie o tamtym nie myślę. Bardzo dużo korzystam w jej towarzystwie; to troszkę, co wiem, to wszystko od niej; i taka dobra, że mówię jej wszystko, co myślę, bez najmniejszego zawstydzienia. Kiedy ona uważa, że coś jest niedobrze, łaje mnie czasem, ale bardzo łagodnie; potem całuję ją i ściskam z całego serca tak długo, aż się przestanie gniewać. Przynajmniej co ją, to wolno mi kochać, ile mi się spodoba i nic w tym nie ma złego; strasznie się cieszę. Ułożyłyśmy się jednak, że nie będę pokazywała przy wszystkich, że ją tak bardzo kocham, zwłaszcza przed mamą nie, żeby się nie domyśliła czego o kawalerze Danceny. Zaręczam ci, że gdybym mogła zawsze żyć tak jak teraz, byłabym bardzo szczęśliwa. Tylko ten paskudny pan de Gercourt!... Ale nie chcę już więcej o nim mówić; znowu bym się zrobiła smutna. Zamiast tego wolę napisać do kawalera Danceny; będę mówiła tylko o mojej miłości, nie o zgryzotach, bo nie chcę go zmartwić.

Do widzenia, moja złota. Widzisz więc, że niesłusznie żaliłaś się na mnie i że, mimo że jestem *zajęta*, jak mówisz, zawsze zostanie mi dość czasu, aby cię kochać i pisać do ciebie<sup>99</sup>.

27 sierpnia 17\*\*

## LIST XL

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Nie dość już okrutnej, że nie odpowiada na listy, że odmawia ich przyjęcia; chce mnie pozbawić i swego widoku, żąda, abym się usunął. Bardziej się może zadziwisz, markizo, że ja się poddaję tym surowym wyrokom. Zganisz mnie za to. A jednak, zdawało mi się, iż dobrze jest nie wypuszczać sposobności przyjęcia od niej *rozkazu*. Z jednej strony, moim zdaniem, ktoś, kto rozkazuje, tym samym zaciąga zobowiązania; z drugiej, uważam, że najtrudniejszą do uniknięcia pułapką dla kobiety jest owa złudna przewaga, jaką jej pozornie przyznajemy. A przy tym, dzięki zręczności, z jaką pani de Tourvel umiała się wystrzegać każdej chwili rozmowy, położenie zaczynało się stawać bardzo niebezpiecznym: trzeba było zeń wyjść za każdą cenę. Przebywając bezustannie w jej towarzystwie bez możliwości zaprzątania jej mą miłością, miałem wszelkie powody obawiać się, iż osoba moja przestanie wreszcie być dla niej źródłem ciągłego niepokoju: sama wiesz, jak trudno później to odzyskać.

Zgadujesz zresztą, że nie poddałem się bez jakichś warunków. Byłem nawet o tyle przeczny, że postawiłem jeden, niepodobny do przyjęcia; zarówno aby zostać zawsze panem dotrzymania słowa lub wycofania się, jak również aby dać początek dyskusji, bądź pisemnej, bądź ustnej, w chwili gdy moja pani sama najprzychylniej jest dla mnie usposobiona, a zarazem najbardziej musi mnie oszczędzać. Wreszcie musiałbym być bardzo

<sup>99</sup>(...) zawsze zostanie mi dość czasu, aby (...) pisać do ciebie — pomija się w dalszym ciągu listy Cecylii Volanges i kawalera Danceny, jako mało interesujące i niezawierające żadnych godnych uwagi wydarzeń. [przypis autorski]

niezręczny, gdybym nie znalazł sposobu wytargowania jakiejś kompensaty<sup>100</sup>, w razie gdybym odstąpił od tej pretensji<sup>101</sup> mimo całej jej niewykonalności.

Wyłożywszy tedy moje racje w tym przydługim wstępie, przystępuję do skreślenia historycznego przebiegu ostatnich dni. Jako dokument załączam list mego ideału i moją odpowiedź. Przyznasz, że co do ścisłości niewielu dziejopisów mogłoby ze mną rywalizować.

Przypominasz sobie wrażenie, jakie wywołał przedwczoraj mój list z *Dijon*: reszta dnia spłynęła równie burzliwie. Skromnisia zjawiała się dopiero do obiadu i oznajmiła, że ma silną migrenę: pozór, którym chciała pokryć widoczne i gwałtowne rozdrażnienie. Stan wewnętrzny odbił się również na twarzy; owa słodycz spojrzenia, która, jak pamiętasz, jest dla niej tak znamioną, zmieniła się w wyraz jakiegoś dąsu, co prawda zdołało jej piękność nowym wdziękiem. Przyrzekam sobie, iż w przyszłości będę korzystał z tego odkrycia i nie omieszkam podręczyć jej od czasu do czasu.

Poobiedzie zapowiadało się niezabawnie; toteż pragnąc go sobie oszczędzić, wymówiłem się pilnymi listami i schroniłem do siebie. Wróciłem do salonu około szóstej; pani de Rosemonde zaproponowała przejażdżkę, co zostało przychylnie przyjęte. Ale w chwili siadania do powozu pani de Tourvel, w przystępie jakiejś piekielnej złośliwości (być może, aby się zemścić za moje zniknięcie po obiedzie), wymyśliła nowy napad migreny i zostawiła mnie bez litości na pastwę przejażdżki sam na sam z ciotką. Za powrotem<sup>102</sup> dowiedzieliśmy się, że się położyła.

Nazajutrz przy śniadaniu już nie ta sama kobieta. Wrodzona słodycz wróciła na oblicze; mogłem mniemać, że wszystko już odpuszczone. Ledwie śniadanie dobiegło do końca, luba istota podniosła się od niechcienia i skierowała w stronę parku; domyślałem się, że pospieszylem za nią. „Co mogło obudzić tę ochotę do przechadzki?” — rzekłem, zbliżając się do niej. — „Pisałam dużo dziś rano — odparła — i głowę mam nieco zmęczoną”. — „Nie mnie zapewne przypadło szczęście — wtrąciłem — abym się stał powodem tego utrudzenia?” — „Owszem, pisałam do pana — odparła znowu — ale waham się, czy oddać list... Zawiera pewną prośbę, a zwykłe postępowanie pańskie nie pozwala mi żywić zbytnej wiary w jej powodzenie”. — „Ach, przysięgam, że jeśli tylko zdołam...” — „Nic łatwiejszego pod słońcem — przerwała — jakkolwiek miałabym prawo odwołać się z tą prośbą jedynie do pańskiego sumienia, godzę się przyjąć spełnienie jej jako łaskę...” Przy tych słowach podała mi list; biorąc, ująłem zarazem i rękę. Cofnęła ją, ale bez gniewu, raczej z zakłopotaniem. „Upał większy niż myślałam — rzekła — trzeba wracać”. To mówiąc, skierowała się ku zamkowi. Czyniłem próżne wysiłki, aby ją nakłonić do dalszej przechadzki; musiałem przywołać na pomoc całą rozwagę, aby się ograniczyć w perswazjach jedynie do słownej wymowy. Znalazłszy się w zamku, pani de Tourvel udała się do swych pokoi, ja również schroniłem się do siebie, aby otworzyć list, którego przeczytanie, zarówno jak moją odpowiedź, gorąco ci zalecam, zanim pójdziemy dalej.

## LIST XLI

### *Prezydentowa de Tourvel do wicehrabiego de Valmont*

Sądząc z pańskiego postępowania, zdawałoby się, że jedynie myśli pan o tym, czym by pomnożyć każdego dnia przyczyny żalu, jaki mam do niego. Wytrwałość, z jaką bezustannie mówi mi pan o uczuciu, o którym nie chcę i nie powinnam słyszeć; ustawiczne nadużywanie mej dobrej wiary albo nieśmiałości; sposób zwłaszcza, śmiem powiedzieć, mało delikatny, jakim się posłużyłeś, aby przesłać list ostatni, wszystko to powinno by ściągnąć na pana wymówki równie żywe, jak zasłużone. Mimo to, miast powracać do tych zarzutów, ograniczam się do prośby, równie prostej jak słusznej; jeżeli uzyskam jej spełnienie, godzę się puścić w niepamięć wszystkie żale.

Pragnę zatem, aby pan zechciał się oddalić; abys opuścił zamek, w którym dłuższy pobyt pański musiałby na mnie ściągnąć potępienie świata, zawsze skłonnego do myślenia

<sup>100</sup>*kompensata* — wynagrodzenie strat lub krzywd. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*pretensja* — tu: prawo, które ktoś przyznaje sobie do czegoś. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*za powrotem* (daw.) — dziś: po powrocie. [przypis edytorski]

źle o drugich, świata, który przyzwyczaiłeś aż nadto, aby surowo sądził kobiety odważające się przebywać w pańskim towarzystwie.

Ostrzegana już od dawna o tym niebezpieczeństwie przez moich przyjaciół, nie zważałam na ich sądy, spierałam się nawet z nimi, dopóki pańskie zachowanie pozwalało wierzyć, iż raczysz nie stawiać mnie w równym rzędzie z tłumem kobiet skrzywdzonych i znieważonych przez pana. Dziś, kiedy traktujesz mnie na równi z nimi, kiedy nie mogę mieć pod tym względem żadnych wątpliwości, winna jestem opinii świata, przyjaciół, sobie samej, aby się uciec do tego koniecznego środka. Mogłabym dodać, iż nic nie zyskałby pan, odmawiając mej prośbie, gdyż gotowa jestem wyjechać sama, jeżeli pan zechce pozostać: ale nie staram się zmniejszyć wdzięczności, jaką będę czuła dla pana za tę uprzejmość i nie taję, iż zmuszając mnie do wyjazdu, sprawiłby mi pan wielki kłopot. Chciej mi więc dowieść, że — jak tyle razy zapewniałeś — uczciwe kobiety nigdy nie będą miały przyczyny uskarżać się na pana; dowiedź przynajmniej, że nawet kiedy ci się zdarzy dopuścić względem nich jakiej winy, umiesz i chcesz ją naprawić.

Gdybym potrzebowała szukać usprawiedliwienia mej prośby, wystarczyłoby mi powiedzieć panu, iż życie całe strawiłeś na tym, aby uczynić ją niezbędną. Mimo to w twojej mocy było jej uniknąć. Ale nie poruszajmy wydarzeń, o których pragnę zapomnieć i które zmuszałyby mnie do surowego sądu o panu w chwili, gdy ofiaruję panu sposobność pozyskania całej mej wdzięczności. Żegnaj pana; postąpienie pańskie pouczy mnie, z jakimi uczuciami mam zostać na całe życie pańską powolną<sup>103</sup> etc.

25 sierpnia 17\*\*

## LIST XLII

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Jakkolwiek, pani, twarde warunki mi nakładasz, nie uchylam się od ich spełnienia. Czuję, że niepodobienstwem byłoby dla mnie sprzeciwić się twemu życzeniu. Skoro tedy porozumieliśmy się co do tego punktu, ośmielałam się mniemać, że z kolei i pani pozwolił mi przedłożyć pewne prośby, nieskończenie skromniejsze, których ziszczenie pragnę zawdzięczać jedynie zupełnemu poddaniu się twojej woli.

Pierwszą prośbą, która, mam nadzieję, znajdzie poparcie w twoim poczuciu sprawiedliwości, jest, abys zechciała wymienić mi moich oskarżycieli; wyrządzili mi, jak sądzę, dość złego, abym miał prawo poznać ich po imieniu. Druga łaska, której oczekuję po twojej wspaniałomyślności, to abys raczyła od czasu do czasu nie wzbraniać się przed przyjęciem najpoddającego hołdu miłości, która teraz, bardziej niż kiedykolwiek, powinna mieć prawo do twego współczucia.

Pomyśl pani, że ja skwapliwie poddaję się twym rozkazom, nawet wówczas gdy mogę to uczynić jedynie kosztem mego szczęścia i mimo przekonania, że pragniesz mego wyjazdu jedynie dlatego, aby sobie oszczędzić przykrości oglądania przedmiotu swego okrucieństwa. Oddalasz mnie od siebie, jak się odwraca wzrok od nieszczęśliwego, któremu się nie chce dopomóc.

Ale wówczas, gdy rozłączenie zdwoi moje męczarnie, komuż innemu, jak nie tobie, pani, mogę powierzyć me skargi? Od kogóż mogę oczekiwać pociechy, której tak bardzo będę potrzebował? Czyż mi jej odmówisz, ty, która jesteś jedyną sprawczynią mych udręczeń?

Nie powinno pani również dziwić, że zanim odjadę, chciałbym usprawiedliwić się przed tobą z uczuć, którymi mnie natchnęłaś; również nie zdobędę się na odwagę oddalenia się stąd, póki nie otrzymam z własnych ust twoich wyraźnego rozkazu.

Ta podwójna przyczyna każe mi prosić panią o chwilę spotkania. Na próżno usiłowaliśmy zastąpić ją listami: pisze się tomy całe na próżno, wówczas gdy dla porozumienia wystarczyłby kwadrans rozmowy. Czasu mamy pod dostatkiem: mimo skwapliwości,

<sup>103</sup>powolny (daw.) — poddający się czemuś (czyjejs woli), dający sobą kierować, posłuszny, podporządkowany. [przypis edytorski]



z jaką pragnąłbym pani usłuchać, trzeba mi będzie, bodaj ze względu na ciotkę, doczekać jakiegoś listu, powołującego mnie rzekomo do Paryża. Żegnam panią; nigdy jeszcze nie było mi tak ciężko wymówić to słowo jak teraz, gdy przywodzi mi ono na pamięć myśl o rozstaniu. Gdybyś mogła, pani, wyobrazić sobie, ile cierpię, miałabyś dla mnie, śmiem wierzyć, nieco uznania za me posłuszeństwo. Chciej przyjąć przynajmniej z większą niż dotąd wyrozumiałością zapewnienie i wyrazy miłości równie tkliwej, jak pełnej bezgranicznego szacunku.

25 sierpnia 17\*\*

## DALSZY CIĄG LISTU XL

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

A teraz roztrząsnijmy rzecz razem, piękna przyjaciółko. Pojmujesz, jak i ja, że skrupulatna, uczciwa pani de Tourvel nie może wypełnić pierwszego żądania i zdradzić zaufania przyjaciół, wymieniając moich oskarżycieli. Zatem, przyrzekając wszystko pod tym warunkiem, nie zobowiązuję się do niczego. Ale rozumiesz także, że jej niezawodna odmowa stanie się tytułem do uzyskania dalszych punktów i że wówczas, oddalając się, zyskuję to, iż wchodzę z nią, i to za jej zgodą, w stałą korespondencję. Co się tyczy schadzki, o którą proszę, nie przywiązuję do tego większej wagi; jedynym celem moim jest oswoić ją z podobnymi żądaniami na przyszłość.

Jedno, co mi pozostało przed wyjazdem, to dowiedzieć się, kto taki pozwala sobie szkodzić mi w jej oczach. Przypuszczam, że to szanowny małżonek; chciałbym, aby tak było. Pomijając, że zakaz małżeński jest zawsze jedynie zaostrzeniem ochoty, jestem pewny, że z chwilą gdy dama zgodzi się pisywać do mnie, mąż przestanie być niebezpieczny, skoro tym samym pani wejdzie na drogę oszukiwania go.

Natomiast jeśli to jakaś przyjaciółka otrzymuje jej zwierzenia i judzi przeciwko mnie, pierwszym mym zadaniem będzie poróżnić je z sobą i mam nadzieję, że zdołam to osiągnąć. Przede wszystkim trzeba wy badać, jak się w istocie rzeczy mają. Myślałem, że mi się to uda wczoraj; ale ta kobieta nic tak nie robi jak inne. Byliśmy w jej pokoju w chwili, gdy oznajmiono obiad. Kończyła ledwo toaletę, śpiesząc się i tłumacząc, przy czym zauważyłem, iż zostawiła kluczyk od sekretarzyka w zamku; znam zaś jej zwyczaj, iż nigdy nie wyjmuje z drzwi klucza od pokoju. Rozmyślałem nad tym w czasie obiadu, gdy usłyszałem, że pokojówka jej schodzi na dół. Powziąłem plan w jednej chwili; udałem, że mi zaczęła iść krew z nosa i wyszedłem. Pomknąłem do sekretarzyka; wszystkie szuflady otwarte, ani kawałeczka zapisanego papieru. Gdzież ona może podziewać listy, które dostaje? A dostaje często! Nie pominąłem żadnej kryjówki; wszystko było otwarte, szukałem wszędzie: nic nie zyskałem, prócz przeświadczenia, że ten cenny skarb musi się znajdować w kieszeniach jej sukien.

Jak go wydobyć? Od wczoraj łamię sobie na próżno głowę. Żałuję, iż nie posiadam złodziejskich talentów. Doprawdy, ta sztuka powinna by wchodzić w skład wychowania człowieka przeznaczonego do podbojów miłosnych. Ale rodzice nasi nie troszczą się o nic; ja zaś na próżno bym się dziś silił to nadrobić, widzę ze smutkiem, że jestem tylko niezdara bez ratunku.

Koniec końców, musiałem wrócić do stołu, bardzo nierad z siebie. Moja Piękność ułagodziła nieco ten zły humor, okazując mi wielką troskliwość z powodu udanego zaślubienia; nie omieszkałem napomknąć, że od niejakiego czasu podlegam wzruszeniom, które bardzo nieszczególnie wpływają na me zdrowie. Wiedząc doskonale, że sama jest tego przyczyną, czyż nie powinna by się poczuwać do obowiązku dostarczenia najskuteczniejszego lekarstwa? Ale ona, choć taka święta, mało skłonna jest do miłosierdzia; odmawia uporczywie jałmużny miłosnej; toteż upór ten wystarcza, jak sądzę, najzupełniej do uprawnienia kradzieży. Do widzenia; gawędzę z tobą, markizo, a cały czas myślę o tych przeklętych listach.

26 sierpnia 17\*\*

## LIST XLIII

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

I czemuż stara się pan umniejszyć mą wdzięczność? Czemu chcesz być posłusznym jedynie w połowie i czynisz przedmiotem targów swoje szlachetne postąpienie? Czyż nie wystarcza, że ja czuję całą jego wartość? Nie tylko żądasz pan wiele: żądasz wprost rzeczy niepodobnych. Jeśli w istocie przyjaciele ostrzegali mnie przed panem, uczynili to z pewnością jedynie przez troskliwość: gdyby nawet zdarzyło się im omylić, chęci były najlepsze. I pan żądasz ode mnie, abym odplaciła ten dowód przywiązania, zdradzając ich tajemnice! Odwołuję się do pana samego, do pańskiego poczucia honoru; czy przypuszczał pan, iż będę zdolną do takiego postąpienia? Czy godziło się mnie do tego namawiać? Sądzę, że nie: jestem pewna, iż zastanowiwszy się głębiej, nie ponowi pan tego żądania.

Drugie, tyżące pisywania do mnie, również niełatwe jest do przyjęcia: jeżeli zechcesz być sprawiedliwy, nie mnie pan będzie winił o to. Nie chcę bynajmniej pana obrazić; ale wobec reputacji, jaką posiadasz, a na jaką, wedle własnego przyznania, przynajmniej w części zasłużyłeś, któraż kobieta mogłaby się przyznać, iż pozostaje w korespondencji z panem? A któraż kobieta uczciwa zgodziłaby się czynić coś, z czym by się musiała ukrywać?

Gdybym bodaj miała pewność, że listy pańskie nie dadzą mi nigdy powodu do skargi, może wówczas dla dowiedzenia, że jedynie rozważa, a nie niechęć kierują mym postępowaniem, gotowa byłabym pominąć te ważne względy i uczynić więcej, niż bym powinna, pozwalając pisać od czasu do czasu do siebie. Jeśli w istocie pragnie pan tego tak bardzo, podda się pan chętnie warunkowi; w zamian zaś, przez wdzięczność za to, co czynię dla pana, nie będziesz odwlekał wyjazdu.

Niech mi pan pozwoli uczynić uwagę, iż otrzymałeś wszak jakiś list dziś rano, a nie skorzystałeś zeń, aby oznajmić pani de Rosemonde o konieczności wyjazdu, jak mi to obiecałeś. Spodziewam się, że teraz nic panu nie zdoła przeszkodzić w dotrzymaniu słowa. Liczę zwłaszcza, że nie będzie pan czynił tego zależnym od rozmowy, której żądasz, a na którą bezwarunkowo zgodzić się nie mogę; i że w miejsce rozkazu, którego tak się domagasz, zadowolisz się gorącą prośbą. Żegnaj pana.

27 sierpnia 17\*\*

## LIST XLIV

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Ciesz się wraz ze mną mą radością, uroczą przyjaciółko; jestem kochany: zwyciężyłem to harde serduszko. Próżno wzdraga się jeszcze i broni; udało mi się pochwycić jej tajemnicę. Od wczorajszej szczęśliwej nocy, czuję się znowu w swoim żywiole; odzyskałem istnienie. Odsłoniłem podwójną tajemnicę: będę się napawał miłością i zemstą; czeka mnie rozkosz po rozkoszy. Sama myśl o tym rozpala mnie tak, że wprost trudno mi jest się opamiętać; nie wiem, czy zdołam opowiedzieć wszystko po porządku. Spróbujmy.

Jeszcze wczoraj, po wysłaniu listu do ciebie, otrzymałem pismo od mego Anioła. Przesyłam ci je; wyczytasz tam, iż udziela mi — najmniej niezręcznie, jak umie — pozwolenia pisywania do niej: ale nalega na przyspieszenie wyjazdu; czułem też, iż odkładając dłużej, zaszkodziłbym sprawie.

Nękanie jednakże żądzą poznania autora owych zdradzieckich listów, wahałem się z ostatecznym postanowieniem. Usiłowałem przekupstwem nakłonić pokojówkę, aby mi ułatwiła dostęp do kieszeni swej pani. Ofiarowałem dziesięć ludwików za tę drobną usługę: ale trafiłem na ciemięgę, wierną czy też tchórzliwą, której ani wymowa, ani pieniądze nie mogły przekonać. Próbowałem przemawiać jej do rozumu, kiedy zadzwoniono na wieczerzę. Trzeba ją było zostawić; musiałem się zadowolić tym, iż przyrzekła mi tajemnicę, na którą, jak sobie wyobrażasz, nie mogłem liczyć zbyt wiele.

Nigdy jeszcze nie byłem tak wściekły na siebie. Czulem, że naraziłem wszystko i wyrzuciłem sobie przez cały wieczór nierozwagę.

Wróciwszy do siebie, pełen niepokoju zwierzyłem się strzelcowi, mniemając, iż ten, jako szczęśliwy kochanek, posiada jakiś wpływ na dziewczynę. Chciałem, aby w razie niemożności skłonienia jej do mych życzeń zapewnił mi bodaj jej milczenie: ale on, który zazwyczaj nie powątpiewa o niczym, tym razem wątpił w powodzenie i uczynił w tym względzie zdumiewająco głęboką uwagę.

„Wiadomo przecież panu, lepiej jeszcze niż mnie — odparł — że romansować z dziewczyną, znaczy robić wszystko, co się jej spodoba: ale żeby ona robiła to, czego ja chcę od niej, to zupełnie inna sprawa”.

Rozum tego hultaja przeraża mnie czasem.<sup>104</sup>

„Co się jej tyczy — dodał — tym mniej jeszcze mógłbym za nią odpowiadać, ile że mam przyczyny mniemać, że ona ma kochanka, ja zaś stanowią jedynie wypełnienie musowych wiejskich wakacji. Toteż gdyby nie moja gorliwość w służbach Jaśnie Pana, byłoby się *to* wzięło raz albo dwa, i koniec. (Paradny chłopak!) Co do tajemnicy — dodał — na co się przyda wymuszać jakieś przyrzeczenie, skoro i tak będzie nas mogła zdradzić bez żadnego ryzyka? Mówić jej jeszcze o tym, znaczyłoby tylko zwracać uwagę, że sekret jest ważny i tym samym obudzić większą chętkę do paplania”.

Im więcej te uwagi zawierały w sobie słuszności, tym bardziej rosło moje nieukontentowanie. Szczęściem, hultaj rozgadał się na dobre, że zaś potrzebowałem jego usług, pozwoliłem mu gawędzić. Opowiadając mi tedy całą historię, wspomniawszy, iż pokój tej dziewczyny sąsiaduje z pokojem pani, że więc dla bezpieczeństwa schodzą się co noc nie u niej, lecz w jego izdebce. Natychmiast powziąłem plan; pouczyłem chłopca o jego roli i wykonaliśmy rzecz z pełnym powodzeniem.

Doczekałem drugiej rano; wówczas, wzięwszy światło, udałem się, jak to umówiliśmy z sobą, do jego izdebki pod pozorem, iż dzwoniłem kilkakrotnie bez skutku. Powiernik mój, w potrzebie pierwszorzędnym aktor, zaimprovizował scenkę zdziwienia, rozpacz i skruchy; położyłem temu koniec, posyłając go po coś do mego pokoju. Przez ten czas uparta pokojóweczka pozostawała w sytuacji tym bardziej kłopotliwej, ile że hultaj, przesadzając swą gorliwość w wykonaniu mego planu, nakłonił ją uprzednio do przybrania stroju, na który gorąca pora roku pozwalała, lecz któremu nie mogła służyć za usprawiedliwienie.

Czując, że im bardziej upokorzę tę dziewczynę, tym łatwiej będę ją miał na usługi, nie pozwoliłem jej zmienić położenia ani kostiumu; po czym, usiadłszy na łóżku zdradzającym ślady wielkiego nieładu, rozpocząłem przemowę. Musiałem utrzymać nad nią przewagę; toteż zachowując zimną krew, która przyniosłaby zaszczyt wstrzemięźliwości Scypiona, i mimo świeżości jej wdzięków nie pozwalając sobie na najmniejszą poufałość, zacząłem mówić o interesach tak spokojnie, jak gdybym rozmawiał ze starym kauzyperdą.

Warunki moje brzmiały, że dochowam jej wiernie tajemnicy, jeżeli w zamian, na zajutrz, o tej samej mniej więcej godzinie, pozwoli mi splądrować kieszenie swej pani. „Zresztą — dodałem — ofiarowałem wczoraj dziesięć ludwików; też samą kwotę przyrzekam i dzisiaj. Nie chcę wyzyskiwać twego położenia”. Pojmujesz, iż zgodziła się bez oporu; oddaliłem się, zostawiając szczęśliwej parze sposobność odzyskania straconego czasu.

Co do mnie, udałem się na spoczynek; rankiem zaś, pragnąc zyskać pozór do zwłoki w odpowiedzi na list pani de Tourvel aż do chwili, gdy zdołam przejrzeć jej papiery, udałem się na polowanie, które zabawiło mnie niemal do wieczora.

Za powrotem przyjęto mnie dość zimno. Mam powód przypuszczać, że pewne niezadowolenie wzbudziła moja wstrzemięźliwość w korzystaniu z chwil, jakie mi pozostały; zwłaszcza wobec ostatniego listu, łagodniejszego nieco w tonie. Wnoszę to również stąd, że, gdy pani de Rosemonde uczyniła mi wymówkę z powodu długiej nieobecności, moja pani wtrąciła z odcieniem urazy: „Ach! Nie wyrzucajmy panu de Valmont, że się oddaje jedynej rozrywce, jaką tu posiada”. Zaprotestowałem przeciw niesprawiedliwości, dodając z umysłu, iż w towarzystwie pań czas upływa tak mile, że dla nich opóźniam nawet

<sup>104</sup>Rozum (...) czasem — Piron, *Métromanie*. [przypis tłumacza]

napisanie bardzo ważnego listu. Dodałem, iż spędziwszy kilka bezsennych nocy, chciałem w utrudzeniu szukać lekarstwa: spojrzenia moje wyraźnie tłumaczyły i przedmiot listu, i przyczynę bezsenności. Staralem się utrzymać przez cały wieczór w tonie melancholijnej słodyczy, zagranej wcale nieźle, pod którą ukrywałem niecierpliwość doczekania się godziny, mającej mi wydać w ręce tak uparcie bronioną tajemnicę. Wreszcie rozeszliśmy się; w jakiś czas później wierna pokojówka przyniosła mi umówioną cenę mej dyskrecji.

Raz stawszy się panem skarbu, przystąpiłem, ze znaną ci przezornością, do sporządzenia inwentarza: ważnym bowiem było, aby później wszystko przywrócić do porządku. Najpierw, dwa listy od męża: niestrawna mieszanina procesów i miłości małżeńskiej. Zdobyłem się na cierpliwość odczytania ich w całości; ani słowa odnoszącego się do mnie. Zirytowany, odłożyłem je na bok: ale wkrótce wściekłość ustąpiła łagodniejszym uczuciom, gdy znalazłem, starannie poskładane, kawałki mego pamiętnego listu z Dijon. Mimo woli przebiegłem je oczami. Osądz mą radość, gdy spostrzegłem wyraźnie ślady łez. Wyznaję, że uległem uczuciu godnemu młodzika: ucałowałem list ze wzruszeniem, o jakie nigdy nie byłbym się posadził. Ciągnąłem dalej szczęśliwe poszukiwania; znalazłem wszystkie swoje listy po porządku, ułożone datami; co mnie zaś jeszcze milej zdumiało, to iż znalazłem ów pierwszy, ten który zwróciła mi z oburzeniem, wiernie skopiowany jej ręką, zmienionym i drżącym pismem, które dowodnie świadczyło o słodkim poruszeniu serca.

Aż dotąd tonąłem w uczuciach miłości; wkrótce jednak wściekłość zajęła jej miejsce. Kto, mniemasz, pragnie mnie zgubić w oczach ubóstwianej? W jakiejż furii przypuszczałabyś tyle złości i jadu? Znasz ją, to twoja przyjaciółka, krewna, pani de Volanges. Nie wyobrażasz sobie, jaki stek potworności wypisała o mnie ta piekielna megiera. To ona, jedynie ona, zmałała spokój tej anielskiej kobiety; dzięki jej radom, przestrogom, zmuszony jestem się oddalić; dla niej to uczyniono ze mnie ofiarę. Ha! Teraz zgoda, markizo: trzeba uwieść jej córkę; ale to nie dosyć; trzeba ją zgubić; skoro wiek tej przeklętej kobiety zabezpiecza ją samą od zemsty, trzeba ugodzić ją w przedmiocie jej przywiązania.

Chce zatem, abym wrócił do Paryża! Zmusza mnie! Dobrze, wrócę; ale ciężko jej przyjdzie opłacić mój powrót. Żałuję, że to Danceny jest bohaterem owej przygody; to w gruncie uczciwy chłopak, możemy z nim mieć nieco kłopotu: ale z drugiej strony, jest zakochany, a ja mam na niego dość wpływu: jakoś damy sobie radę. Wściekam się, zamiast dokończyć biuletynu dzisiejszych wydarzeń. Wróćmy do przedmiotu.

Dziś rano znów ujrzałem mą tkliwą świętoszkę. Nigdy nie wydała mi się równie piękną. To całkiem naturalne: najpiękniejsza chwila u kobiety, jedyna, w której zdolna jest wywołać to upojenie duszy, o którym mówi się zawsze, a którego doświadcza się tak rzadko, to ta, kiedy przekonani o miłości nie jesteśmy jeszcze pewni jej ustępstw; oto właśnie moje położenie. Może także myśl, że niebawem mam być pozbawiony szczęścia jej widoku, przystroiła ją w nowe powaby. Toteż kiedy z przybyciem posłańca oddano mi twój list z 27-go, czytając, nie wiedziałem jeszcze, czy dotrzymam słowa: ale spotkałem jej oczy i uczulem, że niepodobieństwem mi jest czegokolwiek odmówić.

Oznajmiłem tedy wyjazd. W chwilę później pani de Rosemonde zostawiła nas samych; nim jeszcze zdołałem się zbliżyć, ona, zrywając się z miejsca z wyrazem przerażenia, zawołała: „Zostaw mnie pan, zostaw, błagam, na miłość Boga, niech mnie pan zostawi”. Ta gorąca prośba, wyraźnie zdradzająca jej wzruszenie, mogła mnie tylko zachęcić. W jednej chwili znalazłem się przy niej; pochwyciłem ręce, które złożyła jak do modlitwy czarującym ruchem, i zacząłem wywodzić tkliwe skargi, kiedy jakiś diabeł przyniósł z powrotem panią de Rosemonde. Biedna trusia, która w istocie ma czego się obawiać, skorzystała z tego, aby się udać do siebie.

Mimo to ofiarowałem jej ramię, które przyjęła; dobrze wróżąc sobie z tej łaskawości, jaką nie obdarzyła mnie już od dawna, podjąłem na nowo kwilenia, a zarazem zacząłem prosić przyciskać rączkę. Zrazu chciała mi ją odebrać; ale gdy ponowiłem zabiegi, poddała się dość łaskawie, jakkolwiek nie odpowiadając ani na słowa, ani na uczynki. Znalazłszy się u drzwi, chciałem ucałować jej rękę. Tutaj napotkałem na energiczny opór, ale słowa: *pomyśl pani, że odjeżdżam*, wymówione najtkliwszym głosem, uczyniły ją miękką i bezradną. Zaledwie zdołałem uzyskać ów pocałunek, ręka jej znalazła dość siły, aby się wysunąć z mojej: lube stworzenie schroniło się do swego pokoju pod opiekuńcze skrzydło panny służącej. Tu kończą się moje dzieje.

Ponieważ przypuszczam, markizo, że będziesz jutro u marszałkowej \*\*\*, gdzie z pewnością nie pójde cię szukać; ponieważ dalej mniemam, że za pierwszym widzeniem będziemy mieli niejedno do omówienia, a zwłaszcza sprawę małej Volanges, o której nie zapominam, postanowiłem tedy uprzedzić moje przybycie tym listem. Mimo jego potężnych rozmiarów, zamknę go dopiero w chwili wysłania na pocztę; w obecnej bowiem sytuacji, wszystko może zależeć od jednej sposobności. Żegnaj mi zatem, markizo, pośpieszam na czaty.

*PS ósma wieczór*

Nic nowego, żadnego kroku z jej strony: przeciwnie, nawet starania, aby uniknąć wszelkiego zbliżenia. Natomiast na twarzy smutek, silnie przekraczający granice konwensansu. Drugi szczegół, który może nie być obojętnym, to to, iż mam imieniem ciotki zaprosić panią de Volanges, aby zechciała jakiś czas spędzić u niej na wsi.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; do jutra lub pojutrze najdalej.

*28 sierpnia 17\*\**

## LIST XLV

*Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges*

Pan de Valmont wyjechał dziś rano; zdawała się pani tak bardzo pragnąć tego wyjazdu, iż uważam za stosowne uwiadomić ją o nim. Pani de Rosemonde dotkliwie odczuła utratę jego towarzystwa, trzeba przyznać, w istocie pełnego uroku: całe rano rozmawiała ze mną o panu de Valmont, nie szczędząc pochwał i zachwytów. Zdawało mi się, iż nie byłoby właściwym z mej strony sprzeciwiać się, tym bardziej że trzeba jej przyznać słusność w wielu rzeczach. Co więcej, czułam niejaki wyrzut, iż stałam się przyczyną tego rozłączenia; nie spodziewam się bowiem, bym zdołała wynagrodzić zacnej staruszce przyjemność, której ją pozbawiłam. Wiesz pani sama, iż z natury niewiele mam wesołości w charakterze, a tryb życia, jaki nas tu czeka, również nie bardzo jest sposobny, aby ją rozbudzić.

Gdyby nie to, żem stosowała się ściśle do twoich wskazówek, obawiałabym się, czym nie postąpiła nieco lekkomyślnie: istotnie, głęboko obeszło mnie zmartwienie czigodnej przyjaciółki; wzruszyła mnie do tego stopnia, że gotowa byłam podzielić jej łzy i żal.

Żyjemy obecnie nadzieją, że pani zechcesz przyjąć zaproszenie, które pan de Valmont przedłoży jej imieniem pani de Rosemonde. Spodziewam się, iż nie wątpi pani o przyjemności, z jaką ujrzałabym ją tutaj; doprawdy, należy się nam to odszkodowanie. Będę bardzo szczęśliwa, zyskując sposobność rychlejszego poznania panny de Volanges, jak również wyrażenia pani moich najbardziej pełnych czci... etc.

*29 sierpnia 17\*\**

## LIST XLVI

*Kawaler Danceny do Cecylii Volanges*

I cóż się stało, Cecylio moja ubóstwiana? Co mogło sprowadzić tak nagłą i okrutną zmianę? Co się stało z zaklęciami, iż nic odmienić cię nie zdoła? Wczoraj jeszcze powtarzałaś je z takim upojeniem! Któż zdołał do dziś wymazać je z twej pamięci? Na próżno wglądam w siebie, nie mogę w sobie odszukać przyczyny, a strasznym jest wprost dla mnie szukać jej w tobie, pani. Ach, wiem, że nie jesteś płochą ani zdradziecką: w chwili rozpaczy nawet, dusza moja nie splami się obrażającym posądzeniem. Jakaż więc złowroga fatalność mogła cię odmienić? Tak, okrutna, odmieniłaś się! Tkliwa Cecylia, Cecylia, którą ubóstwiam i z której ust tyle zaklęć otrzymałem, nie byłaby się uchyliła moim spoj-

rzeniom, nie byłaby unikała mego sąsiedztwa: lub gdyby jakiś powód, którego nie mogę sobie wyobrazić, zmusił ją do tego, raczyłaby przynajmniej mnie o nim powiadomić.

Ach, bo ty nie wiesz, nigdy nie będziesz wiedziała, Cesium moja, ile przez ciebie cierpiełem, ile jeszcze cierpię w tej chwili! Czy myślisz, że byłbym zdolny żyć bez twej miłości? Mimo to, kiedy cię prosiłem o słowo, które by mogło rozproszyć moje obawy, ty, bezlitosna, pod jakimś pozorem, uchyliłaś się od odpowiedzi. Kiedy, zmuszony opuścić cię, zapytałem, o której godzinie będę mógł jutro cię oglądać, dopiero z ust pani de Volanges otrzymałem odpowiedź. Tak więc ta chwila, zawsze tak upragniona, naszego spotkania, jutro obudzi we mnie jedynie uczucie niepokoju; szczęście oglądania cię, dotąd tak drogie sercu, ustąpi miejsca obawie, iż mogę ci być natrętnym!

Już dzisiaj, czuję to, obawa ta krępuje mnie tak, iż nie śmiem ci mówić o swej miłości. To *kocham cię*, które lubilem powtarzać tyle razy, skoro je miałem nadzieję nawzajem usłyszeć, to słowo tak lube, które wystarczało, aby mnie przepelnić słodyczą, staje się dla mnie, gdy ty się zmieniłaś, zwiastunem wiekuistej rozpacz. Mimo to, nie mogę uwierzyć, aby ten talizman miał postradać całą potęgę: próbuję posłużyć się nim jeszcze. Tak, Cecyljo, *kocham cię*. Ach, powtórz ze mną, błagam, ten wyraz mego szczęścia. Pomyśl, iż przyzwyczaiłaś mnie słyszeć go z twoich usteczek i że pozbawić mnie go teraz, znaczyłoby skazać na cierpienie, które, tak samo jak miłość moja, skończy się jedynie z życiem.

29 sierpnia 17\*\*

## LIST XLVII

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Nie będę jeszcze dzisiaj miał szczęścia cię oglądać, moja piękna przyjaciółko, a oto powody, które, proszę, racz przyjąć z całą pobłażliwością.

Zamiast wrócić wczoraj najkrótszą drogą, zatrzymałem się u hrabiny de \*\*\*, dokąd zaprosiłem się na obiad. Dotarłem do Paryża dopiero koło siódmej i natychmiast wstąpiłem do Opery, gdzie myślałem, iż cię zastanę.

Po operze zaszedłem przywitać się z przyjaciółkami zza kulis; między innymi ujrzałem mą dawną Emilię, otoczoną licznym dworem zarówno kobiet, jak mężczyzn, dla których wyprawiała tego wieczora kolację w P... Skoro tylko się zjawiłem, wszyscy poczęli nalegać, abym im dotrzymał towarzystwa. Do próśb tych przyłączyła się także jakaś krótka a gruba figurka, która wyjąkała mi swoje dobre chęci w holenderskiej francuszczyźnie; domyśliłem się, iż to był prawdziwy bohater wieczoru. Przyjąłem.

Dowiedziałem się w drodze, że pałacyk, który nas miał ugaszczać, stanowił umówioną cenę względów Emilii dla tej pociesznej figury i że kolacja była prawdziwą ucztą weselną. Człeczyna nie posiadał się z radości w oczekiwaniu bliskiego szczęścia; wydał mi się tak zadowolony, że natchnął mnie ochotą zżarcia jego uciechy; co też w istocie uczyniłem.

Nieco kłopotu miałem z tym, aby nakłonić Emilię, która wzdragła się zrazu na takie igranie z cierpliwością holenderskiego krezusa; w końcu jednak zgodziła się na mój projekt, polegający na tym, aby napełnić winem tę beczkę od piwa i uczynić go niezdolnym do boju na przeciąg całej nocy.

Posiadając nader wysokie pojęcie o tęgości głów holenderskich, rozwinęliśmy wszystkie znane nam środki. Powiodło się tak dobrze, że przy deserze grubas ledwie już zdołał utrzymać szklanicę: pocziwa Emilka i ja laliśmy w niego na wyścigi. Nareszcie zwałił się pod stół, w stanie wróżącym nieprzytomność co najmniej ośmiodniową. Postanowiliśmy go odesłać do Paryża; ponieważ jednak nie zatrzymał powozu, kazałem go wpakować w mój, sam zaś zostałem na posterunku. Przyjąłem następnie życzenia od całego towarzystwa, które opuściło niebawem mieszkanie, zostawiając mnie panem placu boju. Zabawny ten epizod, a może i moje długie odcięcie od świata, przydały Emilii tyle powabu w mych oczach, że obiecałem dotrzymać jej towarzystwa aż do zmartwychwstania Holendra.

Uprzejmość ta z mej strony jest nagrodą grzeczności, którą mi wyświadczyła, ofiarując mi się jako pulpit do pisania do pięknej świętoszki. Bawiła mnie ta myśl, aby jej przesłać list, pisany w łóżku i niemal że w ramionach dziewczyny, przerwany nawet aktem zupełnej niewierności, w którym to liście najdokładniej zdają jej sprawę z mego położenia i uczynków. Kiedy odczytałem go Emilii, tarzała się po prostu ze śmiechu; mam nadzieję że i ciebie zabawi.

Ponieważ list musi posiadać pieczętkę z Paryża, posyłam ci go, markizo; bądź tak dobra przeczytać, zapieczętować i odesłać na pocztę. Ale pamiętaj nie użyć przypadkiem swojej pieczętki, ani też jakiego emblematu miłosnego; zwykła główka wystarczy. Do widzenia.

PS Otwieram mój list; nakłoniłem Emilię, aby poszła do teatru na włoską trupę... Skorzystam z tego czasu, aby pośpieszyć do ciebie, markizo. Zjawię się najpóźniej o szóstej; jeżeli ci to dogadza, pójdziemy razem koło siódmej do pani de Volanges. Nie wypada mi opóźniać się dłużej z zaproszeniem, które mam jej zanieść imieniem pani de Rosemonde; przy sposobności, rad będę zobaczyć małą Volanges.

Do widzenia, uroczą pani. Gotuję się uściskać cię z taką przyjemnością, aby kawaler miał prawo być zazdrosny.

*Z P\*\*\* 30 sierpnia 17\*\**

## LIST XLVIII

*Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

*(Z pieczęcią paryską)*

Po nocy bezsennej i burzliwej, nocy którą przeżyłem na przemian trawiony żarem płomiennej namiętności, to znów pogrążony w zupełnym unicestwieniu wszystkich władz duszy, śpieszę, pani, przy tobie szukać spoczynku, którego potrzebuję, a którego, mimo to, nie spodziewam się zakosztować jeszcze. Istotnie, stan w jakim się znajduję w chwili, gdy kreślę te słowa, bardziej niż kiedykolwiek daje mi uczuć nieodpartą potęgę miłości; z trudnością przychodzi mi zachować tyle panowania nad sobą, aby bodaj trochę skupić myśli: czuję, że będę musiał przerwać pisanie jeszcze przed końcem listu. Ach, czemuż nie wolno mi pieścić się nadzieją, że i ty kiedyś, pani, podzieliś wzruszenia, których doznaję w tej chwili? Gdybyś je dobrze znała, nie wierzę byś mogła zostać na nie tak nieczułą! Wierzaj mi, pani, chłodna spokojność, sen duszy, obraz śmierci, nie wiodą bynajmniej do szczęścia; żywa namiętność jedynie zdolna jest doń zaprowadzić. Mimo wszystkich udręczeń, jakie mi zadajesz, czuję się w tej chwili szczęśliwszym od ciebie. Na próżno gnębisz mnie bezlitosną surowością; nie przeszkodzi mi ona oddać się całą duszą słodyczom miłości i w upojeniach jej zapomnieć o rozpacz, której mnie na łup wydajesz. W ten sposób pragnę się pomścić za wygnanie, na jakie mnie skazujesz. Nigdy jeszcze, pisząc do ciebie, nie doznawałem takiej rozkoszy; nigdy nie odczuwałem w ciągu tego zatrudnienia wzruszeń tak słodkich, a zarazem tak żywych. Wszystko naokół здаje się podsycać me zapaly: powietrze, które wchłaniam w siebie, oddycha rozkoszą; stół nawet, na którym piszę do ciebie, pierwszy raz poświęcony na taki użytek, staje się dla mnie świętym ołtarzem miłości; jakiejż ceny i powabu nabierze w moich oczach! Na nim wszak kreślę przysięgę, iż kochać będę cię zawsze! Przebacz, błagam, to rozigranie zmysłów. Nie powinien bym może tak poddawać się wzruszeniu, którego ty nie podzielasz: muszę porzucić cię na chwilę, aby uśmierzyć płomień wzmagający się coraz to bardziej i silniejszy od mej woli.

...Powracam do ciebie, pani, i chciej mi wierzyć, powracam zawsze z równą skwapliwością. Mimo to, świadomość szczęścia odleciała daleko i ustąpiła miejsca okrutnej niemocy. I po cóż mówić o moich uczuciach, skoro na próżno szukam środków przekonania cię o nich? Po tylekroć wznawianych wysiłkach, opuściła mnie i moc, i wiara w siebie. Jeśli maluję sobie jeszcze rozkosze miłości, to aby tym boleśniej odczuwać żal, że

jestem z nich wyzwuty. Jedyne ratunek widzę w twojej pobłażliwości, ale zanadto czuję w tej chwili, jak bardzo mi jej potrzeba, abym mógł mieć nadzieję, iż ją uzyskam. To pewna, że nigdy miłość moja nie była równie pełną czci i daleką od wszelkiego zuchwałstwa; nie waham się powiedzieć, iż w tej chwili najsurowsza cnota nie miałaby się powodu jej obawiać. Nie śmiem cię dłużej, pani, zajmować mą niedolą. Ta, która doprowadziła mnie do tego bolesnego stanu, nie podziela go z pewnością, nie godzi mi się przeto dłużej nadużywać jej cierpliwości, trawiając czas na kreśleniu ci, pani, tego rozpaczliwego obrazu. Kończę tedy, błagając jedynie, byś raczyła mi odpowiedzieć i abyś nigdy nie wątpiła o prawdziwym uczuciu.

*Pisano w P\*\*\*, datowano z Paryża,*

*30 sierpnia 17\*\**

## LIST XLIX

*Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

Nie jestem ani zmienną ani zdradziecką, ale po prostu nauczyłam się patrzeć na swoje postęпки i tym samym uczulam konieczność odmiany. Przrzekłam tę ofiarę Bogu, zanim mu zdołam również poświęcić i uczucie, które żywię dla pana, a które pański duchowny charakter czyni podwójnie występny. Wiem, że mi będzie bardzo ciężko; nie kryję, że od przedwczoraj płaczę za każdym razem, jak tylko pomyślę o panu. Ale mam nadzieję, że Bóg w swej łasce doda mi siły, bym mogła o panu zapomnieć. Błagam go o to co dzień, rano i wieczorem. Liczę na pańską przyjaźń i szlachetność, że pan nie będzie się starał zakłócić dobrego postanowienia, jakim mnie natchniono, i dopomoże mi pan, bym się w nim zdołała utrzymać. Proszę więc, by pan był tak łaskaw nie pisywać więcej; uprzedzam, że nie mogłabym odpisać i musiałabym o wszystkim powiedzieć mamie. W ten sposób już byśmy się całkiem nie mogli widywać.

Mimo wszystko, zawsze zachowam dla pana tyle przywiązania, ile można mieć dla kogoś bez popełnienia grzechu, i z całej duszy życzę panu wszelakiego szczęścia. Czuję dobrze, że pan mnie już nie będzie tak kochał... może pan pokocha niedługo inną, mocniej jeszcze niż mnie. Ale to będzie jedna pokuta więcej za błąd, jaki popełniłam, oddając panu serce, które winnam była zachować jedynie dla Boga i dla przyszłego męża. Mam nadzieję, że miłosierdzie boskie ulituje się mej słabości i ześle mi tylko tyle zgrzyoty, ile jej będę miała siłę udźwignąć.

Żegnam pana; niech mi pan wierzy, że gdyby mi było wolno kochać kogoś, kochałabym jedynie pana. Ale oto wszystko, co mogę powiedzieć: i to może więcej, niżlibym powinna.

*31 sierpnia 17\*\**

## LIST L

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

Czy tak przestrzega pan warunków, pod jakimi pozwoliłam od czasu do czasu pisywać do siebie? Wolnoż mi cierpieć te listy, gdy pan mi w nich mówi jedynie o uczuciu, któremu obawiałabym się zawierzyć nawet wówczas, gdybym mogła to uczynić, nie depcąc wszystkich obowiązków?

Doprawdy, gdybym szukała nowych pobudek dla podtrzymania tej zbawiennej obawy, jakże łatwo bym je znalazła w ostatnim liście! Zaprawdę, w tej samej chwili, w której wydaje się panu, iż śpiewasz hymn na chwałę miłości, czyliż, przeciwnie, nie ukazujesz mi tylko jej burz straszliwych? Któż mógłby pragnąć szczęścia kupionego za cenę rozsądku;



szczęścia, w którym chwila znikomej rozkoszy zbyt rychło ustępuje miejsca żalowi, jeżeli nie zgryzocie?

Pan sam, choć tak oswojony z tym niebezpiecznym szaleństwem, czyliż nie przyznajesz, iż często staje się ono silniejszym od ciebie? Czyż sam nie wyrzekasz na ten stan mimowolnego obłądzenia? Jakież straszliwe spustoszenie sprawiłoby to uczucie w sercu nieodświadczonym i tkliwym!

Wierzy pan lub przynajmniej udaje pan tę wiarę, że miłość wiedzie do szczęścia; co do mnie, jestem tak bardzo pewna, iż uczyniłaby mnie nieszczęśliwą, że wolałabym nigdy nie słyszeć nawet jej imienia. Mam uczucie, że już samo mówienie o tym mąci spokój duszy; toteż zarówno z przekonania, jak z obowiązku, proszę, byś zechciał zachować milczenie w tym przedmiocie.

Zresztą, nie będzie panu trudno wysłuchać tej prośby. Wróciwszy do Paryża, znajdzie pan dość sposobności do zapomnienia o uczuciu zrodzonym może z kaprysu i wiejskiego osamotnienia. Czyż nie znalazłeś się pan teraz w tym samym mieście, w którym patrzyłeś na mnie wzrokiem tak obojętnym? Czyż każdy krok nie nasuwa ci na oczy przykładów twej łatwości w odmienianiu uczuć? Czyż nie otacza cię rój najpowabniejszych kobiet, z których każda więcej ode mnie miałaby praw do twego uwielbienia? Obcą mi jest najzupełniej wszelka próżność, którą tyle zarzucają płci naszej; tym bardziej nie powoduję się fałszywą skromnością, będącą jedynie wyrafinowaniem pychy; toteż zupełnie szczerze mówię, że bardzo mało dostrzegam w sobie środków podobania się; a gdybym nawet posiadała ich najwięcej, i to by jeszcze nie starczyło, aby pana trwale przywiązać. Skoro pana zatem proszę, abyś się mną nadal nie zajmował, proszę jedynie o to, co by pan sam uczynił niebawem, gdybym nawet życzyła sobie inaczej.

Ta prawda, iż nazbyt dla mnie oczywista, wystarczyłaby już zupełnie, aby mnie uczynić głuchą na pańskie perswazje. Oprócz tej przyczyny, mam jeszcze wiele innych; ale nie zapuszczając się w dłuższą dyskusję, poprzestaję na ponowieniu prośby, aby mi pan nie mówił już o uczuciu, o którym nie godzi mi się słuchać, a któremu, tym więcej, nie wolno mi odpowiedzieć.

*1 września 17\*\**

# CZĘŚĆ DRUGA

## LIST LI

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Doprawdy, wicehrabio, nieznośny jesteś. Postępujesz ze mną tak lekko, jak gdybym była twą kochanką. Pogniżam się na ciebie; zirytowana jestem co się zowie. Jak to! Miałaś się spotkać z Dancenym dziś rano; wiesz, jak ważnym było, abym się widziała z tobą przed tą rozmową; a ty, nie troszcząc się o nic zgoła, pozwalasz czekać na siebie cały boży dzień, biegając nie wiadomo gdzie? Jesteś przyczyną, że zjawiłam się *nieprzyzwoicie* późno u pani de Volanges, ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich dam w pewnym wieku. Musiałam cackać się z nimi przez cały wieczór, aby je ułagodzić, nie powinno się bowiem drażnić starszych kobiet: w ich ręku leży reputacja młodych.

Obecnie jest pierwsza po północy i zamiast się położyć, na co miałabym szaloną ochotę, muszę rozpisywać się do ciebie. Masz szczęście, doprawdy, że nie mam czasu dłużej się gniewać. Nie sądził tylko, że ci przebaczam; po prostu śpieszy mi się. Słuchaj zatem: przystępuję do rzeczy.

Przy odrobinie zręczności, powinien byś jutro doprowadzić Dancenego do zwierzeń. Obecny moment bardzo sprzyja takiemu wylaniu: jest to chwila nieszczęścia. Panienska była u spowiedzi, wypaplała wszystko jak dzieciak i odtąd tak ją dręczy obawa przed diabłem, że chce koniecznie zerwać. Zwierzyła mi się ze wszystkich skrupułów: po jej przejęciu widzę, jak jej głęboko zajęchały w główkę. Pokazała mi swój list z zerwaniem: istne kazanie wielkopostne. Plotła mi te brednie z jaką dobrą godzinę. Z tym wszystkim byłam w prawdziwym kłopotcie; pojmujesz bowiem, że nie mogłam puszczać się na otwartość z taką gąską.

Z kimś bardziej *kutym* niżeli nasz Dancenego, drobny ten wypadek przyniósłby może więcej pożytku niż szkody; ale z tego młodzieniaszka taki *Celadon*, że o ile mu nie pomożemy, zużyje tyle czasu na zwalczanie najłżejszych drobiazgów, że już go nam nie stanie dla dopełnienia naszego zamiaru.

Masz słuszność: szkoda w istocie, że to on jest bohaterem tej przygody; boleję nad tym nie mniej od ciebie: ale cóż chcesz? Stało się — i to z twojej winy. Kazałam sobie pokazać jego odpowiedź; litość bierze doprawdy!

Ostatecznie, zamiast tracić czas na perswazje, które mnie by zdradziły tylko, a jej może nie przekonały, pochwaliłam zerwanie; ale powiedziałam, że właściwiej jest w podobnym wypadku wyluszczyć powody ustnie niż pisemnie. Dodałam także, że jest w zwyczaju zwrócić sobie nawzajem listy i podarki. W ten sposób, utwierdzając na pozór postanowienia młodej osóбки, skłoniłam ją do naznaczenia schadzki. Natychmiast ułożyliśmy wszystko, przy czym ja podjęłam się wywabić z domu panią de Volanges. Owa stanowcza chwila ma przypaść jutro po południu. Dancenego wie już: ale, dla Boga, jeżeli znajdziesz sposobność, staraj się wpłynąć na pięknego pasterza, aby mniej czasu tracił na westchnienia. Poucz go, skoro już wszystko trzeba mu tłumaczyć, że najskuteczniejszym sposobem zwalczania skrupułów jest doprowadzić do tego, aby skrupulatka nic już nie miała do stracenia.

Nie chcąc, aby ta głupia historia miała się kiedy powtórzyć, postarałam się zbudzić w umyśle dziewczyny nieco wątpliwości co do dyskrecji spowiedników; mała drży teraz ze strachu, aby księżulo nie poszedł wszystkiego opowiedzieć matce.

Mam nadzieję, że gdy z nią jeszcze parę razy pomówię w tym przedmiocie, nie przyjdzie jej do głowy mieszać obce osoby do panińskich głupstewek.

Do widzenia, wicehrabio. Weź Dancenego w ręce i pokieruj nim. Wstyd byłby dla nas, gdybyśmy nie mieli dać sobie rady z tą parą dzieciaków. Aby pobudzić naszą gorliwość, pamiętajmy wciąż, ty, że chodzi o córkę pani de Volanges, ja, że o przyszłą żonę Gercourta. Do widzenia.

2 września 17\*\*

## LIST LII

*Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Zabraniasz, pani, mówić o miłości: ale gdzie znajdę siłę do spełnienia tego wyroku? Zajęty wyłącznie uczuciem, które mogłoby być tak słodkie, a które ty czynisz tak okrutnym; usychając na wygnaniu, na jakie mnie skazałaś, żyjąc jedynie żalem i tęsknotą, wydany na łup udręczeń tym dotkliwszych, że przypominają mi bezustannie twą obojętność, trzebaż, abym utracił jeszcze jedyną pociechę, jaka mi została? Czyliż odwrócisz spojrzenia, aby nie widzieć łez, które wyciskasz? Czy odmówisz nawet przyjęcia ofiar, które sama nałożyłaś? Czy nie byłoby godniejszym ciebie, twej duszy szlachetnej i tkliwej, raczej uzalić się nieszczęśliwego, który jest nim jedynie przez ciebie, niżli okrutnym i niesprawiedliwym zakazem pomnażać jego męczarnie?

Udajesz, iż lękasz się miłości, a nie chcesz widzieć, żeś ty jedynie sprawczynią nieszczęść, które jej zarzucasz. Och! Bez wątpienia, uczucie to jest męką, gdy przedmiot, który je natchnął, sam go nie podziela; ale gdzie znaleźć szczęście, jeśli wzajemna miłość dać go nie byłaby zdolną? Gdzie znaleźć tkliwą przyjaźń, zaufanie słodkie i bez granic, ulgę w niedoli, bezmiary szczęścia, nadzieje czarowne, wspomnienia pełne rozkoszy, gdzie znaleźć, mówię, to wszystko, jeżeli nie w miłości? Spotwarzasz ją ty, której ona u nóg składa wszystkie skarby, bylebyś ich raczyła nie odtrącać; ja zaś zapominam o własnych cierpieniach, aby ją bronić przed twymi oskarżeniami!

Zmuszasz mnie pani również, bym bronił sam siebie; podczas bowiem gdy ja trawię życie na ubóstwianiu cię, ty z góry już przypuszczasz, że jestem płochym i zmiennym; obracając przeciw mnie własną mą otwartość, rozmyślnie mieszasz to, czym byłem dawniej, z tym, czym jestem obecnie. Nienasycona tym, iż skazałaś mnie na mękę życia daleko od ciebie, dołączasz okrutne szyderstwo, mówiąc mi o rozkoszach świata, gdy wiesz, jak bardzo na nie stałem się nieczułym. Nie wierzysz ani obietnicom, ani przysięgom: dobrze więc! Jedno mi jeszcze zostało świadectwo, którego przynajmniej nie będziesz mogła podejrzać: twoje własne. Proszę cię zatem, pani, byś raczyła jeno<sup>105</sup> z dobrą wiarą wejrzeć w samą siebie. Jeśli istotnie nie wierzysz w mą miłość, jeśli choć na chwilę wątpisz, iż sama jedna władasz w mej duszy, jeśli nie jesteś pewna, żeś przykuła do siebie to serce, w istocie dotąd zbyt niestałe, godzę się ponieść ciężar tej omyłki: będę cierpiał, ale nie odwołam się od wyroku. Lecz jeżeli, przeciwnie, oddając sprawiedliwość nam obojgu, będziesz zmuszona przyznać sama przed sobą, że nie miałaś, nigdy nie będziesz miała rywalki, nie każ mi, błagam, walczyć z czczą chimera i zostaw mi przynajmniej tę pociechę, bym widział, iż nie wątpisz w uczucie, które skończyć się może jedynie wraz z życiem. Ośmielał się prosić panią, byś raczyła wyraźnie odpowiedzieć na ten ustęp!

Jeśli sam gotów jestem potępić ten okres mego życia, który zdaje się tak okrutnie szkodzić mi w twoich oczach, to nie dlatego, iżby w potrzebie brakło mi argumentów dla obrony.

I cóż takiego wreszcie popełniłem prócz tego, iż nie oparłem się wirowi, który mnie porывał? Znalazłem się wśród świata młody i bez doświadczenia; podawany sobie, można powiedzieć, z rąk do rąk przez tłum kobiet równie łatwych, jak pozbawionych głębszej wartości; czyż do mnie należało dawać przykład oporu, którego nie spotykałem z ich strony? Lub czyż miałem karać się za chwilę szaleństwa stałością, której nikt nie wymagał i którą jedynie za śmieszność by mi poczytano? Jakież inny środek, jak tylko rychłe zerwanie, może przemazać<sup>106</sup> winę poniżającego wyboru!

Ale, mogę powiedzieć, ten szal zmysłów, może nawet obłąd próżności, nie przeniknął aż do mego serca. To serce, stworzone do prawdziwego uczucia, miłości mogły oszołomić, ale nie zdołały go wypełnić. Z otaczających mnie istot, pełnych powabu, lecz niegodnych szacunku, ani jedna nie zapadła mi w duszę; dawano mi rozkosz, ja szukałem cnoty; w końcu sam uwierzyłem, iż jestem niestały, będąc jedynie wrażliwym i wymagającym.

Dopiero spotkawszy ciebie, pani, przejrzałem: poznałem rychło, że urok miłości zależy jedynie od przymiotów duszy: że one jedne zdolne są wywołać ów szal i usprawiedliwić go

<sup>105</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>przemazać — tu: przekreślić. [przypis edytorski]

zarazem. Uczułem po prostu, że równym niepodobieństwem jest dla mnie i nie kochać ciebie, i kochać kogokolwiek innego jak ciebie.

Oto, pani, jakim jest serce, któremu lękaś się zawierzyć, a którego los spoczywa w twoim ręku: ale jakikolwiek wyrok mu przeznaczasz, nie zdołasz w niczym zmienić uczuć mych dla ciebie; są one niezniszczalne jak doskonałość, która je zrodziła.

3 września 17\*\*

## LIST LIII

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Widziałem Dancenego, ale ledwie udało mi się wydobyć z niego coś w rodzaju zwierzenia. Zaciął się zwłaszcza, aby nie wymienić nazwiska małej Volanges, którą mi odmalował jako osobę bardzo cnotliwą, a nawet przesadnie nabożną: poza tym opowiedział dość wiernie całą przygodę, zwłaszcza ostatnie wypadki. Podgrzewałem go, jak mogłem, i podrwiwałem mocno z jego wstrzemięźliwości i skrupułów: ale, zdaje się, natrafiłem na ciężki grunt i wcale za niego nie ręczę. Pojutrze będę mógł powiedzieć coś więcej. Biorę go jutro do Wersalu i będę go sondował przez drogę.

Dzisiejsza schadzka również i we mnie budzi niejakie nadzieje: nie jest niemożliwe, że wszystko odbyło się po naszej myśli. Może nie pozostaje w tej chwili nic, jak tylko uzyskać wyznanie i postarać się o dowody. To zadanie łatwiejsze będzie dla ciebie niż dla mnie: młoda osóbką bowiem skłonniejsza jest do ufności, lub, co na jedno wychodzi, do gadulstwa niż jej dyskretny kochanek. Zrobię jednakże, co będzie w mej mocy.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; spieszę się bardzo; nie będę mógł być u ciebie ani dziś wieczór, ani jutro. Gdybyś ze swej strony dowiedziała się czego, napisz słówko; odbiorę za powrotem. Na noc z pewnością będę już w Paryżu.

3 września 17\*\*

## LIST LIV

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Zapewne! Jest się o czym wywiadywać, skoro się ma z takim Dancenym do czynienia! Jeżeli ci co mówił, przechwalał się. Nie znam większego niezdary i coraz więcej żał mi naszych trudów dla takiego głuptasa. Czy wiesz, że jeszcze włos, a byłabym się skompromitowała przez niego? I do tego zupełnie na darmo! Ale zapłaci mi, to pewna.

Przede wszystkim, kiedy wstąpiłam wczoraj po panią de Volanges, nie chciała w ogóle ruszyć się z domu, czuła się cierpiąca; zaledwie zdołałam ją wyciągnąć. Jeszcze chwila, a Dancenego byłby się zjawił przed naszym wyjazdem, co byłoby już bardzo podejrzanym, ile że pani de Volanges oznajmiła poprzedniego dnia, że nie będzie dzisiaj w domu. Obie z małą siedziałyśmy jak na szpilkach. Nareszcie udało mi się wyruszyć z matką, córeczka zaś, żegnając się, ścisnęła mnie za rękę tak czule, iż mimo jej najświętszych postanowień zerwania, obiecywałam sobie cuda po tym wieczorze.

Nie tu jeszcze koniec utrapień. Ledwie upłynęło pół godziny, jak bawiłyśmy u pani de\*\*\*, kiedy pani de Volanges w istocie zasłabła; ale naprawdę, poważnie zasłabła. Oczywiście chciała wracać do domu, od czego znów ja, jak łatwo zrozumiesz, starałam się ją odwieść wszelkimi siłami. Półtorej godziny nie pozwoliłam się jej ruszyć z miejsca, udając, iż lękam się, aby kołysanie powozu nie pogorszyło jej stanu. Wróciłyśmy dopiero o naznaczonej godzinie. Zauważyłam u małej minę mocno zawstydzoną, tak iż mniemałam wreszcie, że kłopoty nie były przynajmniej daremne.

Pragnąc dowiedzieć się co rychlej o wszystkim, zostałam na wieczór u pani de Volanges, która położyła się natychmiast. Spożywszy wieszczę przy jej łóżku, opuściliśmy ją bardzo wcześnie, nie chcąc jakoby zakłócać spoczynku, i przeszliśmy do pokojów córki.

Okazało się, iż mała spełniła wszystko, czego się po niej spodziewałam: skrupuły w kącie, nowe przysięgi wiecznej miłości, itd. itd.; za to głuptas Danceney nie posunął się ani na włos! Och! Z tym to można się bezpiecznie pokłócić; pojednanie nie przedstawia najmniejszego niebezpieczeństwa.

Mała twierdzi, że Danceney chciał więcej, ale że ona umiała się bronić. Ręczę, że albo się przechwala, albo też chce go usprawiedliwić; sama nawet upewniłam się o tym niemal. Istotnie, przyszła mi chętka przekonać się dowodnie, do jakich granic sięga niezłomność jej oporu; i ja, prosta kobieta, z zabawki w zabawkę, zdołałam ją doprowadzić aż do... Słowem, możesz mi wierzyć, nie było na świecie istotki mniej niedostępnej tej kategorii wrażeń. Naprawdę ona jest milusia, ta mała! Warta by była innego kochanka; będzie miała przynajmniej dobrą przyjaciółkę, bo zaczynam się do niej szczerze przywiązywać. Przrzekłam jej, że ją wychowam i zdaje mi się, że dotrzymam słowa. Często dawał mi się uczuć brak oddanej i zaufanej powiernicy; ta dziewczyna wybornie się do tego nadaje, ale nie może być o tym mowy, dopóki nie będzie... przygotowana; tym bardziej mam więc żal do Danceney'ego.

Do widzenia, wicehrabio; nie przychodzi jutro, chyba rano. Uległam prośbom kawalera i ofiarowałam mu wieczór w moim sanktuarium.

4 września 17\*\*

## LIST LV

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Miałas rację, Zosieńko; w prorocत्वach więcej masz powodzenia niż w radach. Danceney, jak przepowiedziałas, mocniejszy się okazał niż spowiednik, niż ty, niż ja sama: wszystko wróciło do dawnego. Och, nie żałuję; a ty, jeśli będziesz mi czynić wymówki, to tylko dlatego, że nie wiesz, co to za szczęście kochać Danceney'ego. Bardzo ci łatwo mówić, jak trzeba postępować, kiedy nie o ciebie chodzi; ale gdybyś skosztowała, jak strasznie się odczuwa zmartwienie kogoś, kogo się kocha, ile radości sprawia jemu sprawić radość, i jak trudno powiedzieć *nie*, kiedy z całej duszy chciałoby się powiedzieć *tak*, nie dziwiłabyś się niczemu. Czy myślisz, na przykład, że ja mogę patrzeć, jak Danceney płacze, żebym sama nie płakała? Ręczę ci, że to zupełnie niemożliwe; a kiedy on jest wesoły, to i ja czuję się taka szczęśliwa!

Chciałabym cię widzieć na moim miejscu... Nie, to jest, nie to chciałam powiedzieć: to pewna, że mego miejsca nie ustąpiłabym nikomu; ale chciałabym, żebyś ty także kogoś kochała; i to nie tylko dlatego, żebyś mnie rozumiała lepiej i mniej mnie łajała, ale dlatego, że byłabyś o wiele szczęśliwsza, a raczej wtedy byś dopiero zaczęła być szczęśliwa.

Nasze zabawy, żarty, to wszystko, widzisz, to tylko zabawki dziecinne; kiedy przeminą, nic po nich nie zostaje. Ale miłość, ach, miłość!... Jedno słowo, spojrzenie, nic tylko wiedzieć, że on jest gdzieś blisko, ach, to już całe szczęście. Kiedy widzę Danceney'ego, nie chcę już nic więcej; kiedy go nie widzę, chciałabym tylko jego. Nie wiem, jak się to dzieje: ale to tak, jak gdyby wszystko, co mi się podoba, podobne było do niego. Kiedy on nie jest ze mną, myślę o nim; kiedy mogę myśleć do syta, bez przeszkody, kiedy jestem całkiem sama na przykład, już czuję się szczęśliwa. Zamykam oczy i zaraz zdaje mi się, że go widzę; przypominam jego słowa i zdaje mi się, że je słyszę; aż muszę wzdychać; a potem tak mnie coś pali, tak mi się w sercu ściska... Nie mogę sobie miejsca znaleźć. To tak, jakby jakieś cierpienie, a to cierpienie robi nieopisaną przyjemność. Myślę nawet, że kiedy raz się pozna, co miłość, to się już rozlewa nawet i na przyjaźń. Nie mówię o przyjaźni dla ciebie; ta się nic nie zmienia; to tak samo jak w klasztorze; ale tego, co ci mówię, doznaję z panią de Merteuil. Zdaje mi się, że raczej kocham ją tak jak Danceney'ego, niż tak jak ciebie i niekiedy chciałabym, żeby ona to był on. To może stąd, że to nie jest przyjaźń od dziecka jak nasza; albo też widuję ich tak często razem, że mi się czasem myli. To pewna, że z nimi dwójgiem czuję się bardzo, bardzo szczęśliwą; i ostatecznie nie zdaje mi się, żebym robiła coś tak bardzo złego. Toteż nie chciałabym niczego więcej, gdybym mogła zostać, jak jestem; tylko myśl o małżeństwie mnie dręczy, bo jeżeli pan de Gercourt jest

taki, jak mi mówiono, a z pewnością taki jest, to nie wiem, co się ze mną stanie. Do widzenia, Zosiu moja, kocham cię zawsze z całego serca.

4 września 17\*\*

## LIST LVI

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

I na cóż zdałaby się odpowiedź, której żądasz? Wierzyć w pańskie uczucia, czyż nie byłoby dla mnie jedną przyczyną więcej, aby się ich obawiać? Czyliż mi nie wystarczy, czyż panu samemu nie powinna wystarczyć świadomość, że nie chcę ani nie powinnam o nich wiedzieć?

Przypuśćmy, że pan kocha mnie prawdziwie (jedynie, aby nie wracać już do tego przedmiotu, godzę się na to przypuszczenie); czyliż wówczas przeszkody, które nas dzieliły, mniej byłyby niezwalczone? Czyliż miałabym inną drogę, jak tylko pragnąć, aby pan zdołał wkrótce pokonać tę miłość? Czyż nie powinna bym pomagać do tego z całej mocy, starając się odjąć jakąkolwiek nadzieję? Sam pan przyznaje, jak *bolesnym jest to uczucie, skoro osoba, która je wzbudziła, nie podziela go*. Otóż, wie pan przecie dobrze, że niepodobieństwem jest mi go podzielać, a gdyby nawet to nieszczęście się stało, wtrąciłoby mnie ono jedynie w tym sroższą niedolę, nie przyczyniając się w niczym do pańskiego szczęścia. Mam nadzieję, iż zna mnie pan dość dobrze, aby o tym ani na chwilę nie wątpić. Przestań więc, zaklinam, przestań kusić się o zamącenie serca, któremu spokój tak bardzo potrzebny; nie zmuszaj, bym musiała żałować, że pana poznała.

Kocham i poważam męża, który nawzajem ma dla mnie szacunek i przywiązanie; uczucia moje i obowiązki skupiają się na tym samym przedmiocie. Jestem szczęśliwa, powinnam nią być. Jeśli istnieją rozkosze bardziej żywe, ja ich nie pragnę; nie chcę ich poznać. Czyż może być coś słodsze, niż być w zgodzie z własnym sercem, widzieć przed sobą pasmo dni pogodnych, usypiać bez niepokoju i budzić się bez wyrzutów? To, co pan nazywa szczęściem, to jedynie oszołomienie zmysłów, burza namiętności, na którą strach patrzeć, nawet ze spokojnego brzegu. Jak się zawierzyć takim nawałnicom? Jak puścić się na morze pokryte szczątkami tysiącznych okrętów? I z kim? Nie, panie, ja trzymam się lądu; zbyt drogie mi są więzy, które mnie z nim łączą. Gdybym mogła je zerwać, nie uczyniłabym tego; gdybym ich nie miała, pospieszyłabym je sobie nałożyć.

Po co mnie oblegać? Po co ścigać tak wytrwale? Listy pańskie, które powinny być jak najrzadsze, stają się coraz częstsze. Miał pan być rozsądny, tymczasem mówisz jedynie o swej szalonej miłości. Niepokoisz mnie swymi myślami, bardziej jeszcze niż wprzód osobą. Oddalony w jednej postaci, zjawiasz się znowu w innej. To, o czym zabraniam panu mówić, powtarzasz znowu, tylko w innych słowach. Podobasz sobie w tym, aby mnie wprawiać w kłopot podstępными dowodzeniami, sam zaś wymykasz się moim argumentom. Nie chcę już odpowiadać, nie będę odpowiadała... Jak wy się odnosicie do kobiet, któreście uwiedli! Z jaką wzgardą mówicie o nich! Przypuszczam, iż niektóre z nich zasługują na to: ale czyż wszystkie godne są tylko pogardy? Ach, tak, niewątpliwie, skoro zdeptały obowiązki, aby się wydać na łup występnej miłości. Z tą chwilą straciły wszystko, nawet szacunek tego, dla którego wszystko poświęciły. Kara sprawiedliwa, ale sama myśl o niej przyprawia o drżenie! Ale cóż mnie to obchodzi wreszcie? Czemu miałabym się zajmować nimi albo panem? Jakim prawem stara się pan zakłócać mój spokój? Zostaw mnie pan, nie szukaj mnie, nie pisz do mnie; proszę o to, żądam. To ostatni list, jaki pan otrzyma ode mnie.

5 września 17\*\*

## LIST LVII

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

List twój, markizo, zastałem za powrotem. Uśmiełem się do rozpuku z twego wzburzenia. Nie mogłabyś żywiej odczuć zbrodni Danceney'ego, gdyby się jej dopuścił względem ciebie samej. Przez zemstę zapewne, przyzwyczajasz jego ulubioną do małych niewierności względem swego adonisa: szelmeczka z ciebie, markizo. Daję słowo! Czarująca jesteś i nic się nie dziwię, że trudniej się oprzeć tobie niż Danceney'emu.

Nareszcie umiem go na pamięć, tego pięknego bohatera romansu, nie ma już tajemnic dla mnie. Tyle mu się nagadałem, że uczciwa miłość jest najwyższym szczęściem, iż jedno szczerze uczucie więcej jest warte od dziesięciu miłostek, że sam się uczulem na tę chwilę zakochanym i pełnym nieśmiałości: słowem, zgodzaliśmy się tak dobrze we wszystkim, iż Danceney, oczarowany mą delikatnością serca, wszystko wyznał i zaprzysiął mi przyjaźń na śmierć i życie. Mimo to jesteśmy ciągle tam, gdzieśmy byli.

Przed wszystkim on ma w głowie tego ćwieka, że z panną trzeba mieć o wiele więcej względów niż z mężatką, ponieważ ma więcej do stracenia. Uważa zwłaszcza, że mężczyzna popełnia nikczemność, jeżeli stawia pannę w konieczności wyboru między zaślubieniem go a hańbą, o ile panna jest, jak w tym wypadku, o wiele bogatszą od tego mężczyzny. Ufność matki, nieświadomość młodej dziewczyny, wszystko to onieśmiela go i wstrzymuje. Jednak trudność nie leżałaby w pokonaniu jego rozumowań, mimo ich całej słuszności. Przy odrobinie sprytu i z pomocą jego własnej namiętności, rychło dałoby się je obalić: zwłaszcza że nieco trąca parafianstwem i że miałyby się po swojej stronie powagę utartych obyczajów. Ale największą trudność stanowi to, że on się czuje szczęśliwym tak, jak jest. Istotnie, jeżeli pierwsza miłość wydaje się na ogół uczciwszą i, jak to mówią, czystsza; jeżeli jest w każdym razie mniej pochopną do czynu, nie wynika to, jak by można myśleć, z delikatności lub obawy, ale stąd, iż serce, zdumione nieznanym uczuciem, zatrzymuje się niejako przy każdym kroku, aby nacieszyć się czarem, którego doznaje. Czar ten działa tak potężnie na serce jeszcze nieużyte, iż pochłania je całkowicie, każąc zapomnieć o innej rozkoszy. Ta prawda jest tak ogólną, iż rozpustnik, który się zakocha (o ile rozpustnik może być zakochany), od tej chwili z mniejszą niecierpliwością dąży do posiadania. Słowem, między postępowaniem Danceney'ego z małą Volanges a moim ze świętą panią de Tourvel istnieją zaledwie nieznaczne różnice.

Aby rozpalić naszego młodzieńca, trzeba by więcej przeszkód; więcej zwłaszcza potrzeby tajemnicy, z tajemnicy bowiem rodzi się śmiałość. Kto wie, czy nie zaszkodziłaś sprawie, pomagając mu tak gorliwie. Postępowanie twoje byłoby doskonałe dla człowieka wytrawnego, wiedzionego jedynie pragnieniem: ale trzeba było przewidzieć, że dla chłopca młodego, uczciwego i zakochanego najwyższym szczęściem jest pewność wzajemności i że — co za tym idzie — im bardziej będzie jej pewny, tym mniej będzie przedsiębiorczy.

Podczas gdy ja tu rozprawiam, ty milej skrucasz chwile ze swoim kawalerem. To mi nasuwa na pamięć, że przyrzekałaś zdradzić ze mną swego rycerza; przyrzeczenie na piśmie, nie myślę go się wyrzekać. Przyznaję, termin płatności jeszcze nie nadszedł: ale byłoby szlachetnie z twej strony nie czekać go, ja zaś, z mojej, gotów bym w zamian potrącić ci procenta. I cóż ty na to, markizo? Jeszcze cię nie wzruszyła własna stałość? Czy ten kawaler ma jakieś cudowne własności? Och, pozwól mi się z nim zmierzyć: zmuszę cię do wyznania, że jeśli widziałas w nim jakie zalety, to tylko dlatego, żeś zapomniała o moich.

Do widzenia, uroczą przyjaciółko; ściskam cię tak, jak ciebie pragnę; wyzywam wszystkie pieszczoty kawalera, żali zdołają moim dorównać w zapale.

5 września 17\*\*

## LIST LVIII

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

I czym zdołałem zasłużyć, pani, na gniew i wymówki? Przywiązanie najżywsze, a mimo to najpełniejsze czci, poddanie najzupełniejsze najdrobniejszym życzeniom: oto w dwóch słowach dzieje i moich uczuć, i postępów. Przytłoczony niedolą bezwzajemnej miłości, nie miałem innej pociechy, jak tylko ciebie oglądać; kazałaś mi się wyrzec tej osłody: usłuchałem bez szemrania. Za cenę tego poświęcenia pozwoliłaś pisywać do siebie i dziś

chcesz odjąć to jedyne szczęście. Mam je sobie dać wydrzeć, nie próbując bronić się nawet? Zaprawdę, nie! Jakżeby miało nie być drogim memu sercu? Wszak to jedyne, jakie mi pozostało, i mam je z twoich rąk, pani.

Listy moje, powiadasz, są zbyt częste! Pomyśl tedy, proszę, że przez te dziesięć dni wygnania nie spędziłem ani chwili, w której by dusza nie była zajęta tobą, a mimo to otrzymałaś ledwie dwa listy. „Mówię ci jedynie o miłości!” Ach, o czym innym mogę mówić, jak nie o tym, o czym myślę? Wszystko, co mogłem uczynić, to jedynie osłabić wyraz uczuć; możesz mi, pani, wierzyć, odsłoniłem jedynie to, czego mi było niepodobnym utaić. Grozisz wreszcie, iż nie będziesz odpowiadać. Nie dość ci więc, iż z człowiekiem, któremu jesteś droższa nad wszystko i który cię poważa więcej jeszcze niżli kocha, obchodzisz się bez cienia litości? Pragniesz mu jeszcze okazać wzgardę! I po cóż te groźby i gniewy? Do czegoż one potrzebne, czyliż nie jesteś pewna posłuszeństwa? Czy jest mi podobieństwem sprzeciwić się twemu życzeniu i czy tego nie dowiodłem? Ale czy zechcesz, pani, nadużyć władzy, jaką masz nade mną? Uczyniwszy mnie nieszczęśliwym, dopuściwszy się względem mnie niesprawiedliwości, czyż tak łatwo zdołasz się cieszyć spokojem, który, zapewniasz, tyle ci jest potrzebny? Nie powiesz sobie nigdy: oddał mi los swój w ręce, a ja wtrąciłam go w niedolę? Błagał o pomoc, a ja patrzyłam nań bez litości? Czy wiesz, dokąd mnie może zaprowadzić rozpacz? Nie!

Aby zmierzyć me cierpienia, trzeba by wiedzieć, do jakiego stopnia kocham ciebie, a ty, pani, nie znasz mego serca.

Dla czegoż ty mnie poświęcasz? Dla złudnej obawy. I kto ją w tobie budzi? Człowiek, który cię ubóstwia; człowiek, nad którym na wieki posiadasz nieograniczoną władzę. Czegoż się obawiasz, czego możesz się obawiać od uczucia, którym zawsze będzie w twej mocy kierować do woli? Ale wyobraźnia twoja stwarza potworne widma, a grozę, jaką w tobie budzą, przypisujesz miłości. Nieco ufności tylko, a widziadła pierzchną.

Mędrzec jakiś powiedział, że aby rozproszyć własne obawy, wystarcza, prawie zawsze, zastanowić się nad ich przyczyną. Prawda ta stosuje się zwłaszcza do miłości. Kochaj, a zmory się rozwieją. Zamiast przerażających widziadeł, znajdziesz uczucie pełne rozkoszy, ujrzyś czulego i uległego kochanka; dni twoje, płynąc w ciągłej szczęśliwości, budzić będą w tobie jedynie żal, iż mogłaś ich tyle wprzód zmarnować w swym uporze. Ja sam, od czasu gdy uleczony z dawnych błędów istnieję jedynie dla miłości, żałuję czasu strawionego rzekomo na rozkoszy; czuję, że tylko ty jedna posiadasz moc uczynienia mnie szczęśliwym. Ale błagam cię, pani, niechaj słodczy pisania do ciebie nie zamąca nadal obawa twej niełaski. Nie chcę ci być nieposłusznym; klękam oto przed tobą, błagam o szczęście, które chcesz mi wydrzeć, jedyne, jakieś mi zostawiła, wołam do ciebie, usłysz moje prośby, spójrz na moje łzy, och, pani, czy mi odmówisz?

7 września 17\*\*

## LIST LIX

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil

Wytłumacz mi, markizo, jeśli możesz, co znaczy to bajanie Dancenego. Cóż się stało i co on utracił? Czyżby donna pogniewała się za jego wiekuisty szacunek? Co prawda, trudno by się dziwić. Co mam mu powiedzieć dziś wieczór na schadzce, o którą prosi i o którą, od wszelkiego wypadku, przyrzekłem? To pewna, że nie będę tracił czasu na słuchanie lamentów, jeżeli ma nic nie być z tego wszystkiego. Skargi miłosne znośne są jedynie w postaci pięknych recytatywów albo potoczystych arii. Poucz mnie więc, co się stało i co robić; inaczej zmykam, aby uniknąć całego nudziarstwa. Czy mógłbym z tobą pomówić dziś rano? Jeżeli jesteś *zajęta*, napisz bodaj słówko i daj mi wskazówki.

Gdzie podziewałaś się wczoraj, markizo? Zupełnie już stałaś się niewidzialna. Warto było doprawdy trzymać mnie po to w Paryżu we wrześniu! Namysł się zatem, bo właśnie otrzymałem bardzo nagłące zaproszenie od hrabiny de B\*\*\*, aby odwiedzić ją na wsi; oznajmia mi z pewnym humorem, że „jej mąż posiada wspaniałe lasy, które pielęgnuje starannie dla rozrywki przyjaciół”. Otóż jak ci wiadomo, mam pewne prawa do owych lasów i zamierzam je odwiedzić, jeśli ci nie jestem potrzebny. Do widzenia; pamiętaj, że Dancenego ma być u mnie koło czwartej.



8 września 17\*\*

## LIST LX

*Kawaler Danceny do wicehrabiego de Valmont*

*(Załączony do poprzedniego)*

Ach, panie, jestem w rozpacz, wszystko stracone. Lękam się powierzyć papierowi tajemnicę mej niedoli, a czuję potrzebę wylania jej na łono szczerzej i wiernej przyjaźni. O której godzinie będę mógł pana zobaczyć i poprosić o radę i pociechę? Byłem tak szczęśliwy w dniu, w którym panu otworzyłem serce. A teraz, cóż za różnica! Jakże się wszystko zmieniło! To, co cierpię za siebie, to ledwie najmniejsza część; stokroć gorzej uciska mnie niepokój o osobę droższą mi nad życie. Pan jest szczęśliwszy ode mnie; pan możesz ją oglądać; toteż liczę na pańską przyjaźń; wszak nie odmówisz mi pomocy? Ale wprzód muszę się z panem widzieć i opowiedzieć wszystko. Pozalisz się nade mną, dopomożesz; w tobie cała nadzieja. Ty masz serce tkliwe, wiesz, co miłość, tobie jednemu mogę się zawierzyć: nie odrzucaj mojej prośby!

Do widzenia; jedyną pociechą w boleści jest myśl, iż posiadam takiego przyjaciela. Donieś, błagam, o której godzinie będę cię mógł zastać. Jeżeli rano niemożliwe, w takim razie przynajmniej wcześniej popołudniu.

8 września 17\*\*

## LIST LXI

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

Zosiu droga, pożaluj Cesi, twojej biednej Cesi; bardzo jest nieszczęśliwa! Mama wie o wszystkim. Nie pojmuję, jak mogła się domyślić, a jednak wszystko się wydało. Wczoraj wieczór, zdawało mi się, że mama jest jakaś podrażniona; ale nie zwracałam wielkiej uwagi, i nawet czekając, aż ukończy partyjkę, rozmawiałam wesoło z panią de Merteuil, która była na kolacji. Mówiliśmy wiele o Dancenym. Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek mógł słyszeć. Potem ona poszła, a ja udałam się do siebie.

Rozbierałam się właśnie, kiedy weszła mama. Najpierw oddaliła pannę służącą; następnie kazała mi oddać klucz od sekretarzyka. Powiedziała to takim tonem, że zaczęłam się trząść na całym ciele i ledwie mogłam się utrzymać na nogach. Próbowałam udawać, że nie mogę znaleźć klucza; wreszcie trzeba było usłuchać. Zaraz w pierwszej szufladzie wpadły jej w ręce listy kawalera. Byłam tak nieprzytomna, że kiedy zapytała, co to, nie umiałam nic odpowiedzieć; ale kiedy zobaczyłam, że mama się bierze do czytania, ledwie zdołałam dowiec się do fotela. Zrobiło mi się tak słabo, że straciłam przytomność. Skoro przyszłam do siebie, mama, która tymczasem zawołała moją pannę, oddaliła się, zalecając mi się położyć. Zabrała z sobą wszystkie listy. Drżę cała, ile razy pomyślę, że trzeba będzie pokazać się jej na oczy. Płakałam całą noc.

Piszę o samym świtaniu, w nadziei, że przyjdzie Józefa. Jeżeli zdołam widzieć się z nią samą, poproszę, aby oddała pani de Merteuil bilecik; jeżeli nie, włożę go do twego listu i ty zechciej go posłać jak od siebie. Od niej jednej mogę się spodziewać jakiejś pociechy. Przynajmniej będę mogła pomówić o nim, bo nie mam nadziei zobaczyć go więcej. Bardzo jestem nieszczęśliwa! Będzie może tak dobra podjąć się przesłania listu. Nie śmiem użyć Józefy do takiej przesyłki, ani tym mniej panny służącej; kto wie, czy to nie ona właśnie powiedziała mamie!

Nie piszę dłużej, bo chcę jeszcze napisać do pani de Merteuil i do Danceny'ego; muszę mieć list gotowy, gdyby się chciała podjąć. Potem położę się znowu, aby być w łóżku, gdy kto wejdzie. Powiem, że jestem chora, żeby nie musieć iść do mamy. Niewiele zresztą

skłamię: gorzej się mam, to pewna, niż gdybym miała gorączkę. Oczy mnie palą z ciągłego płakania; ciężkość mam taką na piersiach, że ledwie mogę oddychać. Kiedy pomyślę, że nie zobaczę już Danceny'ego, wolałabym nie żyć. Do widzenia, droga Zosiu, nie mogę więcej pisać; lzy mnie dławią.

*Nota. List Cecylii Volanges do pani de Merteuil pominięto, ponieważ zawierał te same fakty, tylko mniej szczegółowo. List do kawalera Danceny'ego zaginął: przyczynę tego odnajdzie czytelnik w liście LXVI, pisany przez panią de Merteuil do wicebrabiego.*

7 września 17\*\*

## LIST LXII

*Pani de Volanges do kawalera Danceny*

Nadużywszy niegodnie ufności matki i niewinności dziecka, nie powinien się pan dziwić, że nie możesz być nadal przyjmowany w domu, w którym dowody najszczerzej przyjaźni odplaciłeś podeptaniem wszystkich względów. Wolę pana samego prosić, abyś nie pojawiał się u mnie, niżli wydawać odpowiednie rozkazy służbie, co byłoby dla nas wszystkich zarówno ubliżające. Mam prawo spodziewać się, że nie zmusi mnie pan do tego środka. Upprzedzam również, że jeśli uczynisz najmniejsze usiłowania, aby utrzymać córkę w oblędzie, do którego ją doprowadziłeś, kraty klasztorne usuną ją na zawsze od pańskich prześladowań. Pańską rzeczą zastanowić się, czy równie z lekkim sercem zdolny jesteś wtrącić ją w nieszczęście, jak lekko przyszło ci czyhać na jej hańbę. Co do mnie, postanowienie moje jest niezłomne; powiadomiłam o nim pannę de Volanges.

Załączam pakiet zawierający pańską korespondencję. Mam nadzieję, że zwrócisz mi pan nawzajem listy córki i dopomożesz w ten sposób do usunięcia śladów wypadku, którego nie moglibyśmy wspomnieć, ja bez oburzenia, ona bez wstydu, pan bez wyrzutów.

Mam zaszczyt pozostać itd.

7 września 17\*\*

## LIST LXIII

*Markiza de Merteuil do wicebrabiego de Valmont*

I owszem, mogę ci wytłumaczyć, co znaczy bilet Danceny'ego. Wypadek, który go spowodował, jest moim dziełem, i jest to, śmiem mniemać, moje arcydzieło. Nie straciłam czasu od twego ostatniego listu i powiedziałam sobie jak ateński budowniczy: „Co on powiedział, ja wykonam”.

Trzeba więc przeszkód temu pięknemu bohaterowi romansów! Usypia go zbyt szczęścia! Och, niech się zda na mnie, już ja go zatrudnię; mam nadzieję, że sen jego cokolwiek się zamąci. Trzeba mu było koniecznie dać poznać wartość czasu; teraz, pochlebiam sobie, czuje nieco żalu, że go tak marnował. Trzeba, mówiłeś również, by się musiał więcej ukrywać; doskonale! Tej potrzeby odtąd mu nie zbraknie. Mam tę zaletę, że wystarczy mi tylko wytknąć błędy; nie spocznę wówczas, póki wszystkiego nie naprawię. Posłuchaj zatem, co uczyniłam.

Wróciwszy do domu przedwczoraj rano, przeczytałam twój list; wydał mi się objawieniem. Przekonana, że bardzo trafnie wskazałeś przyczynę złego, myślałam jedynie nad sposobami naprawienia go. Mimo to na razie położyłam się do łóżka, ponieważ niestrudzony kawaler nie dał mi się zdrzemnąć ani na chwilę i zdawało mi się, że jestem senna: ale nic z tego. Ciągła myśl o Dancenym, ciągłe szukanie środków wyrwania go z jego niedołęstwa lub ukarania za nie, nie dały mi zmrzyć oka; dopiero gdy dobrze obmyśliłam cały plan, zdołałam zasnąć na jakie dwie godziny.

Jeszcze tego samego wieczora udałam się do pani de Volanges i w myśl mego projektu, zwierzyłam jej, iż mam prawie pewność, że między jej córką a Dancenym istnieją mocno podejrzone konszachty. Ta kobieta, tak jasnowidząca, gdy chodziło o ciebie, tutaj okazała się w najwyższym stopniu zaślepioną. Odpowiedziała zrazu, iż z wszelką pewnością się myślę, że córka jej to dziecko itd. itd. Nie mogłam powiedzieć wszystkiego, co wiedziałam; ale przytoczyłam spojrzenia, słówka, które rzekomo zdołały zaniepokoić mą przyjaźń i cnotę. Słowem, przemawiałam wcale nie gorzej od prawdziwej świętoszki; aby zaś wymierzyć cios stanowczy, natrąciłam iż, o ile mi się zdaje, zauważyłam wymianę listów. To mi przypomina, dodałam, że kiedyś mała otwarła przy mnie szufladę, przy czym uderzyło mnie, iż chowa tam pełno papierów. „Czy wiesz o kimś, kto by do niej pisywał tak często?” Tu spostrzegłam na twarzy pani de Volanges wyraźne poruszenie; łzy zakręciły się jej w oczach. „Dziękuję ci, zacna przyjaciółko — rzekła — ściskając mi rękę; postaram się to wyjaśnić”.

Po tej rozmowie, zbyt krótkiej, by mogła wzbudzić podejrzenia, przeszłam do młodej osóбки. Przed odejściem prosiłam jeszcze matkę, by nie zdradziła mnie wobec małej; zwróciłam jej uwagę, jak szczęśliwą okolicznością jest, iż to dziecko nabrało do mnie dosyć zaufania, by mi otwierać serduszek i móc tym samym korzystać z *moich roztropnych wskazówek*. Przyrzekła skwapliwie i sądzę, że dotrzyma słowa: o ile ją znam, będzie się chciała popisać przed córką własną przenikliwością. W ten sposób mogę zachować nadal przyjacielski ton z małą, nie wydając się zarazem fałszywą w oczach pani de Volanges, o co mi właśnie chodziło. Zyskałam jeszcze i to, iż na przyszłość mogę przebywać z młodą osóbką tak długo i tak poufnie, jak mi się spodoba, nie ściągając podejrzeń matki.

Skorzystałam z tego jeszcze tego samego wieczoru; po ukończeniu partii usunęłam się z małą do kącika i wyciągnęłam ją na temat Dancenego, zawsze niewyczerpany. Ona fantazjowała radośnie na temat jutrzejszego widzenia z lubym, ja podbijałam jej bębenka, co mnie bardzo bawiło; trzeba było słyszeć, co ten malec plółł za szaleństwa. Trzebaż jej było oddać bodaj w marzeniu to, co wydzieralam w rzeczywistości! Przy tym chodziło mi o to, aby uczynić cios tym dotkliwszym. Im bardziej się nacierpi, tym bardziej będzie chciała powetować to sobie przy pierwszej sposobności. Nieźle jest zresztą przyzwyczajając do silnych wzruszeń kogoś, kogo się przeznacza do wielkich przygód.

I czemuż by nie miała paroma łzami opłacić przyjemności posiadania swego Dancenego? Toż ona szaleje za nim! Otóż przyrzekam jej, będzie go miała, prędzej nawet, niż by się to stało bez tej burzy. Będzie to jakby zły sen z tym rozkoszniejszym przebudzeniem; toteż wszystko razem wzięwszy, sądzę, że powinna mi być wdzięczna. Choćby w tym i była mała domieszka złośliwości z mojej strony, cóż, trzeba się bawić:

Głupcy są wszak na świecie dla naszej uciechy<sup>107</sup>!

Pożegnałam się wreszcie, bardzo kontenta z siebie. Albo Dancenego, mówiłam sobie, podniecony przeszkodami podwoi zapały i wówczas będę mu pomagać z całej mocy, albo też, jeśli jest zwykłym niedołęgą, jak niekiedy skłonna jestem przypuszczać, pogrąży się w rozpacz i będzie uważał sprawę za przegraną. W takim razie zyskam przynajmniej tę pociechę, że się zemściłam na nim, ile mogłam; sama zaś jednym zachodem wzmocniłam szacunek matki, przyjaźń córki, a zaufanie obu. Co się tyczy Gercourta, głównego przedmiotu mych starań, musiałabym być niezręczna, gdybym, mając taki wpływ na jego żonę, nie znalazła tysiąca sposobów, aby go przystroić tak, jak pragnę. Położyłam się z tymi słodkimi myślami: spałam też dobrze i długo.

Obudziwszy się, zastałam dwa bileciki, jeden od matki, drugi od córki; nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, czytając w obu dosłownie to samo zdanie: *Od ciebie jednej oczekuję jakiejś pociechy*. Czy to nie jest w istocie zabawne pocieszać tak *za i przeciw* i być wspólnym rzecznikiem dwóch wręcz sobie przeciwnych interesów? Oto jestem jak Bóstwo: przyjmuję sprzeczne modły ślepych śmiertelników, nic nie zmieniając w niewzruszonych wyrokach. Opuściłam mimo to tę dostojną rolę, aby się przedzierzgnąć w Anioła pocieszyciela, i pospieszyłam, wedle przykazania, nawiedzić moje przyjaciółki w strapieniach.

<sup>107</sup> *Głupcy (...)* uciechy — Gresset: *Złośliwiec*, komedia. [przypis tłumacza]

Zacęłam od matki; zastałam ją pogrążoną w smutku, który już cię częściowo mści za przeciwności, których doznałeś z jej powodu. Wszystko powiodło się znakomicie: jedyną mą obawą było, aby pani de Volanges nie skorzystała z wczorajszego momentu i nie zdobyła zaufania córki. Mogła to bardzo łatwo osiągnąć, odnosząc się do niej łagodnie i przyjacielsko i przybierając roztropne wskazówki w formę tkliwej pobłażliwości. Na szczęście wzięła rzecz bardzo surowo i tak źle pokierowała sprawą, że mogłam jej tylko przyklasnąć. Z tym wszystkim o włos, że nie zniweczyła wszystkich planów, wpadła bowiem na pomysł oddania małej z powrotem do klasztoru: ale uchyliłam cios i poradziłam, aby jedynie zawiesiła nad córką tę groźbę, w razie gdyby Danceny nie poniechał zabiegów. Uczyniłam to, aby zmusić dwoje młodych do ostrożności, którą uważam za wielce zbawienną dla naszych planów.

Następnie przeszłam do córki. Nie uwierzysz, do jakiego stopnia nieszczęście jest jej do twarzy! Skoro tylko trochę wykształci się w zalotności, ręczę ci, będzie płakiwała często: tym razem, płakała bez żadnego wyrachowania... Uderzona tym nowym wdziękiem, którego nie znałam u niej i który bardzo rada byłam poznać, z początku zaaplikowałam jej z rozmysłu owe niezdarne pocieszenia, co to nie tyle kują, ile potęgują zmartwienie. W ten sposób doprowadziłam ją niemal do zupełnej nieprzytomności. Już nie mogła nawet płakać, przez chwilę obawiałam się konwulsji. Poradziłam, aby się położyła, na co zgodziła się bez oporu; zastąpiłam jej pannę służącą. Włosy rozsypały się jej na ramiona i na odsłonięte piersi; uściśkałam ją, pozwoliła się bez oporu utulić, a lzy na nowo obficie puściły się z oczu. Boże, jakaż była ładna! Doprawdy, jeżeli Magdalena była do niej podobna, to w roli pokutnicy musiała być stokroć niebezpieczniejsza niż wprzód jako grzesznica.

Skoro biedactwo znalazło się w łóżku, zabrałam się do pocieszania, tym razem już naprawdę. Przede wszystkim uspokoiłam ją co do obawy klasztoru. Obudziłam nadzieję widzenia się z Dancenym potajemnie. Siadając na łóżeczku małej, rzekłam: „Gdyby on tu był na moim miejscu...”, po czym, haftując na ten temat, doprowadziłam ją od słówka do słówka, od pieczyoty do pieczyoty, do tego, iż ze szczętem zapomniiała o zmartwieniu. Byłybyśmy się rozstały zupełnie zadowolone z siebie wzajem, gdyby nie to, że dziewczeczka chciała koniecznie przesłać przeze mnie list Danceny’emu, czego stanowczo odmówiłam. Oto moje powody, którym przykłaśniesz zapewne:

Przede wszystkim zdradziłabym się w oczach Danceny’ego i to był powód, którym zasłoniłam się wobec małej; prócz niego było wiele innych, ważnych z naszego punktu widzenia. Czyż mogłam unicestwiać owoc moich trudów, dając dzieciakom tak rychło najlepszy sposób ukojenia zmartwień? Przy tym nie miałabym nic przeciw temu, aby musieli i służbę wmieszać w tę przygodę. Jeżeli wszystko pójdzie pomyślnie, jak mam nadzieję, trzeba, aby się to rozniosło natychmiast po zamążpójściu małej, a trudno do tego celu o pewniejszą drogę; gdyby zaś jakimś cudem służba miała nie rozgłosić, wówczas rozgłosimy sami, a łatwiej będzie złożyć niedyskrecję na rachunek ludzi.

Staraj się więc dziś poddać tę myśl Danceny’emu; że zaś nie jestem zbyt pewna pokojówki małej Volanges, której i ona sama nie bardzo ufa, poradź mu moją wierną Wiktorię. Postaram się, aby się spotkał z przychylnym przyjęciem. Najlepsze zaś jest to, że konfidencja ta będzie użyteczną jedynie dla nas, a nie dla nich: czemu, zaraz się dowiesz, bo jeszcze nie skończyłam sprawozdania.

Podczas gdy wzdragałam się przyjąć listu, przechodziłam nieustanne obawy, aby mi go nie zleciła oddać na miejską pocztę, czego nie mogłabym odmówić. Na szczęście, czy to przez pomieszenie, czy przez nieświadomość, czy też że mniej zależało jej na liście niż na odpowiedzi, której nie byłaby mogła otrzymać tą drogą, nic o tym nie wspomniiała: aby jednak ubezpieczyć się na przyszłość, powzięłam natychmiast plan. Powróciłam mianowicie do matki i nakłoniłam ją, aby oddaliła córkę na czas jakiś, aby ją wywiozła na wieś... I gdzie? Czy serce nie bije ci z radości?... Do twojej ciotki, do starej Rosemonde! Ma ją uwiadomić o tym dziś jeszcze: w ten sposób, ty masz prawo wrócić do swej świętoszki, która nie będzie się już mogła bronić pozorem gorszącego *sam na sam*; pani de Volanges zatem, dzięki moim staraniom, sama naprawi krzywdę, jaką ci wyrządziła.

Ale posłuchaj mnie i nie zaprzataj się tak żywo własnymi sprawami, abys miał spuszczać z oka nasze wspólne plany; pamiętaj, chodzi mi o to. Chcę z ciebie zrobić doradcę i pośrednika dwojga młodych. Upredź więc o tej podróży Danceny’ego i ofiaruj pomoc.

Powiedz, że jedyna trudność leży w tym, jak panience doręczyć list, uwierzytelniający twoją misję; ale zarazem usuń tę przeszkodę, polecając usługi mojej panny służącej. Jestem pewna, że przyjmie twą ofiarę; ty zaś będziesz miał w nagrodę trudów zwierzenia prostego i naiwnego serca, co zawsze jest interesujące. Biedna mała! Jak ona będzie się rumieniła, oddając ci pierwszy list! Doprawdy, ta rola powiernika, tak niesłusznie okrzyczana, wydaje mi się bardzo miłą rozrywką, wówczas gdy serce jest zajęte gdzie indziej; właśnie będziesz w tym położeniu.

Od ciebie zatem zależy rozwiązanie intrygi. Oceń sam chwilę, w której trzeba będzie zgromadzić aktorów. Wiś nastęrcza mnóstwo po temu środków, a Danceney z pewnością będzie gotów stawić się na pierwsze wezwanie. Noc, przebranie, okno... czy ja wiem zresztą co? Ale to wiem, że jeżeli dziewczyna wróci stamtąd tak, jak pojechała, do ciebie będę miała pretensję. Jeżeli osądzisz, iż potrzebuje jakiej zachęty z mej strony, daj mi znać. Sądzę, że udzieliłam jej dość dobrej lekcji co do niebezpieczeństwa przechowywania listów, aby móc teraz pisać do niej bez obawy; zawsze zaś trwam w zamiarze zrobienia z niej mojej wychowanki.

Nie wiem, czy ci wspominałam, że podejrzenia zdrady kierowały się zrazu na pannę służącą, lecz odwróciłam je na spowiednika. To się nazywa ubić dwa ptaszki na jeden strzał.

Do widzenia, wicehrabio, rozpisałam się niemożliwie, obiad ucierpi na tym; ale miłość własna i przyjaźń dyktowały ten list, a obie, jak wiesz, są wielkie gaduły. Zresztą, dostaniesz go przed trzecią, a to wszystko, co trzeba.

Skarżę się teraz na mnie, jeżeli masz czoło; jedź odwiedzić, jeżeli cię to nęci, lasy hrabiego de B\*\*\*. Powiadasz, że pielęgnuje je dla rozrywki przyjaciół? Zatem ten człowiek jest chyba przyjacielem całego świata! Ale do widzenia, głodna jestem.

9 września 17\*\*

## LIST LXIV

*Kawaler Danceney do pani de Volanges*

*Odpis załączony do listu LXVI wicehrabiego do markizy*

Nie próbuję, pani, usprawiedliwić swego postępowania ani też skarżę się na twoje; mogę jedynie ubolewać nad wydarzeniem, które przyprawia o nieszczęście troje osób godnych szczęśliwszego losu. Bardziej jeszcze zgnębiony tym, iż stałem się tego nieszczęścia przyczyną, niż że jestem zarazem jego ofiarą, próbowałem od wczoraj kilkakrotnie odpowiedzieć na szanowny list pani, lecz zawsze zbrakło mi sił po temu. Mimo to mam pani tyle rzeczy do powiedzenia, iż będę musiał zdobyć się na ten wysiłek; jeżeli list mój będzie nieco bezładny i chaotyczny, zechce pani uwzględnić stan, w jakim się znajduję i użyzyć mi swej pobłażliwości.

Pozwól mi, pani, przede wszystkim zastrzec się przeciw pierwszemu zdaniu twego listu. Nie nadużyłem, śmiem twierdzić, ani twej, pani, ufności, ani niewinności panny de Volanges; przeciwnie, w postępkach uszanowałem i jedną, i drugą. Jedynie bowiem postęпки zależały ode mnie; jeżeli zaś czynisz mnie, pani, odpowiedzialnym za niezależne od mej woli uczucie, nie waham się dodać, iż uczucie moje dla jej szanownej córki jest tego rodzaju, iż może pani nie dogadzać, ale nie może obrażać. W przedmiocie tym, który dotyka mnie bardziej, niż umiem powiedzieć, odwołuję się do własnego sądu pani, a listy moje wzywam na świadectwo.

Zabrania mi pani pojawiać się w swoim domu. Niewątpliwie poddam się wszystkiemu, co pani raczy rozkazać: ale czy takie nagle i zupełne zerwanie stosunków nie stanie się powodem bajek, których pani właśnie pragnęłaby uniknąć? Pozwalam sobie zwrócić szczególną uwagę na ten punkt, ile że bardziej ważnym jest dla panny de Volanges niż dla mnie. Błagam więc, by pani rozważyła dobrze wszystko i nie pozwoliła surowości wziąć

górcę nad względami rozwagi. Przekonany, iż dobro córki kierować będzie postanowieniem pani, oczekuję posłusznie dalszych rozkazów.

W każdym razie, gdyby pani pozwoliła złożyć sobie od czasu do czasu uszanowanie, zobowiązując się (może pani polegać na tym przyrzeczeniu), że nie wyzyskam sposobności, aby poszukiwać rozmowy z panną de Volanges lub też doręczać jej listy. Obawa przed wszystkim, co mogłoby przynieść ujmę jej dobrej sławie, skłania mnie do tego poświęcenia; szczęście zaś widzenia jej od czasu do czasu będzie mi nagrodą.

Ten punkt listu jest zarazem jedyną odpowiedzią na wszystko, co pani mówi o losie, jaki przeznaczasz pannie de Volanges i który czynisz zależnym od mego postępowania. Przyrzekać więcej znaczyłoby oszukiwać panią. Nikczemny uwodziciel umie nagiąć zamysły do okoliczności i liczyć się z wypadkami: ale miłość, która mnie ożywia, pozwala mi jedynie na dwa uczucia: odwagę i stałość.

Jak to! Miałbym się zgodzić na to, aby panna de Volanges o mnie zapomniała! Abym ja zapomniał o niej? Nie, nigdy! Pozostanę jej wiernym; złożyłem na to przysięgę i ponawiam ją w tej chwili. Wybacz, pani, odchodzę od przedmiotu; trzeba się opamiętać.

Pozostaje jeszcze porozumieć się co do innej kwestii, mianowicie co do listów, których zwrotu pani żąda. Przykro mi, w istocie, odmawiać pani życzeniu; ale, błagam, wysłuchaj pobudek, zanim mnie osądzisz. Racz pamiętać, że jedyną pociechą w nieszczęściu, w które mnie wtrąca utrata twej, pani, przyjaźni, jest nadzieja ocalenia twego szacunku.

Listy panny de Volanges, zawsze mi tak cenne, w tej chwili nabrały dla mnie tym większej wartości. One są jedynym dobrem, jakie mi pozostało, one jedne stawiają mi przed oczy obraz uczucia, będącego wyłączną pobudką mego życia. Mimo to może pani wierzyć, nie wahałbym się ani na chwilę uczynić to poświęcenie; żal rozłączenia się z tym skarbem ustąpiłby wobec chęci dowiedzenia pani mojej pełnej szacunku powolności; ale wstrzymuję mnie względy niezmiernie ważne, których, jestem pewny, pani sama nie będzie mogła potępić.

Posiadasz pani, to prawda, tajemnicę panny de Volanges; ale pozwól mi powiedzieć, mam wszelkie prawo przypuszczać, że dostała się ona w twe ręce za sprawą przymusu, nie zaś zaufania. Nie ośmielam się bynajmniej potępiać kroku, uprawnionego może macierzyńską pieczołowitością. Szanuję pani prawa, ale nie mają one władzy zwolnienia mnie z moich obowiązków. Najświętszym zaś ze wszystkich jest ten, który nakazuje nigdy nie zawieść położonego we mnie zaufania. Uchybiłbym temu obowiązkowi, gdybym odsłonił czymkolwiek oczom tajemnice serca, które życzyło zdradzić je tylko mnie samemu. Jeżeli córka pragnie podzielić się nimi z panią, niechaj mówi: jej listy są ci niepotrzebne. Jeśli, przeciwnie, pragnie zamknąć sekret w swoim sercu, nie spodziewa się pani chyba, abym ja go zdradził.

Pragnie pani pokryć to zdarzenie najgłębszą tajemnicą; możesz być o to zupełnie spokojna: we wszystkim, co dotyczy panny de Volanges, mogę walczyć o lepsze nawet z sercem matki. Wszystko przewidziałem, aby panią uwolnić od wszelkiej obawy. Ten cenny skarb, który dotąd miał napis: *papiery do spalania*, nosi obecnie znak: *papiery należące do pani de Volanges*.

Zmuszony byłem rozpisać się obszernie; nie dość obszernie jeszcze, jeżeli mój list mógł pozostawić najmniejszą wątpliwość co do uczciwości mych uczuć, bardzo szczerego żalu, iż ściągnąłem na siebie pani niezadowolenie, oraz głębokiego szacunku, z jakim mam zaszczyt etc.

9 września 17\*\*

## LIST LXV

*Kawaler Danceny do Cecylii de Volanges*

*Przesłany markizie de Merteuil w liście wicehrabiego*

O moja Cesium, co się z nami stanie! Jakie bóstwo nas wybawi z nieszczęść, które się przysięgły? Oby miłość dała nam przynajmniej odwagę zniesienia ich! Jak odmalować ci moje zdumienie, rozpacz, gdy ujrzałem przed sobą własne listy, gdy przeczytał pismo pani de Volanges? Kto mógł zdradzić? Kogo posądzasz? Czyś popełniła jaką nieostrożność? Co robisz teraz? Co ci zagraża? Chciałbym wszystko wiedzieć, a nie wiem nic, zupełnie nic. Może i ty sama nie więcej wiesz ode mnie.

Posyłam ci bilet matki i kopię mej odpowiedzi. Mam nadzieję, że zgodzisz się ze wszystkim, co zawiera. Niezbędnym jest również, abyś dała jakiś znak zgody na wszystko, co postanowiłem od czasu tego nieszczęsnego wypadku: celem moim jedynym było zdobyć wiadomość od ciebie, dać ci znać o sobie i — kto wie? — może ujrzeć cię jeszcze, i to swobodniej niż kiedykolwiek.

Czy pojmujesz, Cesium moja, tę rozkosz, gdybyśmy się znowu znaleźli razem, na nowo mogli sobie zaprzysiąc wiekuiście miłość i czytać w oczach, odczuwać w duszy, że ta przysięga nie będzie zwodnicza? Jakichże cierpień ta chwila tak słodka nie pozwoliłaby zapomnieć? Mam tedy nadzieję, że dzień ów świta dla nas, a winien ją jestem właśnie staraniom, dla których błagam cię o przyzwolenie. Co mówię? Winien ją jestem tkliwej pomocy najserdeczniejszego przyjaciela, a jedyną mą prośbą jest, byś pozwoliła, aby ten przyjaciel stał się zarazem i twoim.

Może nie powinienem był rozrządzać twoim zaufaniem bez upoważnienia; niechaj mnie usprawiedliwi rozpaczliwe położenie. Miłość wiodła moje kroki; ona to zebrze twej pobłażliwości, ona prosi, byś przebaczyła zwierzenie nieuniknione, bez którego groziłaby nam wiekuiście rozłąka<sup>108</sup>. Znasz przyjaciela, o którym mówię; jest zarazem przyjacielem osoby najbardziej ci ukochanej: to wicehrabia de Valmont.

Zrazu, kiedym się zwracał do niego, pragnąłem tą drogą uzyskać u pani de Merteuil, aby zechciała się podjąć doręczenia mego listu. Powątpiewał o powodzeniu swego pośrednictwa; ale w razie odmowy pani de Merteuil ręczy za jej pannę służącą, która ma dla niego jakieś względy. Ona zatem odda ci ten list i jej będziesz mogła powierzyć odpowiedź.

Ta pomoc na nic się nie przyda, jeżeli, jak przypuszcza pan de Valmont, bezzwłocznie masz wyjechać na wieś. Ale wówczas on sam ofiaruje swoje usługi. Osoba, do której macie jechać, jest jego krewną. Skorzysta z tego pozoru, aby się tam udać równocześnie z wami: za jego pośrednictwem będziemy mogli korespondować. Ręczy nawet, że jeżeli pozwolisz sobą kierować, dostarczy nam sposobów widywania się bez najmniejszego dla ciebie niebezpieczeństwa.

A teraz, Cesium moja, jeśli mnie kochasz, jeśli cierpisz nad mą niedolą, jeśli, jak mam nadzieję, podzielasz me żale, czyż odmówisz swej ufności człowiekowi, który będzie dla nas opiekuńczym aniołem? Gdyby nie on, zostałyby mi jedynie rozpacz, iż nie mogę nawet złagodzić smutków, które na ciebie sprowadziłem. Myśl o twej boleści jest dla mnie męczarnią. Oddałbym życie, aby ciebie uczynić szczęśliwą! Wiesz o tym dobrze. Oby pewność, iż jesteś ubóstwianą, mogła przynieść nieco pociechy twej duszy!

Do widzenia, Cesium, do widzenia, jedyna moja!

9 września 17\*\*

## LIST LXVI

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Zobaczysz, piękna przyjaciółko, czytając dwa załączone listy, czy dobrze wykonałem twój projekt. Choć oba noszą datę dzisiejszą, pisane są wczoraj u mnie i pod moim okiem: list do małej zupełnie po naszej myśli. Ukorzyć się trzeba przed twą przenikliwością, jeżeli mamy sądzić o niej z powodzenia. Danceny wieje cały ogniem i myślę, że za pierwszą sposobnością nie będziesz miała przyczyn się nań uskarżać. Jeżeli gąska zechce być po-

<sup>108</sup>zwierzenie nieuniknione, bez którego groziłaby nam wiekuiście rozłąka — pan Danceny mija się z prawdą. Zwierzenie swoje uczynił panu de Valmont jeszcze przed tymi wypadkami. Zobacz list LVII. [przypis tłumacza]

śluszną, uporamy się ze wszystkim wkrótce po przybyciu na wieś; mam sto sposobów pod ręką.

Jakiż on jeszcze młody ten Danceny! Czy uwierzysz, że żadną siłą nie mogłem wymóc na nim, aby przyrzekł matce poniechać swej miłości; jak gdyby to cokolwiek szkodziło przyrzekać, skoro się nie ma najmniejszego zamiaru dotrzymać! „To znaczyłoby oszukiwać” — powtarzał bez przerwy: czyż to, istotnie, nie budujący skrupuł, zwłaszcza gdy się ma zamiar uwieść córkę? Oto ludzie! Wszyscy jednak zbrodniczy w zamysłach, niedołęstwu, jakie wkładają w ich przeprowadzenie, nadają miano uczciwości.

Twoją sprawą będzie czuwać, aby pani de Volanges nie wzięła zbyt do serca wyskoków, na jakie sobie młodziak pozwala w wiekopomnym liście; ratuj nas od klasztoru; staraj się również, aby poniechała żądania zwrotu listów. Zresztą on ich nie odda; nie chce oddać, i ja go w tym utwierdzam; tutaj miłość i rozum są jednego zdania. Czytałem te listy, przebrnąłem tę otchłań nudy. Mogą być użyteczne: oto jakim sposobem.

Mimo całej ostrożności, mogłoby się zdarzyć, iż rzecz wyjdzie na jaw: to by udaremniło małżeństwo, nieprawdaż, i zniweczyło nasze zamiary co do Gercourta. Że jednak ja mam przyczyny do porachowania się z matką, zachowuję sobie w tym wypadku sposób zniesławienia córki. Przebrawszy dobrze te listy i puszczając w obieg jedynie część, można przedstawić małą Volanges jako osobę, która sama nawiązała awanturkę i wprost rzuciła się Danceny’emu w ramiona. Niektóre z listów mogłyby nawet skompromitować i matkę, a przynajmniej obarczyć zarzutem karygodnej niedbałości. Przypuszczam, że skrupulat Danceny sprzeciwiłby się zrazu; ale ponieważ byłby osobiście interesowany, sądzę, że można by sobie z nim dać rady. Sto przeciw jednemu, że to nie będzie potrzebne; ale trzeba być na wszystko gotowym.

Do widzenia, piękna przyjaciółko; byłoby bardzo uprzejmie, gdybyś zechciała przyjść jutro do marszałkowej de\*\*\* na kolację od której nie mogłem się wymówić.

Nie potrzebuję ci zalecać, markizo, abyś wobec pani de Volanges zachowała mój zamierzony przyjazd w zupełnym sekrecie; gotowa by zostać w mieście; tak zaś, skoro raz przyjedzie, nie będzie przecież mogła wyjechać nazajutrz. Byleby choć tydzień czasu, a trochę za wszystko.

9 września 17\*\*

## LIST LXVII

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

Nie miałam już zamiaru odpowiadać, a zakłopotanie, jakiego doznaję, jest może dowodem, że istotnie nie powinnam była tego czynić. Jednak nie chcę panu zostawić sposobności do żadnego zarzutu; chcę dowieść, że uczyniłam wszystko, co było w mej mocy.

Pozwoliłam pisywać do siebie, powiada pan? Przyznaję; ale skoro mi pan przypomina owo pozwolenie, czy myśli pan, że zapomniałam pod jakimi warunkami? Gdybym ja trzymała się moich równie ściśle, jak pan niewiernie dochowywał swoich, czy byłbyś otrzymał choć jedną odpowiedź? Oto wszakże trzecia; podczas gdy pan robisz, co możesz, aby mnie zmusić do przerwania tej korespondencji, ja myślę nad sposobami utrzymania jej. Widzę jeden tylko, ale to jest jedyny; jeśli go pan odrzuci, będzie to dla mnie, mimo wszystkich zapewnień, dostatecznym dowodem, jak mało dbasz o to.

Porzuc zatem styl, którego ani chcę, ani mogę słuchać; wyrzeknij się uczucia, które mnie obraża i lękiem przejmuje. Czyż to uczucie jest jedynym, do jakiego jesteś zdolny? Ofiarując mi przyjaźń, daję wszystko, co jest moją własnością, czym mogę rozporządzać. Czegoż możesz pragnąć jeszcze? Aby się oddać uczuciu tak słodkiemu, tak stworzonemu dla mego serca, oczekuję tylko pańskiej zgody oraz słowa, jakiego wymagam, że przyjaźń ta wystarczy dla pańskiego szczęścia. Zapomnę o wszystkim, co mi o panu mówiono; polegać będę na panu, iż postarasz się usprawiedliwić mój wybór.

Widzi pan moją szczerość, powinna być dowodem mego zaufania; od pana wyłączanie zależeć będzie powiększyć je jeszcze: ale uprzedzam, pierwsze słowo miłości zniweczy



je na zawsze i wróci wszystkie obawy; a przede wszystkim, stanie się dla mnie hasłem wieczystego milczenia.

Jeżeli, jak sam powiadasz, *wyrzekłeś się dawnych błędów*, czyż nie będziesz wolał być przedmiotem przyjaźni kobiety uczciwej niż wyrzutów występnej?

Żegnaj pana; pojmuję pan, że po tym, co powiedziałam, nie mogę dodać nic więcej, zanim otrzymam odpowiedź.

9 września 17\*\*

## LIST LXVIII

*Wicehrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Jak odpowiedzieć, pani, na list ostatni? Jak odważyć się być szczerym, skoro otwartość może mnie zgubić w twoich oczach? Ha, trudno, trzeba; zdobędę się na tę odwagę.

Jakaż szkoda, że, jak pani mówisz, *wyrzekłem się swoich błędów!* Z jakimż uniesieniem radości byłbym czytał list, na który mi dziś z drzeniem przychodzi odpowiadać! Mówisz mi o *szczerości*, okazujesz *zaufaanie*, ofiarujesz wreszcie *przyjaźń*: ileż łask, pani, i jak boleśnie nie móc z nich skorzystać! Ach, czemuż nie jestem już dawnym Valmontem!

Gdybym nim był, zaiste, gdybym czuł do ciebie jedynie ten pospolity pociąg, to przelotne upodobanie, dziecię rozkoszy i zachcenia, które mimo to ludzie nazywają dziś miłością, czym prędzej starałbym się wyciągnąć korzyści ze wszystkiego, czym mnie obdarzasz. Nie przebierając w środkach, byleby mnie doprowadziły do celu, podsycalbym twoją szczerłość, aby cię przejrzeć; starałbym się o twe zaufanie, aby go nadużyć; przyjąłbym twą przyjaźń, w nadziei sprowadzenia jej na manowce... Co! ten obraz, pani, budzi w tobie grozę?... Otóż byłby on wiernym odbiciem mego stanu duszy, gdybym ci powiedział, że godzę się zostać jedynie przyjacielem.

Kto, ja? Ja bym się zgodził dzielić z kimś drugim uczucie płynące z twojej duszy? Jeżeli kiedykolwiek ci to powiem, nie wierz mi już nigdy. Z tą chwilą będę się starał cię oszukać; może będę cię jeszcze pragnął, ale z pewnością już cię nie będę kochał.

To nie znaczy, aby doskonała szczerłość, słodkie zaufanie, tkliwa przyjaźń nie miały ceny w mych oczach... Ale miłość! Miłość prawdziwa, taka, jaką ty umiesz obudzić, jednocząca wszystkie te uczucia, jeno podniesione do najwyższej potęgi, nie umiałaby się poddać tym ograniczeniom. Nie, pani, nie będę twoim przyjacielem; będę cię kochał miłością najtkliwszą, najpłomiennszą nawet, jakkolwiek najbardziej pełną szacunku. Możesz ją pognać, ale nie zniweczyć.

Jakim prawem chcesz pani rozrządzać sercem, którego uczucia odtrącasz? Przez jakie wyrafinowane okrucieństwo żalujesz mi nawet szczęścia kochania ciebie? To szczęście należy do mnie. Nie masz do niego praw; będę go umiał bronić. Jeśli jest źródłem cierpień, jest razem ich ukojeniem.

Nie, jeszcze raz nie. Wytwarzaj w okrutnej surowości, ale pozostaw mi moją miłość. Podoba ci się czynić mnie nieszczęśliwym, dobrze więc, niech tak będzie; próbuj wyczerpać mą odwagę; potrafię cię zniewolić, abys przynajmniej musiała rozstrzygnąć o mym losie; a może przyjdzie dzień, w którym mi oddasz sprawiedliwość. To nie znaczy, bym kiedykolwiek spodziewał się zmiękczyć twe serce; ale choć nie uda mi się ciebie pozyskać, uda mi się może przekonać; powiesz sobie wówczas: „źle go osądziłam”.

Powiedzmy lepiej: sama sobie wyrządzasz niesprawiedliwość. Znać ciebie i nie kochać; kochać cię, a nie kochać wiecznie — oto dwie rzeczy w równym stopniu niemożliwe; mimo całej skromności łatwiej ci być musi uskarżać się na uczucia, jakie budzisz, niżeli im się dziwić. Co do mnie, ja, którego jedyną zasługą jest, iż umiałem cię, pani, ocenić, nie chcę tracić tej zasługi; toteż daleki od przyjęcia kuszącego daru, na nowo składam u stóp twych przysięgę, iż kochać cię będę na wieki.

10 września 17\*\*

## LIST LXIX

*Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

*(List skreślony ołówkiem i przepisany przez Danceny'ego)*

Pyta się pan, co robię; kocham pana i płaczę. Matka przestała mówić do mnie; odebrała mi papier, pióra i atrament; wzięłam ołówek, który na szczęście mi pozostał, i piszę do pana na skrawku twego listu. Cóż mam robić? Muszę się zgodzić na wszystko, co pan postanowił; zanadto pana kocham, aby się nie chwycić każdego środka, dzięki któremu mogę wiedzieć coś o panu i dać wiadomość o sobie. Nie lubiłam pana de Valmont i nie sądziłam, aby tak bardzo był panu przyjazny; będę się starała przekonać do niego i polubić dla twojej miłości. Nie wiem dotąd, kto mógł nas zdradzić; jedynie chyba panna służąca albo spowiednik. Jestem bardzo nieszczęśliwa; jutro wyjeżdżamy na wieś, nie wiem nawet, na jak długo. Mój Boże! Nie widzieć pana więcej! Nie mam już miejsca do pisania. Do widzenia; niech się pan stara to odczytać. Te słowa kreślone ołówkiem zatrą się może, ale nigdy uczucia wyryte w moim sercu.

10 września 17\*\*

## LIST LXX

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Muszę ci udzielić ważnej przestrogi, droga przyjaciółko. Byłam wczoraj, jak wiesz, na kolacji u marszałkowej de B\*\*\*; mówiono tam o tobie; ja również zabierałam głos, aby powiedzieć w tym przedmiocie nie wszystko dobre, które o tobie myślę, ale wszystko dobre, którego nie myślę. Całe towarzystwo zdawało się być mego zdania i rozmowa zaczynała słabnąć, jak to zwykle bywa, kiedy się oddaje bliźniemu same pochwały, gdy wtem wmieszał się ktoś z odmiennym sądem; był to Prévan.

„Niech mnie Bóg broni — rzekł, podnosząc się z krzesła — abym miał wątpić o cnotę pani de Merteuil! Ośmieliłbym się jedynie mniemać, iż zawdzięcza ją bardziej swej ruchliwości niż zasadom. Trudniej jest może nadążyć za nią niż zyskać jej względy; że zaś goniąc za kobietą, ma się zawsze widoki spotkać po drodze inne, tyleż albo i więcej warte, jednych tedy odciąża jakiś nowy kaprys, drudzy zatrzymują się w pół drogi ze zmęczenia; tak że nie ma może w Paryżu kobiety, która by równie mało miała sposobności do walki i obrony, co pani de Merteuil. Co do mnie — dodał (zachęcony uśmiechem kilku kobiet) — póty nie uwierzę w jej świętość, póki nie zamęcę trzech par koni, ubiegając się o jej łaski”.

Ten lichy żart, jak każdy trącający obmową bliźniego, zyskał powodzenie; Prévan wśród powszechnej wesołości zajął miejsce i rozmowa potoczyła się innym torem. Jednakże dwie hrabiny de B\*\*\*, koło których siedział właśnie ów niewierny Tomasz, podjęły jeszcze ten przedmiot w poufnej rozmowie, a wątek jej udało mi się na szczęście pochwycić.

Stanął zakład o zdobycie twoich względów; przyrzeczono niczego nie zataić, a jeżeli które, to z pewnością to przyrzeczenie będzie święcie dotrzymane. Wiesz tedy, czego się masz obawiać.

Muszę ci jeszcze powiedzieć, że Prévan, którego nie znasz, jest człowiekiem niezmiernego uroku i jeszcze większej zręczności. Jeżeli nieraz zdarzyło ci się słyszeć, że mówiłem o nim inaczej, to jedynie dlatego, że go nie lubię. Staram się szkodzić mu, gdzie mogę, a znam wagę mego zdania wobec garstki kobiet dzierżących w rękę berło mody. W ten sposób udało mi się dość długo nie dopuścić go na tak zwaną *wielką arenę* i sprawić, iż mimo świetnych czynów pozostał prawie nieznan. Dopiero rozgłos jego „potrójnej przygody”, zwracając nań wszystkie oczy, dał mu tę pewność siebie, której mu dotychczas brakowało i uczynił naprawdę niebezpiecznym. Słowem, jest to dziś jedyny człowiek, którego lękałbym się może spotkać na drodze; toteż niezależnie od twego porachunku

oddalabyś mi prawdziwą przysługę, gdyby ci się udało przypiąć mu jakąś śmieszno-  
kę. Oddaję go w dobre ręce; mam nadzieję, że za moim powrotem będzie to człowiek  
zarznięty.

W zamian za to przyrzekam ci poprowadzić z całą gorliwością sprawę twej pupilki  
i zająć się nią na równi z moją własną.

Trzeba ci wiedzieć, że moja pani przysłała mi właśnie projekcik kapitulacji. Cały jej list  
zwiastuje, jak bardzo pragnęłaby zostać oszukaną. Nie mogła w istocie ofiarować bardziej  
wygodnego i użytego zarazem sposobu. Proponuje, abym był jej *przyjacielem*. Ale ja,  
który mam zamiłowanie do metod nowych i trudnych, ani myślę dać się jej wykręcić  
równie tanim kosztem. Nie na to zadałem sobie z nią tyle kłopotów, aby kończyć rzecz  
uwiedzeniem tak pospolitego gatunku.

Zamiarem moim, przeciwnie, jest, aby czuła dobrze znaczenie i doniosłość każdego  
ustępstwa. Nie chcę prowadzić jej tak szybko, aby wyrzuty sumienia nie mogły jej do-  
pędzić; chcę, by cnota jej konała w powolnej agonii, w jej oczach i ze świadomością; nie  
wcześniej dopuszczę ją do szczęścia posiadania mnie w ramionach, aż ją zmuszę do tego,  
by nie mogła dłużej ukrywać, jak bardzo tego pragnie. Zbyt mało warta byłaby w istocie  
moja miłość, gdyby nie była warta, aby poproszono o nią. Czyż nie należy mi się nieco  
zemsty nad tą dumną kobietą, która jak gdyby się wstydziła wyznać, że mnie ubóstwia?

Odrzuciłem zatem cenną *przyjaźń* i uparłem się przy tytule kochanka. Ponieważ ro-  
zumiem dobrze, iż zdobycie tego tytułu, który zrazu wydaje się jedynie kwestią sporu  
o słowa, ma istotną wagę, przyłożyłem się do listu z wielką pilnością i starałem się go  
nacechować tym bezładem, bez którego niepodobna wywołać wrażenia szczerego uczu-  
cia. Słowem, nabredziłem ile mogłem, bez bredzenia bowiem nie ma czułości, i to jest,  
jak mniemam, przyczyna, dlaczego kobiety taką wyższość posiadają nad nami w listach  
miłosnych.

Zakończyłem wynurzenia pełnym słodczy pochlebstwem, co również jest wynikiem  
głębokich spostrzeżeń. Serce kobiety, skoro przez jakiś czas wystawiono je na próbę,  
potrzebuje wypoczynku; zauważyłem zaś, że pochlebstwo jest najmiłszą poduszczką, jaką  
jej można ofiarować.

Do widzenia, piękna przyjaciółko. Wyjeżdżam jutro. Gdybyś miała jakie zlecenie do  
hrabiny de \*\*\*, służę ci: zatrzymam się tam przynajmniej na obiad. Przykro mi, że muszę  
jechać, nie zobaczywszy się z tobą. Chciej mi przesyłać nadal swe nieporównane wska-  
zówki i wspieraj mnie w stanowczej chwili.

Przede wszystkim, chroń się przed Prévaniem; obym kiedyś mógł powetować ci tę  
ofiara! Do widzenia.

11 września 17\*\*

## LIST LXXI

### *Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Wyobraź sobie, markizo, ciemnię strzelec zostawił teczkę podręczną w Paryżu. Listy  
mego anioła i bagroty Dancenego, wszystko zostało, a wszystko jest mi tu potrzebne.  
Pędzi w tej chwili, aby naprawić swoje gapiostwo; ja zaś, zanim nygus osiodła, opowiem  
ci dzieje ostatniej nocy, bynajmniej, jak się przekonasz, nie zmarnowanej.

Przygoda sama przez się niewielkiej wagi; po prostu odgrzana historia z wicehrabi-  
ną de M\*\*\*. Ale zabawiła mnie przez szczegóły. Bardzo rad jestem przy tym dowieść  
ci, markizo, że jeżeli posiadam talent gubienia kobiet, umiem je również, jeżeli mi się  
podoba, ocalić w danym razie. W każdej rzeczy pociąga mnie zawsze sposób rozwiąza-  
nia najtrudniejszy lub najzabawniejszy i nie wyrzucam sobie dobrego uczynku, jeżeli zeń  
mogę wyciągnąć ćwiczenie lub rozrywkę.

Otóż zastałem tu wicehrabinę; ponieważ dołączała swoje nalegania do próśb, jakimi  
mnie obsypywano, aby zostać na noc w zamku, odparłem: „Dobrze więc, przystaję, ale  
pod warunkiem, że spędzę tę noc z panią”. — „Niepodobnieństwo — odparła — Vressac  
jest tutaj”. Aż dotąd powiedzenie moje było jedynie prostą towarzyską grzecznością; ale

słowo „niepodobieństwo” podrażniło mnie, jak zwykle. Wydała mi się zniewagą myśl, iż mam ustąpić wobec Vressaca i postanowiłem tego nie ścierpieć: zacząłem więc nalegać.

Okoliczności nie były najpomyślniejsze. Vressac był na tyle niezdarne, iż ściągnął na siebie podejrzenia męża, tak iż wicehrabina nie może go już przyjmować u siebie: ułożyli zatem wyprawę do poczciwej hrabiny, w nadziei, iż się im uda uszczknąć bodaj parę nocy. Mąż był nawet mocno niekontent, gdy zastał Vressaca; ale że myślistwo jest u niego jeszcze silniejszą namiętnością niż zazdrość, przeto został: hrabina zaś, zawsze taka sama, jak ją znasz, ulokowawszy żonę w głównym korytarzu, umieściła męża z jednej strony, a kochanka z drugiej, aby sobie sami dawali rady. Zły los obu zrządził, iż mnie pomieszczono naprzeciw.

Owego dnia, to znaczy wczoraj, Vressac, który — jak możesz sobie wyobrazić — czuli się do wicehrabiego, wybrał się, mimo iż niewielki myśliwy, z nim razem na polowanie. Liczył zapewne na to, iż za nudy przecierpiane z mężem w dzień, będzie się mógł w nocy pocieszyć w objęciach żony. Ja, z mojej strony, osądziłem, iż potrzeba mu wypoczynku, i poczyniłem odpowiednie starania u jego pani.

Udało mi się; uzyskałem u niej, że się posprzecz z Vressakiem właśnie z przyczyny tego polowania, na które, rzecz prosta, zgodził się jedynie dla niej. Trudno o lichszy pozór; ale nie ma kobiety, która by w wyższym stopniu niż wicehrabina posiadała ten talent, wspólny im wszystkim zresztą, aby swoje kaprysy kłaść w miejsce jakiegokolwiek racji i najtrudniejszą być do prześlągnięcia wówczas, gdy nie ma zgoła słuszności. Chwila zresztą była mało sposobna do wyjaśnień; ja zaś, pragnąc dla siebie tylko jednej nocy, nie miałem nic przeciw temu, aby czuła para pogodziła się nazajutrz.

Vressac tedy spotkał się za powrotem z dąsem. Zapytał o przyczynę, dąs przeszedł w sprzeczkę. Starał się usprawiedliwić: obecność męża posłużyła za pozór do przecięcia rozmowy. Wreszcie skorzystał z chwili, w której mąż opuścił pokój, aby prosić, by mu udzielono posłuchania wieczorem. Wówczas wicehrabina okazała się po prostu wzniosła. Wybuchnęła oburzeniem przeciw zuchwalstwu mężczyzn, którzy dlatego, iż doświadczyli dobroci kobiety, sądzą, iż mają prawo nadużywać jej łask wówczas jeszcze, kiedy ją obrazili. Przeszedłszy w ten sposób zręcznie na inny temat, zaczęła kazać tak pięknie o delikatności i uczuciu, że Vressac stał niemy i zawstydzony, a ja sam byłem skłonny uwierzyć, iż ona ma słuszność: domyślasz się bowiem, markizo, iż jako przyjaciel obojga byłem dopuszczony do rozmowy jako świadek.

Słowem, oświadczyła stanowczo, że nie ma zamiaru dorzucać trudów miłości do trudów polowania i daleką jest od chęci zakłócania tak lubej rozrywki. Mąż powrócił. Zrozpaczony Vressac, w niemożności odpowiedzenia czegokolwiek, odwołał się do mnie i wytłumaczywszy mi obszernie swoje racje, które znałem równie dobrze jak i on, prosił, abym przemówił za nim, co też solennie przyrzekłem. Przemówiłem też, ale jedynie po to, aby jej podziękować i ułożyć porę schadzki, której miejscem miał być mój pokój.

Wszystko odbyło się podług umowy; około północy zjawiała się u mnie

leciuchno odziana,

Jak piękność świeżo ze snu słodkiego wyrwana<sup>109</sup>.

Ponieważ nie jestem próżny, nie będę się rozwodził nad szczegółami nocy; znasz mnie, markizo, powiem więc tylko, że byłem zadowolony z siebie.

O świcie trzeba było się rozstać. Tutaj rzecz zaczyna być interesująca. Ta trzpiotka mniemała, iż zostawiła drzwi od swego pokoju otwarte, tymczasem zastaliśmy je zamknięte, klucz zaś tkwił wewnątrz. Nie masz pojęcia o jej rozpacz; na wpół przytomna powtarzała tylko: „Jestem zgubiona”. Trzeba przyznać, iż byłoby zabawne zostawić ją w tym położeniu; ale czyż mogłem cierpieć, aby kobieta miała być zgubiona dla mnie, a nie *przeze mnie* i czyż miałem, jak większość ludzkiego pospółstwa, dać nad sobą przewodzić okolicznościom? Trzeba więc było znaleźć radę. Cóż byłabyś uczyniła, piękna przyjaciółko? Oto sposób, jaki obrałem; a powiódł się w zupełności.

Zbadałem, iż drzwi, o które chodziło, dałyby się wysadzić, ale nie bez dużego hałasu. Nakłoniłem więc wicehrabinę, z trudnością zresztą, by zaczęła wydawać przeraźliwe

<sup>109</sup>leciuchno (...) wyrwana — Racine, *Brytanikus*. [przypis tłumacza]

okrzyki: *złodzieje, mordercy, na pomoc* etc.; przy czym umówiliśmy się, że za pierwszym okrzykiem, ja wysadzę drzwi, ona zaś dopadnie łóżka. Nie uwierzysz, ile czasu było trzeba, aby ją zdecydować, nawet wówczas, gdy już się zgodziła.

Wszystko udało się, jak przewidziałem. Drzwi za pierwszym uderzeniem ustąpiły. Wicehrabina popędziła prosto do łóżka, na szczęście dość szybko, ponieważ w tej samej chwili wicehrabia i Vressac znaleźli się na korytarzu, panna służąca zaś nadbiegła również...

Ja jeden miałem zimną krew; skorzystałem z tego, aby zgasić lampkę nocną, która paliła się jeszcze, i przewrócić ją na ziemię; wyobrażasz sobie bowiem, jak śmiesznym byłoby udawać ten paniczny przestrah, mając światło w pokoju. Wykrzychałem następnie męża i kochankę za ich sen iście letargiczny, wmawiając, iż krzyki, na jakie nadbiegłem i moje szamotania się z zamkniętymi drzwiami, trwały co najmniej pięć minut.

Wicehrabina, która odzyskała odwagę, znalazłszy się we własnym łóżku, wspierała mnie wcale dzielnie; zaklinając się na wielkie bogi, iż złodziej był w mieszkaniu; zaręczała, już z większą dozą szczerości, że w życiu jeszcze tak się nie bała. Szukaliśmy wszędzie; nie znaleźliśmy nikogo. Wówczas zwróciłem uwagę na przewróconą lampkę i doszedłem do wniosku, iż prawdopodobnie szczur stał się przyczyną szkody i przestרחu. Zdanie moje przyjęto jednogłośnie; po paru zużytych conceptach na temat szczurów, wicehrabia wrócił do siebie, prosząc żonę, aby na przyszłość szcury zachowywały się u niej spokojniej.

Vressac, zostawszy sam z nami, podszedł do wicehrabiny, aby jej czule powiedzieć, iż była to zemsta Amora; na co odpowiedziała, spozierając ku mnie: „Musiał być zatem srodze rozgniewany, bo bardzo się mścił. Ale — dodała — upadam wprost ze zmęczenia i teraz chcę spać”.

Czułem się łaskawie usposobiony, toteż, nimeśmy się rozstali, wniosłem instancję za Vressakiem i doprowadziłem do pojednania. Para kochanków uściskała się, po czym i mnie wyściskali z kolei. Niewiele mi już chodziło o całusy wicehrabiny, ale wyznaję, że uścisk Vressaka sprawił mi przyjemność. Wyszliśmy razem i, obsypany jego podziękowaniami, wróciłem nareszcie do łóżka.

Jeżeli przygoda ta wydała ci się zabawną, nie zobowiązuję cię do tajemnicy. Teraz, kiedy ja się nią rozerwałem, słusznym jest, aby i publiczność miała swoją kolej. Na razie mówię tylko o przygodzie, niedługo może będziemy mogli powiedzieć to samo o jej bohaterce?

Do widzenia; strzelec czeka już godzinę; jeszcze serdeczny uścisk, markizo, i przypomnienie, abyś się strzegła Prévana.

*Z zamku \*\*\*, 13 września 17\*\**

## LIST LXXII

*Kawaler Danceny do Cecylii Volanges*

*(Doręczony dopiero 14.)*

O moja Cesi! Jakże zazdroścę losu Valmontowi! Jutro cię zobaczy. On odda ci ten list; ja, usychając z dala, będę włókl opłakaną egzystencję wśród żalów i udręczeń.

Jakże to straszne być przyczyną twego nieszczęścia! Beze mnie żyłabyś szczęśliwa i spokojna. Czy mi przebaczasz? Powiedz, ach, powiedz, że przebaczasz, powiedz także, że kochasz, że będziesz kochać wiecznie. Tak potrzebuję, abyś mi to powtarzała.

Ach, w owych chwilach szczęścia, co przemknęły tak szybko, jakże daleki byłem od przewidywania strasznego losu! Myślmy, Cesi moja, nad środkami ratunku. Jeżeli wierzyć memu przyjacielowi, wszystko może być ocalone, o ile tylko będziesz miała doń całą ufność, jakiej jest godzien.

Przykro mnie dotknęło, wyznaję, uprzedzenie twoje do Valmonta. Zaklinam cię, Cesi moja, staraj się patrzeć na niego przychylniejszym okiem. Pomyśl, że jest moim przyjacielem, że chce być twoim, że może przywrócić mi szczęście widywania ciebie. Jeśli te względy nie zdołają cię przekonać, nie kochasz mnie tak jak ja ciebie, nie kochasz tak, jak

wprzódki kochałaś. Żegnaj cię, ubóstwiana, nie zapominaj, że cierpię: od ciebie jedynie zależy uczynić mnie szczęśliwym, zupełnie szczęśliwym. Wysłuchaj modłów mego serca i przyjm najtkliwsze pieszczoty miłości!

*Paryż, 11 września 17\*\**

## LIST LXXIII

*Wicehrabia de Valmont do Cecylii Volanges*

*(Dołączony do poprzedniego)*

Przyjaciel, który chce pani służyć, wie, iż nie posiadasz przyborów potrzebnych do pisania i postarał się temu zaradzić. W przedpokoju twego saloniku, pod wielką szafą na lewo, znajdziesz zapas papieru, piór i atramentu; możesz je później ukryć w tym samym miejscu, jeśli nie posiadasz pewniejszego schronienia.

Ten sam przyjaciel prosi panią, abyś nie czuła się obrażoną, jeżeli nie będzie na ciebie zwracał w towarzystwie najmniejszej uwagi i będzie się odnosił jak do dziecka. Ostrożność ta wydaje mu się niezbędną, aby wzbudzić ufność, która pozwoli mu tym skuteczniej pracować dla szczęścia was obojga. Postara się o sposobność mówienia z panią, skoro będzie miał coś do doniesienia lub doręczenia; spodziewa się, że mu się to uda, jeśli zechcesz być szczerze pomocną.

Radzi ci również zwracać mu listy w miarę, jak będziesz je otrzymywała, aby się nie narażał na ich przejęcie.

Kończy zapewnieniem, iż jeżeli zechcesz obdarzyć go ufnością, dołoży wszelkich starań, aby złagodzić prześladowanie, jakiego zbyt okrutna matka dopuszcza się na dwojgu istot, z których jedna jest jego najlepszym przyjacielem, a druga wydaje mu się zasługiwać na najżywszą sympatię.

*Z zamku \*\*\*, 14 września 17\*\**

## LIST LXXIV

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Ejże! I odkąd to, drogi wicehrabio, niepokoisz się tak łatwo? Byłoby ten Prévan istotnie taki straszny? Ale widzisz, jaka ja jestem skromna i nieśmiała! Wszak ja go nieraz spotykałam, tego pysznego zwycięzcę: zaledwie że mu się przyjrzałam! Trzeba było aż twojego listu, aby ściągnąć nań mą uwagę. Naprawiłam mą niesprawiedliwość wczoraj. Był w Operze, prawie że naprzeciwko: napatrzyłam się mu do syta. To pewna, że jest przystojny, bardzo przystojny; co za szlachetne i delikatne rysy! Musi zyskiwać jeszcze z bliska. I ty mówisz, że on chce mnie mieć! Ależ uczyni mi tym zaszczyt i przyjemność. Doprawdy, mam na niego wielką ochotę; przyznam ci się, że uczyniłam nawet pierwsze kroki. Nie wiem jeszcze, czy się powiodą. Oto jak było.

Wychodziłam właśnie z Opery: Prévan stał o dwa kroki. Umyślnie bardzo głośno poczęłam się umawiać z markizą de \*\*\* na kolację w piątek u marszałkowej. Zdaje mi się, że to jedyny dom, gdzie mogłabym go spotkać. Nie wątpię, że zrozumiał... Gdyby niewdzięcznik miał nie przyjść? Powiedz, wicehrabio, szczerze, jak myślisz, czy przyjdzie? Czy wiesz, że gdyby miał nie przyjść, na cały wieczór miałabym humor zepsuty. Widzisz zatem, że nie znajdzie tak wiele trudności w *ugananiu za mną*, a co zdziwi cię jeszcze bardziej, jeszcze mniej ich napotka w *pozyskaniu moich względów*. Chce, powie- dział, zamęczyć trzy pary koni, ubiegając się o moje łaski! Och! Ocalę życie tym biednym koniętom! Nigdy nie zdobyłabym się na cierpliwość czekania tak długo. Wiesz, że nie leży w moich zasadach nużyć partnera wdychaniem, skoro jestem raz zdecydowana, co do niego zaś jestem w zupełności.

No, przyznaj, że to prawdziwa przyjemność przemawiać mi do rozsądku! Czyż twoja *ważna przestroga* nie odniosła wspaniałego skutku? Ale cóż chcesz? Życie tak mi się wlokło w ostatnich czasach! Już przeszło sześć tygodni minęło, jak sobie nie pozwoliłam na najmniejszą rozrywkę. Oto się nastęcza: mogę sobie odmówić? Czy przedmiot nie wart trudu? Czy mogłabym, doprawdy, znaleźć ponętniejszy w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa?

Ty sam zmuszony jesteś oddać mu sprawiedliwość; czynisz więcej, niż gdybyś chwalił; jesteś on zazdrosny. Dobrze więc! Ustanawiam się sędzią między wami: ale przede wszystkim trzeba przeprowadzić badanie, i to właśnie pragnę uczynić. Będę sędzią nieposzlakowanym: będziecie zważeni obaj na tej samej szali. Co do ciebie, już mam twoje akta; sprawa jest najzupełniej zgłębniona. Czyż sprawiedliwość nie wymaga, abym się zajęła teraz twoim przeciwnikiem? No, wicehrabio, uchyl bez szemrania głowę przed moim trybunałem, a na początek poucz mnie, proszę, co to jest owa „potrójna przygoda”, której on jest bohaterem? Mówisz o tym, jak gdybym właśnie na pamięć ją umiała, a ja nie wiem ani słoweczka... Z pewnością musiała ta afera zajść w czasie mej podróży do Genewy, zawiść zaś twoja nie pozwoliła ci donieść mi o niej. Napraw błąd, jak możesz najprędzej; *pamiętaj, że nic, co jego dotyczy, nie jest mi obojętne*. Zdaje mi się, że gadano jeszcze coś o tym za moim powrotem; ale byłam zajęta czym innym i w ogóle rzadko słucham takich historyjek, o ile nie miały miejsca w ciągu ostatniej doby.

Gdyby to, o co cię proszę, było ci trochę niemiłe, czyż to nie jest bardzo skromna zapłata za trudy, jakie sobie dla ciebie zadałam? Czy nie one zbliżyły cię do prezydentowej, wówczas gdy twoje dzieciństwa oddaliły cię od niej? Czy nie ja dałam ci w ręce sposobność zemsty za niewczesną gorliwość pani de Volanges? Tak często się skarżyłeś na to, ile czasu musisz tracić na szukanie przygód! Masz je teraz pod ręką. Miłość, nienawiść, tylko wybierać: wszystko pod jednym dachem; możesz, dwojąc swą egzystencję, pieścić jedną dłońią, a zadawać cios drugą.

Wszakże i przygodę z wicehrabiną również mnie zawdzięczasz. Wcale mi się podobała i jestem twojego zdania, iż trzeba to będzie rozgłosić. Rozumiem, że na razie okoliczności mogą cię skłaniać do tajemnicy; ale na ogół trzeba przyznać, że ta kobieta niewarta była tak pięknego postąpienia.

Zresztą i ja mam z nią swoje rachunki. Kawalerowi de Belleruche podoba się ona o wiele więcej, niż bym pragnęła; słowem, dla wielu przyczyn bardzo będę rada znaleźć pozór do zerwania: czyż istnieje zaś wygodniejszy niż móc powiedzieć: „to nie jest kobieta, którą by można przyjmować”.

Do widzenia, wicehrabio; pomyśl, że na twoim posterunku nie wolno ci tracić czasu; co do mnie, obrócę go w zupełności na przygotowanie szczęścia uroczego Prévana.

*Paryż, 15 września 17\*\**

## LIST LXXV

*Cecylia Volanges do Zofii Carnay*

*(Nota. W liście tym Cecylia Volanges zdaje z największymi szczegółami sprawę ze wszystkiego, co się odnosi do wypadków znanych czytelnikowi z listu XXXIX i następných. Uważaliśmy za stosowne pominąć to powtórzenie. Wreszcie mówi o wicehrabi de Valmont w ten sposób:)*

Powiadam ci, to nadzwyczajny człowiek. Mama mówi o nim bardzo źle; ale kawaler Danceny bardzo go chwali i zdaje mi się, że słusznie. Nie miałam pojęcia, żeby kto mógł być taki zręczny. Kiedy mi oddał list Danceny’ego, całutkie towarzystwo było przy tym i nikt nic nie widział; to prawda, najadłam się porządnego strachu, bo nic się nie spodziewałam, ale teraz już będę przygotowana. Zrozumiałam doskonale, jak on chce, żeby mu oddać odpowiedź. Bardzo łatwo z nim się porozumieć, bo takie ma jakies spojrzenie, że mówi nim wszystko, co zechce. Nie wiem, jak on to robi; pisał w bileciku, o którym ci wspomniałam, że przy mamie umyślnie nie będzie na mnie zwracał uwagi: w istocie,

można by przysiąc, że ani myśli o tym, a mimo to za każdym razem, kiedy szukam jego oczu, mogę być pewna, że spotkam je natychmiast.

Jest tutaj dobra przyjaciółka mamy, której nie znałam pierwiej, a która także, jak się zdaje, musi nie lubić pana de Valmont, choć on jej bardzo nadskakuje. Boję się, żeby on się nie znudził prędko tutejszym życiem i nie wrócił do Paryża; to by była wielka szkoda. Musi mieć naprawdę bardzo dobre serce, kiedy tak umyślnie przyjechał, aby oddać przysługę swemu przyjacielowi i mnie!

Pan de Valmont przyrzekł, że jeżeli będę posłuszna, zrobi tak, żebyśmy się mogli znów widywać. Oczywiście, że uczynię, co tylko zażąda; ale nie mogę sobie wyobrazić, aby to było możliwe.

Do widzenia, jedyna, nie mam już miejsca.

*Z zamku \*\*\*, 14 września 17\*\**

## LIST LXXVI

*Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Albo twój list, markizo, to jakieś drwiny, których nie zrozumiałem, albo też pisząc do mnie, znajdowałaś się w stanie groźnego obłądu. Gdybym mniej dobrze cię znał, piękna przyjaciółko, byłbym doprawdy w wielkiej obawie, a możesz mi wierzyć, że obawa ta nie byłaby przesadzona.

Na próżno czytam raz po raz twoje pismo, nic mnie ono nie objaśnia; niepodobieństwem bowiem jest wziąć twój list w prostym i naturalnym znaczeniu. Cóż zatem chciałaś powiedzieć?

Czy jedynie to, że zbyt czynnym jest zadawać sobie tyle zachodu wobec tak mało groźnego nieprzyjaciela? Ale w tym wypadku możesz się mylić. Prévan istotnie ma dużo uroku; więcej niż sama przypuszczasz; ja go znam i z tego, co wiem o nim, miałbym go prawo uważać za niebezpiecznego dla każdej kobiety: dla ciebie zaś, markizo, czyż nie byłoby dosyć, że jest *przystojny, bardzo przystojny*, jak sama powiadasz? Albo żeby się dopuścił względem ciebie jednego z tych ataków, *które lubisz niekiedy nagradzać jedynie w uznaniu dobrego wykonania?* lub też, że wydałoby ci się zabawnym ulec dla jakichkolwiek, tych czy innych względów? Albo... czy ja wiem co zresztą? Czyż mogę odgadnąć te sto tysięcy kaprysów, które rządzą głową kobiety, a przez które jedynie jeszcze ty należysz do swojej płci?

Teraz, kiedy cię uprzedziłem, nie wątpię, że z łatwością potrafisz się uchronić; ale koniec końców trzebaż cię było przestrzec. Wracam więc do pytania: co chciałaś powiedzieć swoim listem?

Jeżeli to były tylko drwiny z Prévana, to pomijając, iż ciągnęły się zbyt długo, źle były zaadresowane. Nie wobec mnie, ale w oczach ludzi trzeba go ośmieszyć, i ponawiam, markizo, prośbę w tym względzie.

Ach! Zdaje mi się, mam wreszcie słowo zagadki! List jest prorocstwem nie tego, co uczynisz, ale tego, czego on się będzie spodziewał w chwili, gdy będziesz pracowała nad jego klęską. Projekt niezły, wymaga jednak wielkiej ostrożności. Wiesz równie dobrze jak ja, że w oczach świata ulec jakiemuś mężczyźnie a przyjmować jego zabiegi jest najzupełniej równoznaczne, chyba że ma się do czynienia z dudkiem; a Prévan nie jest dudkiem, och, całkiem przeciwnie. Jeśli zdoła zyskać bodaj pozór, pochwali się resztą i wszystko już przepadło. Głupcy uwierzą, złośliwi udadzą, że wierzą: jakże się będziesz bronić? Doprawdy, boję się o ciebie. Nie, iżbym wątpił, markizo, o twej zręczności: ale przysłowie mówi, że tylko dobrzy pływacy toną.

Nie uważam się za głupszego od innych; otóż znam sto, tysiąc sposobów zniesławienia kobiety; nie widzę natomiast ani jednego, którym by się mogła skutecznie posłużyć dla swej obrony. Co do ciebie, piękna przyjaciółko, uznaję, iż postępowanie twoje w świecie jest arcydziełem, a jednak nieraz nie mogłem oprzeć się przekonaniu, iż większą gra w tym rolę szczęście niż dobra gra.



Ale, ostatecznie, może ja się doszukuję racji tam, gdzie ich wcale nie ma. Podziwiam się, doprawdy, jak od godziny debatuję poważnie nad czymś, co jest, więcej niż pewne, prostym żartem. Dopieroż będziesz drwiła ze mnie! Dobrze więc! Niech się stanie: uśmiej się do syta i mówmy o czym innym. O czym innym! Mylę się, zawsze o tym samym; zawsze o kobietach, które ma się ochotę zdobyć albo zgubić, a często jedno i drugie naraz.

Mam tu, jak słusznie zauważyłaś, sposobność ćwiczenia się w obu rodzajach, ale nie z jednaką łatwością. Przewiduję, że zemsta pójdzie szybciej niż miłość. Mała Volanges jest *załatwiona*, za to ręczę; chodzi tylko o sposobność, a tę podejmuję się sprowadzić. Inna rzecz z panią de Tourvel: ta kobieta może przywieść do rozpacz, nie rozumiem jej; mam sto dowodów jej miłości, ale tysiąc dowodów jej oporu, i doprawdy zaczynam się obawiać, że mi się wymknie.

Pierwsze wrażenie wywołane moim powrotem pozwoliło mi lepsze rokować nadzieje. Domyślasz się, iż pragnąłem to sprawdzić własnymi oczyma; toteż, chcąc zyskać pewność, iż będę świadkiem pierwszego odruchu, nie kazałem się oznajmić i obliczyłem drogę tak, aby zjawić się, gdy wszyscy będą przy stole. W istocie, spadłem jak z chmur, podobny bóstwu z opery, które zjawia się, aby przyspieszyć rozwiązanie.

Wszedłem dość głośno, aby ściągnąć na siebie spojrzenia; mogłem zatem ogarnąć jednym rzutem oka rozczulenie ciotki, niezadowolenie pani de Volanges i pełną wzruszenia radość jej córki. Moja pani siedziała przy stole zwrócona plecami do drzwi; nie odwróciła głowy. Przemówiłem do pani de Rosemonde: za pierwszym słowem, tkliwa skromnisią poznała mój głos i wydała krzyk, w którym zdawało się przebijać więcej miłości niż zdziwienia lub przestachu. Zbliżyłem się na tyle, aby widzieć jej twarz: poruszenie duszy, walka sprzecznych myśli i uczuć malowały się z cudowną wyrazistością. Zająłem miejsce tuż przy niej; dosłownie nie wiedziała cały czas, co robi ani też, co mówi. Próbowwała jeść w dalszym ciągu; nie mogła: wreszcie w niespełna kwadrans, niezdolna zapanować nad pomieszaniem i radością, zmuszona była prosić o pozwolenie wstania od stołu i schroniła się do parku pod pozorem, że potrzebuje zacerpnąć powietrza.

Załatwiłem się z obiadem, jak mogłem najszybciej. Ledwie podano deser, piekielna Volanges, parta z pewnością chęcią szkodenia mi, podniosła się z miejsca, aby pospieszyć za prezydentową; ale przewidziałem zamiar i skrzyżowałem go. Udałem, iż biorę jej wstanie od stołu za poruszenie ogólne; ruszyłem się z miejsca, mała Volanges i proboszcz dali się pociągnąć tym podwójnym przykładem, tak iż pani de Rosemonde znalazła się sama przy stole ze starym komandorem de T\*\*\*, a w końcu i oni oboje pospieszyli za nami. Poszliśmy tedy wszyscy odszukać panią de Tourvel, którą zastaliśmy w gajku niedaleko zamku; że zaś przywiodła ją tam potrzeba samotności, a nie przechadzki, wołała raczej wrócić z nami, niż zatrzymywać nas z sobą.

Skoro tylko zyskałem pewność, że pani de Volanges nie będzie miała sposobności mówić z nią na uboczu, pomyślałem o spełnieniu twoich rozkazów i zająłem się cały sprawami naszej pupilki. Natychmiast po kawie udałem się do swego pokoju, a zajrzałem również i do cudzych, aby sobie zdać sprawę z terenu; zrobiłem, co trzeba, aby zapewnić małej możliwość pisywania i uwiadomiłem ją o tej pierwszej zdobyczy, dołączając mój bilecik do listu Dancený'ego. Wróciłem do salonu, gdzie zastałem moją panią, wyciągniętą rozkosznie na szeszlengu.

Widok ten, rozgrzewając mi nagle krew, ożywił moje spojrzenia; czułem, iż stają się tkliwe i palące, umieściłem się tedy tak, aby z nich zrobić użytek. Zrazu pod wpływem mych oczu niebiańska świętoszka spuściła swoje wielkie, skromne oczęta. Patrzyłem przez jakiś czas na tę anielską twarz, po czym ślizgając się wzrokiem po całej postaci, bawiłem się odgadywaniem kształtów i konturów poprzez fałdy lekkiego stroju. Przeszedłszy wzrokiem od głowy do stóp, powróciłem od stóp aż do głowy... Pochwyciłem słodkie spojrzenie, wlepione we mnie; natychmiast uciekło w dół: chcąc mu ułatwić powrót, sam odwróciłem oczy. Wówczas ustaliła się między nami niema umowa, pierwszy traktat nieśmiałej miłości, który aby zaspokoić wzajemną chęć patrzenia na siebie, pozwala spojrzeniom następować kolejno, zanim wreszcie zleją się z sobą.

Widząc, iż mój anioł całkowicie pochłonięty jest tą nową przyjemnością, wzięłem na siebie zadanie czuwania nad wspólnym bezpieczeństwem; ale skoro zyskałem pewność, iż powszechna rozmowa odwraca od nas uwagę towarzystwa, starałem się uzyskać od jej

oczu, aby przemówiły bardziej otwartym językiem. Jakoż udało mi się pochwycić kilka spojrzeń, ale tak wstrzemięźliwych, iż skromność sama nie mogłaby ich potępić. Aby dodać swobody trwożliwej istocie, sam udałem nieśmiałość i zakłopotanie. Z wolna oczy nasze, przyzwyczajone spotykać się, spoiły się na dłużej; aż wreszcie nie miały już mocy oderwać się od siebie. Ujrzałem w jej spojrzeniu ową słodką omdłałość, czarowną zwiastunkę miłości i pragnienia; ale to była tylko chwila: wkrótce skromnisa, opamiętawszy się, zmieniła, nie bez pewnego zawstydzenia, pozycję i wyraz.

Pragnąc, aby wiedziała, iż jej kolejne stany duszy nie uszły mej uwagi, żywo podniosłem się z miejsca, pytając z wyrazem niepokoju, czy się nie czuje słaba. Natychmiast całe towarzystwo skupiło się przy niej. Przepuściłem wszystkich przed siebie i skorzystałem z tej chwili, aby oddać list Danceny'ego małej Volanges, która pracowała przy krosienkach pod oknem.

Byłem o kilka kroków; rzuciłem jej więc po prostu list na kolana. Nie wiedziała zupełnie, co począć. Uśmiełabyś się doprawdy z jej zdumionej i zakłopotanej miny; ja jednak nie miałem ochoty do śmiechu, lękałem się bowiem, by nas nie zdradziła przez swoje niezgrabstwo. Wreszcie, pod wpływem moich spojrzeń i gestów, domyśliła się, że trzeba schować do kieszeni. Zresztą aż do wieczora nie zaszło nic godnego uwagi. To, co stało się później, doprowadzi może do wypadków, z których powinnaś być zadowolona, przynajmniej o tyle, o ile to dotyczy pupilki; ale wołę obrócić czas na spełnienie zamiarów, niż go tracić na ich opowiadanie. Oto już ósma stronica: czuję się zmęczony; zatem, do widzenia.

Domyślasz się zapewne, choć ci nic nie mówiłem, że mała odpisała Danceny'emu<sup>110</sup>. Mam również odpowiedź od pani de Tourvel, do której napisałem nazajutrz po przybyciu. Posyłam ci oba listy. Przeczytasz lub nie, jak zechcesz; pojmuję, że ta wieczna klepanina, która dla mnie już nie jest nazbyt zabawna, musi przyprawiać o mdłości osobę trzecią.

Jeszcze raz zatem, do widzenia. Całuję ci łapki serdecznie, ale proszę cię, złota markizo, jeśli zechcesz mówić o Prévaniu, uczynić to w sposób bardziej zrozumiały.

*Z zamku \*\*\*, 17 września 17\*\**

## LIST LXXVII

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Skąd może pochodzić, pani, okrutna wytrwałość, z jaką unikasz mojego widoku? Czym się dzieje, że najtkliwsze me względy spotykają się z tak surowym i niechętnym obejściem?

Cóż uczyniłem, aby postradać szacowną przyjaźń, której widocznie uznałaś mnie godnym, skoro mogłaś mi ją ofiarować? Czy zaszkodziłem sobie ufnością, jaką położyłem w tobie? Czy chcesz mnie karać za mą otwartość? Czy chciałabyś może tą tak niezasłużoną surowością obudzić we mnie przekonanie, iż gdybym cię oszukiwał, uzyskałbym więcej przychylności? Powiedz przynajmniej, jakie nowe winy mogły obudzić w tobie niechęć, i racz bodaj objawić rozkazy, którym chcesz, abym był posłuszny; skoro zobowiązuję się je wypełnić, czyż jest zbyt śmiałym żądaniem prosić, abym je mógł poznać?

*15 września 17\*\**

## LIST LXXVIII

*Prezydentowa de Tourvel do wicebrabiego de Valmont*

Wydaje się pan zdziwiony mym postępowaniem; niewiele brakuje nawet, abyś żądał ode mnie rachunku, jak gdybyś istotnie miał prawo się uskarżać. Wyznaję, że bardziej od pana czułabym się uprawniona do zdziwienia i skargi; ale od czasu odmowy zawartej

<sup>110</sup>mała odpisała Danceny'emu — ten list się nie odnalazł. [przypis tłumacza]

w ostatniej odpowiedzi postanowiłam zamknąć się w obojętności i nie wdawać się w uwagi ani wymówki. Jednakże ponieważ prosi pan o wyjaśnienia, ja zaś, dzięki niebu, nie mam potrzeby niczego ukrywać, godzę się przeto jeszcze udzielić ich po raz ostatni.

Jeżeli sięgniemy do dnia, w którym przybyłeś do tego zamku, sam chyba pan uzna, iż bądź co bądź reputacja pańska upoważniała mnie do pewnej ostrożności i że mogłam bez obawy okazania się przesadną skromnością ograniczyć się po prostu do najściślejszej grzeczności. Przyznaję chętnie, iż zrazu przedstawiłeś się pan w świetle korzystniejszym niż sobie wyobrażałam; ale trwało to nader krótko; wkrótce uczuleś się znużony przymusem, za który zbyt słabą snadź było nagrodą korzystniejsze moje o panu mniemanie.

Wówczas to, nadużywając mojej dobrej wiary, mego zaufania, ośmieliłeś się pan mówić o uczuciu, co do którego nie mogłeś mieć wątpliwości, iż będzie dla mnie jedynie obrazą. Mimo to jeszcze starałam się puścić w niepamięć pańskie winy, dając sposobność do naprawienia ich. Prośba moja była tak słuszna, iż sam uczuleś, że nie godzi ci się odmówić; ale wyzyskując mą pobłażliwość, skorzystałeś z niej, aby zażądać pozwolenia, którego, to pewna, nie powinnam była udzielić, a które mimo to pan uzyskał. Z warunków, pod jakimi go udzieliłam, nie dotrzymał pan żadnego: listy pańskie były tego rodzaju, że ani na jeden nie powinnam była odpowiedzieć. Wreszcie w tej samej chwili, w której zapamiętałość pańska każe mi cię na zawsze oddalić od siebie, znowu dając ci w ręce jedyny środek zbliżenia: ale jakąż cenę ma w twoich oczach godziwe uczucie! Gardzisz przyjaźnią: w szalonym obłądźcie za nic licząc sobie nieszczęścia i hańbę, szukasz jedynie rozkoszy i ofiar.

Zarówno płochy w postępkach, jak niestały w przyrzeczeniach, zapominasz o obietnicach lub raczej igraszkę sobie czynisz z tego, by je łamać. Zgodziwszy się oddalić ode mnie, niewzwany, nie bacząc na prośby, perswazje, zjawiasz się z powrotem; tyle nawet nie masz względu, aby mnie uprzedzić. Dokładasz wszelkich starań, aby wyzyskać chwilę pomieszania, jakie udało ci się wywołać. Nie mogę uczynić kroku, aby pana nie znaleźć przy sobie: nie mogę wymówić słowa, byś nie spieszył z odpowiedzią. Najobojętniejsze zdanie służy panu za pozór do rozmowy, której nie chcę prowadzić, która mogłaby mnie nawet narazić; bo, ostatecznie, mimo całej zręczności, jaką pan rozwijasz, co ja rozumiem, to samo mogą rozumieć i inni.

Zmuszona w ten sposób przez pana do martwoty i milczenia, nie przestaję mimo to być celem prześladowań; nie mogę podnieść oczu, aby natychmiast nie spotkać się z twoimi. Jestem bez przerwy zniewolona odwracać spojrzenia; z niebaczością istotnie niezrozumiałą ściągasz pan na mnie oczy całego towarzystwa, wówczas gdy chciałabym się umknąć nawet własnym.

I pan się skarżysz na moje postępowanie! I pan się dziwisz, że pana unikam! Och, wiń mnie raczej za mą cierpliwość, dziw się, że nie wyjechałam natychmiast po pańskim przybyciu. Byłabym może powinna to uczynić i zmusisz mnie do tego kroku, jeśli nie zaprzestaniesz wreszcie obrażających prześladowań. Nie, nie zapominam, nigdy nie zapomnę o tym, com winna sama sobie, com winna więzom, które przyjąłam, które szanuję i które mi są drogie. Może pan być przekonany, gdybym kiedykolwiek znalazła się wobec tego nieszczęśliwego wyboru, iż miałabym poświęcić albo te więzy, albo samą siebie, nie wahałabym się ani chwili. Żegnaj pana.

16 września 17\*\*

## LIST LXXIX

*Wicebrabia de Valmont do markizy de Merteuil*

Wybrałam się dziś rano na polowanie, ale czas jest zbyt haniebnym. Za całą lekturę mam jedynie jakiś nowy romans, który uspiłby nawet pensjonarkę. Śniadanie najwcześniej za dwie godziny: zatem, mimo długiego listu z wczoraj, jeszcze zabieram się do gawędy z tobą, markizo. Pewny jestem, że cię nie znudzę, bo będę mówił o *bardzo przystojnym Prévaniu*. Jakim cudem nie słyszałaś o jego wspaniałej przygodzie, tej która

rozłączyła słynne trzy *nierozłączne*? Założę się, że przypomnisz sobie od pierwszego słowa. Powtarzam ci ją jednak, skoro sobie życzysz.

Przypominasz sobie, jak cały Paryż się dziwił, że trzy kobiety, wszystkie trzy ładne, sprytne i obdarzone równymi warunkami powodzenia, trwają w najściślejszej zażyłości od chwili pierwszego ukazania się w świecie. Zrazu mniemano, iż przyczyną była nadmierna nieśmiałość; jednakże mimo hołdów i powodzeń, mimo liczego dworu, którego czolobitność mogła wpoić w nie poczucie własnej wartości, trzy Gracje zacieśniły tym więcej węzły przyjaźni; zdawałoby się, iż powodzenie jednej stawało się zarazem powodzeniem dwóch innych. Spodziewano się, iż bodaj chwila miłości wywoła jakieś współzawodnictwo. Wszyscy zdobywcy serc ubiegali się o zaszczyt stania się jabłkiem niezgody: ja sam byłbym pewno znalazł się w ich szeregach, gdyby nie to, iż w tym samym czasie cieszyła się nadzwyczajnym wzięciem hrabina de\*\*\* i nie mogłem sprzeniewierzyć się jej przed uzyskaniem drobnostki, o którą się ubiegałem.

Tymczasem trzy piękności, jak gdyby się umówiły, ulokowały serduszka w ciągu jednego i tego samego karnawału, a okoliczność ta zamiast wywołać spodziewane burze, przeciwnie, dodała nowej siły ich przyjaźni, ożywionej urokiem wzajemnych zwierzeń.

Tłum zawiedzionych zalotników połączył się wówczas z tłumem zawistnych kobiet: poddano tę gorszącą stałość publicznej cenzurze. Jedni utrzymywali, że w tym towarzystwie *nierozłącznych* (tak nazywano je wówczas) fundamentalnym prawem była wspólność dóbr i miłość nawet podlegała temu prawu. Drudzy twierdzili, że trzech kochankowie, nie mając rywali, posiadali jednakże rywalki: podsuwano nawet przypuszczenie, iż przyjęto ich jedynie dla przyzwoitości i że posiadli jedynie tytuł, bez praw i obowiązków.

Te pogłoski, fałszywe czy prawdziwe, nie osiągnęły zamierzonego skutku. Przeciwnie, trzy pary uczuły, że zgubą byłoby dla nich rozłączać się w tej chwili; mężnie tedy stawiały czoło burzy. Świat, który nuży się wszystkim, znużył się rychło bezowocnym szyderstwem. Z właściwą mu zmiennością zajął się innymi przedmiotami, z czasem zaś, z wrodzoną mu niekonsekwencją, powrócił do *nierozłącznych*, zmieniając krytyki w pochwały. Że tutaj wszystko opiera się na modzie, entuzjazm stał się zaraźliwym i dochodził prawdziwego obłędu, kiedy właśnie Prévan przedsięwziął sprawdzić owe cuda i ustalić w tej mierze sąd ogółu i własny.

Począł tedy poszukiwać towarzystwa tych wzorów doskonałości. Dopuszczony bez trudu do małego kółka, wyciągnął z tego korzystną zapowiedź. Wiedział dobrze, że ludzie szczęśliwi nie udzielają tak łatwo przystępu. Ujrzał wkrótce istotnie, że to szczęście tak wynoszone pod niebiosa, więcej — podobnie jak los królów — budziło zazdrości, niżli jej było godne. Zauważył, że wśród mniemanych „nierozłącznych” rodziła się tęsknota za wrażeniami z zewnątrz; że w potrzebie nie pogardzono by i rozrywką; wysnuł z tego, że pęta przyjaźni czy miłości były już nieco rozluźnione lub zerwane, a jedynie węzły miłości własnej i przyzwyczajenia działają jeszcze z niejaką siłą.

Mimo to kobiety, spojone wspólnym interesem, zachowywały między sobą pozory dawnej zażyłości: ale mężczyźni, swobodniejsi w swoich krokach, często wymawiali się ważnymi sprawami lub obowiązkami: ubolewali nad tym, ale nie uchylali się już od nich, i rzadko wieczory zbierały kółko w komplecie.

To zachowanie się mężczyzn było bardzo na rękę wytrwałemu Prévanowi. Zajmując miejsce oczywiście przy tej, która w danym dniu była opuszczoną, miał sposobność, stosownie do okoliczności, poświęcić kolejno służby wszystkim trzem przyjaciółkom. Czuł doskonale, że wybrać jedną z nich byłoby zgubą; fałszywy wstyd jednej, a zraniona próżność dwóch pozostałych połączyłyby je z pewnością przeciw śmiałemu zalotnikowi, zazdrość zaś zbudziłaby na nowo uczucia dawnego kochanka. Wszystko byłoby w ten sposób utrudnione, wszystko natomiast szło jak z płatka w jego potrójnej kombinacji: każda kobieta była pobłażliwą, ponieważ była w tym zainteresowaną; każdy mężczyzna, ponieważ myślał, że nie o niego chodzi.

Prévan mógł się dotychczas poszczycić zaledwie jedną kobietą, ale miał to szczęście, iż była bardzo na świeczniku. Jej cudzoziemskie pochodzenie, hołdy pewnego księcia bliskiego tronu dość zręcznie oddalone ściągnęły na nią uwagę całego towarzystwa; kochanek dzielił wraz z nią zaszczyt tej sławy i nie omieszkał wyzyskać tego wobec swych nowych ofiar. Jedyną trudnością było prowadzić równoległe te trzy intrygi, których prze-

bieg musiał się z konieczności stosować do kroku najopieszalszej: istotnie, wiem od jednego z jego powierników, że największą trudnością dla Prévana było przewlec<sup>111</sup> tempo jednej z trzech dam, zupełnie dojrzałej blisko na dwa tygodnie przed innymi.

Wreszcie wielki dzień nadszedł. Prévan, który zdołał uzyskać trzy wyznania, stał się już panem wypadków i pokierował nimi tak, jak zaraz zobaczysz. Z trzech mężów jeden był nieobecny, drugi miał wyjechać nazajutrz o świcie, trzeci zaś bawił w mieście. Nierozdzielne przyjaciółki miały wieczerzać razem u jutrzejszej słomianej wdowy; ale nowy władca nie pozwolił, aby dawni rycerze brali udział w zabawie. Rankiem tego samego dnia porobił trzy paczki z listów swej dotychczasowej kochanki; do jednej dołączył portret, który od niej otrzymał, do drugiej cyfrę z emblematami miłości malowaną jej ręką, do trzeciej pukiel jej włosów; każda z trzech „nierozdzielnych” wzięła tę trzecią część ofiary za ofiarę zupełną, i zgodziła się w zamian przesłać dotychczasowemu kochankowi list zawierający zerwanie.

To było już dużo: ale jeszcze nie dosyć. Ta, której mąż był w mieście, nie mogła rozporządzać dniem; umówiono się zatem, iż uda, że zaniemogła, co ją zwolni od wieczerzania u przyjaciółki, wieczór zaś poświęci Prévanowi; noc obiecała mu ta, której mąż był nieobecny: pierwszy zaś brzask dnia, chwila wyjazdu trzeciego małżonka, została przeznaczona na słodką chwilę dla trzeciej z „nierozdzielnych”.

Prévan, który nie zapominał o niczym, biegnie następnie do pięknej cudzoziemki, rozmyślnie wywołuje jakieś nieporozumienie i doprowadziwszy do sprzeczki, wychodzi, zyskując w ten sposób dwadzieścia cztery godziny swobody. Załatwiwszy rzeczy w ten sposób, wraca do siebie, pragnąc zażyć nieco spoczynku: w domu zastaje jednak nową niespodziankę.

Listy zrywające stały się błyskiem światła dla odrąconych kochanków: żaden z nich nie mógł wątpić, iż poświęcono go dla Prévana. Złość, iż się dali w ten sposób wywieść w pole, upokorzenie nieodłączne od uczucia, iż się jest porzuconym, sprawiły, że wszyscy trzej, bez porozumienia, lecz jakby z namowy, postanowili upomnieć się o swoje prawa i skarcić szczęśliwego rywala.

Prévan zastał zatem w domu trzy wyzwania: przyjął je po rycersku: lecz, chcąc wycisnąć z tej sprawy możliwie i najwięcej uciechy, i rozgłosu, ułożył spotkanie na drugi dzień rano i nazaczył wszystkim przeciwnikom ten sam czas i miejsce. Miała nim być jedna z bram Bulońskiego Lasku.

Od chwili nadejścia wieczoru Prévan potykał się na potrójnym polu chwały z jednakim powodzeniem; przynajmniej chępił się później, że każda z nowych kochanek po trzykroć otrzymała zakład i świadectwo jego miłości. Tutaj, pojmujesz markizo, historii zbywa na dowodach; bezstronny dziejopis może jedynie zwrócić uwagę niedowierzającemu czytelnikowi, iż próżność i podniecona wyobraźnia mogą zdziałać cuda; tym bardziej, iż rano czekający kochanka po tak świetnej nocy, zwalniał go pod tym względem od oszczędzania się na przyszłość. Jak bądź się rzeczy miały, fakty, które następują obecnie, bardziej są niezbite.

Rankiem Prévan udał się punktualnie na oznaczone miejsce; zastał trzech rywali, nieco zdumionych tym spotkaniem, częściowo może nawet pocieszonych wspólnością niedoli. Podeszedł z ukłonem rycerskim i dwornym zarazem i przemówił w te słowa, które mi wiernie powtórzono:

„Panowie — rzekł — spotkawszy się na tym miejscu, odgadliście z pewnością, że wszyscy trzej macie też same przyczyny urazy. Jestem na wasze usługi. Niechaj los rozstrzygnie, który z was pierwszy pokusi się o zemstę, do której macie równe prawa. Nie przyprowadziłem świadków ani towarzyszy. Nie miałem ich z sobą w chwili obrady, nie żądam ich w chwili zadośćuczynienia. Wiem, że mam wszelkie widoki przegrać na tę kartę, ale jaki bądź los mnie czeka, mniemam, iż dość długo się żyło, skoro się miało czas pozyskać miłość kobiet, a szacunek mężczyzn”.

Podczas gdy przeciwnicy, zdziwieni, spoglądali w milczeniu po sobie w poczuciu, jak nierówne warunki przedstawia ta potrójna walka, Prévan dodał: „Nie będę ukrywał panom, że ubiegła noc znużyła mnie śmiertelnie. Byłoby szlachetnie, gdybyście mi pozwolili skrzepić nieco siły. Kazałem przygotować śniadanie; uczynicie mi ten zaszczyt,

<sup>111</sup>przewlec — tu: opóźnić. [przypis edytorski]

aby je przyjąć ode mnie. Śniadajmy razem, a zwłaszcza śniadajmy wesoło. Można się bić o takie drobiazgi; ale nie powinny one, jak mniemam, zaciemniać dobrego humoru”.

Śniadanie przyjęto. Nigdy podobno Préván nie rozwinął tyle uroku. Miał tę zręczność, iż nie upokorzył żadnego z rywali, owszem, przekonał ich, że każdy z nich osiągnąłby równie łatwo też same tryumfy; co więcej, doprowadził do wyznania, że, tak samo jak on, żaden nie byłby ominął sposobności. Skoro raz już postawiono kwestię na tym gruncie, wszystko poszło jak po maśle. Toteż śniadanie jeszcze nie dobiegło do końca, kiedy już powtórzono sobie z dziesięć razy, że podobne kobiety nie są warte, aby dzielni ludzie bili się o nie. Biesiadników ogarnęło uczucie serdecznego braterstwa, wino je umocniło, tak iż za niedługą chwilę nie tylko nie było mowy o urazie, lecz przysięgli sobie wzajem przyjaźń bez granic.

Préván, któremu z pewnością takie rozwiązanie bardziej przypadło do smaku, nie chciał mimo to nic uronić ze swej chwały. Zatem naginając zręcznie zamysły do okoliczności, rzekł: „Nie na mnie, to pewna, ale na niewiernych kochankach winniście szukać pomsty. Podejmuję się dostarczyć sposobów po temu. Już teraz odczuwam niemniej od was tę zniewagę, która niedługo i moim stałaby się losem: jeżeli bowiem żaden z was nie zdołał zapewnić sobie wierności jednej z nich, jakże ja bym dokazał tego cudu z trzema? Wasza uraza staje się moją. Przyjmijcie dziś wieczór kolację w moim mieszkanku, a mam nadzieję, że nie będziecie musieli długo zwlekać z zemstą”. Żądali wyjaśnień, ale Préván odparł: „Panowie, dowiodłem, jak sądzę, iż nie zbywa mi na pewnym sprycie, chciejcie zatem polegać na mnie”. Zgodzili się i uściskawszy nowego przyjaciela, rozstali się, oczekując niecierpliwie wieczora.

Préván, nie tracąc czasu, wraca do Paryża i spieszy, stosownie do obyczaju, odwiedzić swe nowe zdobycze. Uzyskuje u wszystkich trzech, że przybędą tegoż dnia wieczerać sam na sam w jego mieszkanku. Damy robiły wprawdzie niejaki trudności, ale czegoż kobieta może odmówić *nazajutrz*? Naznaczył schadzki w godzinnych odstępach czasu: warunek potrzebny dla ziszczenia planu. Zapewniwszy się z tej strony, dał znać spiskowcom i wszyscy czterej pospieszyli wesoło oczekiwać na swoje ofiary.

Przybywa pierwsza. Préván zjawia się sam, przyjmuje ją z pozorami czułości, prowadzi aż do sanktuarium, którego mniemała się być bóstwem, następnie zaś, znikając pod jakimś pozorem, wpuszcza na swoje miejsce obrażonego kochanka.

Wyobrażasz sobie, że w takiej chwili kobieta nieobyta jeszcze z przygodami miesza się, traci głowę i staje się łupem niezmiernie łatwym. Uważa sobie za łaskę każdą wymówkę, której jej oszczędzono i jak zbiegła niewolnica wydana na nowo w ręce pana czuje się aż nadto szczęśliwa, gdy może marzyć o przebaczeniu, przyjmując na nowo dawne jarzmo. Traktat pokoju przypieczętowano w bardziej ustronnym miejscu, opróżnione zaś teatrum zajęli z kolei nowi aktorzy, wypełniając je podobną sceną, o podobnym zwłaszcza zakończeniu.

Aż dotąd każda mniemała, że ona jedna znalazła się w tej sytuacji. Zdumienie i zakłopotanie wzrosło, skoro w chwili wieczerzy pary zebrały się razem u stołu; pomieszenie zaś doszło do szczytu, gdy Préván, zjawiając się pośród zgromadzenia, z całym okrucieństwem przedłożył trzem brankom swoje przeprosiny, które odsłaniając całą tajemnicę, przekonały je w zupełności, do jakiego stopnia wyprowadzono je w pole.

Zajęto miejsca. Stopniowo zmaćcona ochota wróciła, mężczyźni rozchmurzyli się, kobiety pogodziły się z losem. Wszyscy dławili w sercu nienawiść; mimo to na ustach mieli wyrazy czułości: zabawa obudziła pragnienia, które nawzajem opromieniły ją nowym wdziękiem. Niezwykła ta orgia przeciągnęła się aż do rana. Skoro nadeszła chwila rozłączenia, kobiety mogły mniemać, iż wszystko odpuszczone, ale mężczyźni, pamiętni urazy, dokonali zerwania *nazajutrz* i to bezpowrotnie; a nie zadowolając się porzuceniem niewiernych kochanek, dopełnili czynu zemsty, rozgłaszając całą przygodę. Od tego czasu jedna z „nierozłącznych” wędnie za kratą klasztoru, dwie pędzą życie na wygnaniu w swoich majątkach, gdzieś na zapadłej prowincji.

Oto historia Prévána; twoją rzeczą zastanowić się, czy chcesz przymnażać mu chwały i wprzęgać się w jego rydwan. List twój zaniepokoił mnie doprawdy; czekam z niecierpliwością dorzeczniejszej, a przede wszystkim jaśniejszej odpowiedzi.

Do widzenia, piękna przyjaciółko, wystrzegaj się pomysłów *zabawnych* lub *niezwykłych*, które uwodzą cię zawsze zbyt łatwo. Pomyśl, że na drodze, którą postępujesz, spryt i rozum nie wystarcza i że jedna nieostrożność staje się klęską bez ratunku. Pozwól, słowem, aby czujna i przezorna przyjaźń stała się niekiedy przewodnikiem twoich rozrywek.

Do widzenia. Mimo to zawsze za tobą przepadam, markizo, tak jak gdybyś była rozsądna.

18 września 17\*\*

## LIST LXXX

*Kawaler Danceny do Cecylii Volanges*

Cesiu, Cesiu moja, i kiedyż znowu losy pozwolą nam się zobaczyć? Kto mnie nauczy żyć z dala od ciebie? Kto mi da siłę i odwagę po temu? Każdy dzień mnoży mą niedolę i nie widzę zgoła kresu! Valmont, który przyrzekł mi pomoc, pociechę, Valmont zaniedbuje mnie, może o mnie zapomnia! Sam pędzi dni obok przedmiotu swego ukochania; nie chce już wiedzieć, co cierpi ten, kto jest odeń dalekim. Przesyłając ostatni twój list, nie dodał od siebie ani słowa, a przecież to on miał donieść, kiedy i jak będę cię mógł oglądać! Ty sama nie mówisz o tym, czyżbyś już nie dzieliła mojego pragnienia? Ach, Cesiu, Cesiu, jestem bardzo nieszczęśliwy. Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek: ale ta miłość, która stanowi urok mego życia, staje się jego udręczeniem.

Nie, nie chcę już żyć w ten sposób, muszę cię wreszcie widzieć, muszę, chociażby na chwilę. Kiedy się budzę, powiadam sobie: „nie zobaczę jej”. Udamę się na spoczynek, mówiąc: „nie widziałem jej”. Dodaj do tych mąk śmiertelnych ciągły niepokój o ciebie, Cesiu moja, a będziesz miała obraz życia, jakie prowadzę.

Ach, nie tak było wówczas, kiedy byłaś blisko! Wszystko było mi rozkoszą. Pewność widzenia ciebie stroiła w powab nawet chwile rozłączenia; czas, który trzeba było spędzić z dala, upływając, zbliżał mnie znowu ku tobie. A teraz cóż pozostało? Bolesne żale, wiekuista tęsknota i cień nadziei, którą rozwiewa milczenie Valmonta, którą przemienia w niepokój twe własne milczenie. Dziesięć mil zaledwie nas dzieli i ta przestrzeń, tak łatwa do przebycia, staje się dla mnie nieprzewycięzoną przeszkodą! Błagam o pomoc przyjaciela, ukochanej, oboje pozostają zimni i nieczuli! Nie tylko nie chcą użyć ratunku, ale nie odpowiadają nawet!

Cóż się więc stało z przyjaźnią Valmonta? Co zwłaszcza z twoim czuciem tak tkliwym, które czyniło cię niewyczerpaną w obmyślaniu środków? Niekiedy, przypominam sobie, nie przestając jednak pragnąć widzenia cię, zmuszony byłem poświęcić je innym względom lub obowiązkom; czegoż nie mówiłaś wówczas? Ilomaż pozorami nie zwalczałaś moich zamiarów? I chciej o tym pamiętać, Cecylio, zawsze wówczas ustępowałem. Nie czynię sobie z tego chluby; nie miałem nawet zasługi poświęcenia. Ale dziś wreszcie proszę ja z kolei, i o co? Aby cię widzieć przez chwilę, wymienić na nowo przysięgi niewygasłej miłości! Czyż to przestało już być zarówno twoim szczęściem, jak moim? Odpycham tę myśl rozpaczliwą, która dopełniłaby miary mej niedoli. Kochasz mnie, będziesz kochać zawsze, wierzę w to, jestem pewny, nie chcę wątpić, ale moje położenie jest straszne, nie mogę znieść go dłużej. Do widzenia, Cesiu moja.

Paryż, 18 września 17\*\*

## LIST LXXXI

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Ach, jakąż litość budzą we mnie twoje obawy! Jakże mi one dowodzą wyższości mej nad tobą! I ty mnie chcesz pouczać, mną kierować! Nie, cała pycha twojej płci nie wystarczyłaby, aby zapełnić przepaść, która nas dzieli. Że ty nie umiałbyś przeprowadzić

moich zamiarów, uważasz je tym samym za niemożliwe! Istoto pyszna a słaba, tobiez to przystało obliczać moje zasoby i sądzić o mej sile! Doprawdy, wicehrabio, nauki twoje zirytowały mnie po prostu, nie umiem tego zataić.

Że aby zamaskować własną nieprawdopodobną niezdatność wobec prezydentowej, roztaczasz mi jako tryumf to, żeś zdołał na chwilę przyprawić o pomieszenie nieśmiałą i zakochaną kobietę, zgoda; że chępcisz się uzyskanym spojrzeniem, wyraźnie *jednym spojrzeniem*, uśmiecham się i to ci też darowuję. Że, czując mimo woli całą swą nędzę, pragniesz odwrócić mą uwagę i puszysz się szczytnym dziełem zbliżenia dwojga dzieci, które oboje rwą się do tego, aby się zobaczyć, i które, mówiąc nawiasem, mnie właśnie zawdzięczają zapal tego pragnienia: i na to wreszcie się godzę. Że wreszcie stroisz się w te świetne czyny, aby mi powiedzieć profesorskim tonem, że *lepiej obracać czas na wykonanie zamysłów, niż na opowiadanie o nich*; ta próżnostka nic mi nie szkodzi i również ci ją przebaczam. Ale że możesz przypuszczać, iż ja potrzebuję twej opieki, że zesłabym na manowce, nie postępując ślad w ślad za twymi przestrojami, że mam im poświęcić swoją przyjemność, kaprys: doprawdy, wicehrabio, zanadto wbiło cię w pychę zaufanie, które ci okazuję!

I cóżes ty uczynił, czego bym ja nie przewyższyła tysiąc razy! Uwiodłeś, zgubiłeś wiele kobiet: ale jakież miałeś trudności? Jakie przeszkody? Gdzież w tym twoja, naprawdę twoja zasługa? Ujmująca postać, czysty dar przypadku; wdzięk, którego trudno nie nabyć, ocierając się w świecie; rzetelny dowcip, ale zamiast którego trochę wygadania wystarczyłoby w zupełności; śmiałość dość zaszczytna, ale może płynąca jedynie z łatwości pierwszych zdobyczy; oto, jeśli się nie mylę, wszystkie twe zasoby: co do sławy bowiem, jaką się opromieniasz, nie będziesz wymagał, jak sądzę, abym liczyła za wielką zasługę sztukę wywołania skandalu.

Co do przezorności, sprytu, nie mówię już o sobie: ale któraż kobieta nie ma ich więcej? Ech, prezydentowa nawet prowadzi cię jak dziecko na pasku.

Wierz mi, wicehrabio, rzadko człowiek nabywa przymiotów, bez których może się obejść. Walcząc bez niebezpieczeństwa, nie potrzebowałeś silić się na przezorność. Wszakże dla was, mężczyzn, niepowodzenie jest tylko jednym powodzeniem mniej. W tej tak nierównej partii dla nas jest szczęściem nie przegrać, dla was nieszczęściem nie wygrać. Gdybym ci nawet przyznała tyle wrodzonych zdolności, ile my ich mamy, o ileż jeszcze musiałybyśmy cię przewyższyć przez to, iż nieustannie trzeba nam z nich czynić użytek!

Przypuśćmy, godzę się, że wy rozwijacie tyleż zręczności w tym, aby nas zwyciężyć, jak my, aby się bronić albo też ulec; przyznasz bodaj, że z chwilą dojścia do celu staje się wam ona zupełnie zbyteczna. Zajęci nowym kaprysem biegniecie za nim bez obawy, bez najmniejszych względów: nie wam zależy przecież na jego trwałości.

Tak jest; więzy łączące wzajem dwoje istot — aby mówić utartym słownikiem miłości — możecie wedle woli zacieśniać lub zrywać; my możemy się czuć szczęśliwe, jeżeli zmieniając uczucia, przełożycie tajemnicę nad rozgłos i zadowolicie się upokarzającym zerwaniem, nie czyniąc z wczorajszego bóstwa jutrzejszej ofiary!

Ale skoro nieszczęśliwa kobieta uczuje pierwsza ciężar swego łańcucha, na jakież naraża się niebezpieczeństwa, jeśli próbuje uwolnić się, jeśli stara się go bodaj uchylić? Drżąc cała z przestachu, zaledwie waży się oddalić mężczyznę, którego serce jej odpycha całą siłą. Jeśli on upiera się wytrwać, to, co niegdyś poświęciła miłości, teraz jej trzeba poświęcać obawie.

Ramiona tulą jeszcze, choć serce odrząca...

Z wytężeniem całej przebiegłości musi rozplątywać więzy, które wy byście zerwali po prostu. Zdana na łaskę nieprzyjaciela nie posiada żadnych środków obrony, o ile on sam nie okaże się wspaniałomyślnym: a jak spodziewać się tego po mężczyźnie, skoro o ile niekiedy świat chwali go za to, iż posiada tę cnotę, nigdy go nie potępia za to, iż mu jej zbywa?

Nie zaprzeczysz chyba prawdom, które aż pospolitymi się stały przez swą oczywistość. Jeżeli mimo to patrzyłeś, jak kieruję do woli wypadkami i opinią, jak owych mężczyzn, tak niebezpiecznych, zmieniam w zabawkę mego zachcenia lub fantazji; jak odbieram jednym chęć szkodenia mi, drugim zaś siłę po temu; jeśli umiałam na przemian, stosownie do mych zmiennych upodobań, to ściągać do swoich stóp, to odrzącać daleko od siebie

Kobieta, Mężczyzna,  
Miłość, Obyczaje

Kobieta, Nauka, Obyczaje,  
Obraz świata, Flirt, Sztuka,  
Władza, Pozycja społeczna



tych tyranów przygiętych do jarzma niewoli...

jeżeli wśród częstych odmian mych uczuć, dobra sława moja została nietknięta — czyż nie powinienem był wywnioskować, iż przyszedłszy na świat po to, aby pomścić swoją pleć, a ujarzmić twoją, umiałam snadź<sup>112</sup> stworzyć sobie środki nieznanne światu przede mną?

Och, zachowaj przestrogi i obawy dla tych szalonych kobiet, które same nazywają się *uczuciowymi*; których rozszalała wyobraźnia kazałaby przypuszczać, że natura umieściła ich zmysły w głowie. W obłądnie swoim mieszają bezustannie Miłość i Kochanka; mniemają w swym złudzeniu, iż ten właśnie, z którym szukały chwilowej rozkoszy, jest jej jedynym rozdawcą; pełne zabobonu, chowają dla kapłana tę cześć i wiarę, jaką winniśmy jedynie Bóstwu.

Lękaj się również o te, w których próżność bierze górę nad rozważą i które nie umieją w potrzebie *pozwolić się porzucić*.

Drżij zwłaszcza o kobiety tzw. *sercowe*, wiecznie zajęte w swej beczynności, które miłość zagarnia tak łatwo i z taką potęgą. Te czują potrzebę, aby zaprzętać się nią jeszcze, nawet gdy minęła już chwila użycia; oddając się bez zastrzeżeń kipieniu wyobraźni, płodzą owe listy tak słodkie, ale tak niebezpieczne; co więcej, nie lękają się powierzać dowodów swej słabości przedmiotowi, który jest ich przyczyną: nieroztropne istoty, które w dzisiejszym kochanku nie umieją widzieć jutrzejszego wroga.

Ale cóż ja mam wspólnego z tymi niepoczytalnymi istotami? Kiedyż to widziałeś, bym oddaliła się od prawideł, jakie sobie zakreśliłam, i uchybiła mym *zasadom*? Mówię *zasadom*, i mówię to z rozmysłem: nie są one bowiem, jak u innych kobiet, nabyte przypadkiem, przyjęte bez roztrząsania i przestrzegane z nałogu: nie, są owocem głębokich rozmyślań: stworzyłam je i mogę powiedzieć, że jestem swoim własnym dziełem.

Wszedłszy w świat w czasie, kiedy jako młoda dziewczyna z urzędu niejako byłam skazana na milczenie i martwość, umiałam skorzystać z tego, aby przyglądać się i zastanawiać. Podczas gdy świat uważał mnie za roztrzępaną lub tępą, ja, w istocie niewiele słuchając tego, co do mnie mówiono, tym skwapliwiej chłonełam to, co przede mną ukrywano.

Ta zbawienna ciekawość, bogacąc doświadczenie, nauczyła mnie zarazem sztuki udawania. Zmuszona niejednokrotnie ukrywać przedmiot uwagi przed otoczeniem, starałam się władać oczami wedle mej woli; nauczyłam się przybierać, kiedy zechcę, ten wyraz roztargnienia, który tak często podnosiłeś z uznaniem. Zachęcona tą pierwszą zdobyczą starałam się opanować tak samo grę fizjognomii. Gdy doznawałam przykrości, uczyłam się przybierać wyraz słodkiej pogody, nawet uciechy; posunęłam gorliwość tak daleko, iż zadawałam sobie rozmyślnie cierpienia, siląc się równocześnie zachować pogodne i zadowolone oblicze. Z tą samą wytrwałością i z większym jeszcze trudem pracowałam nad tym, by tłumić w sobie objawy niespodzianej radości. W ten sposób zdobyłam nad grą mej fizjognomii władzę, którą niejednokrotnie bywałeś tak zdumiony.

Byłam wówczas bardzo młoda, jeszcze nie żyłam niemal: ale jedyną mą własnością była moja myśl i oburzało mnie, aby mi ją ktoś miał wydrzeć lub podchwycić wbrew mej woli. Uzbrojona tym pierwszym orężem spróbowałam jego użytku: nie poprzestając na tym, aby się nie dać przeniknąć, bawiłam się tym, aby się objawiać pod różnorodnymi postaciami. Pewna swoich ruchów i gry fizjognomii zwracałam uwagę na słowa; kierowałam mym wzięciem<sup>113</sup>, stosownie do okoliczności lub nawet zachcenia: od tej chwili wnętrze moje pozostało otwarte wyłącznie dla mnie samej, pokazywałam zeń jedynie to, co chciałam.

Ta praca nad sobą skierowała mą uwagę na wyrazy twarzy i charakter fizjognomii w ogólności; zyskałam ten przenikliwy rzut oka, któremu, jak przekonałam się z doświadczenia, nie można ufać bezwzględnie, ale który na ogół nieczęsto mnie zawodził.

Nie miałam piętnastu lat, a już posiadałam owe talenty, którym większość polityków zawdzięcza reputację; a były to dopiero pierwsze podstawy umiejętności, którą pragnęłam sobie przyswoić.

Wyobrażasz sobie, że jak wszystkie dziewczęta starałam się przeniknąć tajemnice miłości i jej uciech: ale nie będąc nigdy w klasztorze, nie mając nigdy bliskiej przyjaciółki

<sup>112</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>wzięcie (daw.) — sposób bycia, zachowanie, postępowanie. [przypis edytorski]

i strzeżona przez czujną matkę, miałam jedynie pojęcia mgliste i niepewne; natura nawet, na którą później, to pewna, uskarżać się nie miałam powodu, nie dawała mi żadnej w tym względzie wskazówki. Można rzec, iż pracowałam w milczeniu nad wydoskonaleniem swego dzieła. Głowa jedynie kipiała; nie pragnęłam używać, ale chciałam wiedzieć; pragnienie zdobycia świadomości podsunęło mi środki.

Czułam, że jedynym człowiekiem, z którym mogę mówić o tym przedmiocie bez narażenia się, był mój spowiednik. Natychmiast powzięłam decyzję; przewyciężyłam odrobinę wstydu i uzurpując sobie błąd, którego nie popełniłam, obwiniłam się, że czyniłam wszystko *to, co robią kobiety*. To było wyrażenie, którego użyłam; ale mówiąc w ten sposób, nie miałam pojęcia, co ono w istocie oznacza. Nadzieja moja nie ziściła się wprawdzie w zupełności; obawa zdradzenia się stanęła na przeszkodzie; ale poczciwy ojciec przedstawił mi winę w tak surowym świetle, że wyciągnęłam stąd wniosek, iż rozkosz musi być olbrzymia; do pragnienia wiedzy dołączyła się chęć pokosztowania.

Nie wiem, dokąd ta chęć byłaby mnie zawiodła; przy zupełnym braku doświadczenia jedna sposobność wystarczyłaby, aby mnie zgubić: na szczęście niedługo potem matka oznajmiła mi, iż wychodzę za mąż. Pewność poznania ugasiła natychmiast mą ciekawość: weszłam jako dziewica do sypialni pana de Merteuil.

Oczekiwałam ze spokojem chwili, która miała mi odsłonić wielką tajemnicę; umiałam zdobyć się na ten wysiłek, aby okazać pomieszenie i obawę. Ta pierwsza noc, o której mamy zazwyczaj tak straszne lub tak słodkie pojęcia, dla mnie przedstawiła się jedynie ze strony doświadczałnej. Bacznie śledziłam zarówno ból, jak przyjemność, ze wszystkiego starałam się jednakże zdać sobie sprawę, widząc w tych różnorodnych wrażeniach materiał dla spostrzeżeń i refleksji.

Wkrótce poczęłam znajdować w tym studium dość żywe upodobanie: ale wierna zasadom i czując, może instynktownie, że nikt nie powinien być równie dalekim od mej ufności jak mąż, postanowiłam dlatego właśnie, iż byłam wrażliwą, uchodzić za zupełnie nieczułą w jego oczach. Ten pozorny chłód stał się niewzruszoną podstawą jego ślepego zaufania. Dołączyłam do tego, również na podstawie przemyślenia, pozory roztrzępania, usprawiedliwione zresztą wiekiem. Słowem, nigdy mąż nie patrzył na mnie bardziej jak na dziecko niż wówczas, gdy najśmiałej wyprowadzałam go w pole.

Zresztą, wyznaję, zrazu dałam się porwać wirowi świata i oddałam się całkowicie jego błahym rozrywkom. Ale gdy po upływie kilku miesięcy pan de Merteuil wywiózł mnie gdzieś na odludzie, obawa przed nudą obudziła we mnie na nowo zamiłowanie do studiów. Znajdując dokoła jedynie ludzi, których pozycja chroniła mnie od wszelkich podejrzeń, skorzystałam z tego, aby na szerszym polu przeprowadzić doświadczenia. Tam to przede wszystkim upewniłam się, że miłość, którą apoteozują jako źródło rozkoszy, jest w rzeczywistości co najwyżej jej pretekstem.

Choroba pana de Merteuil przerwała te miłe ćwiczenia: trzeba było przenieść się do miasta, gdzie pospieszył szukać pomocy. Umarł, jak ci wiadomo, wkrótce. Jakkolwiek, razem wzięwszy, nie miałam przyczyn nań się użalać, niemniej odczułam żywo wartość swobody, jaka otwierała mi się z chwilą wdowieństwa, i postanowiłam z niej dobrze skorzystać.

Matka spodziewała się, iż osiadę w klasztorze lub też zamieszkać z nią razem. Uchyliłam się od obu projektów; dla względów przyzwoitości uczyniłam jedynie tyle, iż wróciłam na jakiś czas na wieś, gdzie mi pozostało zresztą nieco jeszcze spostrzeżeń do zebrania.

Dałam im silniejsze podstawy przy pomocy książek; ale nie sądzę, że były wszystkie tego rodzaju, jakby można przypuszczać. Zgłębiałam obyczaje w romansach, poglądy w dziełach filozofów; badałam nawet najnowszych moralistów i ich postulatory i w ten sposób zyskałam świadomość, co można czynić, co powinno się myśleć, a jak należy się ludziom *przedstawić*. Raz wiedząc, czego się trzymać w tym potrójnym przedmiocie, co do ostatniego jedynie dostrzegałam niejakie trudności; miałam nadzieję, iż uda mi się je zwyciężyć i przemyślałam nad środkami po temu.

Niebawem zaczęły mi się przykrzyć sielskie uciechy, zbyt mało urozmaicone dla mej niespokojnej głowy: czułam potrzebę zalotności, która by mnie pogodziła z miłością; nie abym pragnęła przeżywać ją w istocie, lecz aby natchnąć się sztuką udawania jej. Na próżno mi mówiono i sama czytałam, że nie da się udać tego uczucia; wiedziałam że aby to

osiągnąć, wystarczy połączyć talent aktora z pomysłowością komediopisarza. Ćwiczyłam się więc w obu tych rodzajach, może nie bez powodzenia: ale zamiast na scenie szukać czczych oklasków, postanowiłam obrócić dla własnego szczęścia to, co tylu innych poświęca próżności.

Rok cały upłynął na tych zajęciach. Koniec żaloby pozwalał zjawić się w świecie, wróciłam tedy do miasta pełna najśmielszych zamysłów. Nie spodziewałam się pierwszej przeskody, jaką napotkam.

Owa długa samotność, owo cnotliwe odcięcie od świata, to wszystko powlekło mnie jakimś pokostem surowości, który przerażał naszych *zdobywców*; trzymali się na uboczu, wydając mnie na pastwę tłumowi nudziarzy, z których każdy zabiegał się o moją rękę. Nie było mi wprawdzie trudno uwolnić się od konkurów; ale odmowy te nie podobały się nieraz mej rodzinie: traciłam na drobnych utarczkach i przykrościach czas, który obiecywałam sobie spędzić tak rozkosznie. Byłam tedy zmuszona, aby ściągnąć ku sobie jednych, a oddalić drugich, dopuścić się paru jawnych lekkomyślności i użyć na skompromitowanie swej reputacji starań, które miałam zamiar obrócić na jej pielęgnowanie. Udało mi się łatwo, jak możesz sobie wyobrazić. Ale ponieważ nie wchodziło w grę żadne uczucie, zrobiłam tylko to, co uważałam za potrzebne, i odmierzyłam z całą rozwagą dawki nierozwagi.

Skoro tylko osiągnęłam zamierzony skutek, natychmiast wykonałam odwrot i powierzyłam zaszczyt mego nawrócenia owej kliczce kobiet, które, niezdolne już szukać tryumfów w swoich powabach, nadrabiają te braki *wartością wewnętrzną* i cnotą. Sztuczka udała się lepiej, niż mogłam się spodziewać. Wdzięczne matrony stały się mymi gorliwymi obrończyniami; ślepy zapal dla tego, co nazywały *swoim dziełem*, posuwał się tak daleko, że za najmniejszym słówkiem, jakie ktoś ośmielił się wymierzyć przeciw mnie, cała partia świętoszek wyruszała do boju z niecną potwarzą. Ten sam środek zjednał mi również uznanie lwic salonowych, które przekonane, iż nie znajdą we mnie współzawodniczkę, obrały mnie za przedmiot swoich zachwyty, ilekroć chciały dowieść, że nie o wszystkich bez wyjątku kobietach mówią jak najgorzej.

Mimo to poprzedni manewr ściągnął do mego domu armię wielbicieli. Nie chcąc ich zrażać, a zarazem zmuszona oszczędzać wierne protektorki, starałam się przybrać postawę osoby skłonnej poddać się uczuciu, lecz trudnej w wyborze i opancerzonej przeciw łatwym miłostkom nadmierną delikatnością.

Wówczas zaczęłam na wielkiej scenie życia rozwijać zdobyte talenty. Pierwszym staraniem było zyskać sobie sławę niezwykłej. Aby to osiągnąć, przyjmowałam jawnie zabiegi jedynie tych mężczyzn, którzy mi się nie podobali. Używałam ich skutecznie, aby zapewnić sobie honory zaszczytnej obrony, podczas gdy równocześnie oddawałam się bez niebezpieczeństw wybranemu kochankowi. Jednakże moja udana lekliwość nigdy nie pozwalała mu widywać się ze mną w towarzystwie: toteż oczy świata widziały zawsze jeno<sup>114</sup> wzdychających bez nadziei.

Wiesz, jak szybko mam zwyczaj się namyślać: a to ponieważ spostrzegłam, że niemal zawsze właśnie te przedwstępne zabiegi zdradzają światu tajemnice kobiet. Mimo wszelkich starań sposób i ton obejścia *przed a po* jest zawsze nieco odmienny. Różnica ta nie ujdzie uwagi bystrego spostrzegacza; doszłam tedy, iż mniej jest niebezpiecznym omylić się w wyborze, niż się z nim zdradzić. Zyskuję przez to jeszcze i tę korzyść, że usuwam *prawdopodobieństwa*, na podstawie których jedynie świat może nas sądzić.

Ostrożności te, jak również reguła, aby nigdy nie pisać, nigdy nie wydawać w ręce dowodu ustępstwa, mogłyby wydać się przesadne: dla mnie i to nie wystarczało. Zapuściwszy się w głąb własnego serca, śledziłam w nim serce drugich. Dojrzałam, iż każdy bez wyjątku człowiek kryje tam jakiś sekret, który pragnąłby na zawsze osłonić. Prawdę tę, jak się zdaje, starożytność lepiej znała od nas, a historia Samsona jest może tylko szczęśliwym jej symbolem. Naśladując Dalilę, starałam się zawsze, jak ona, rozwinąć całą mą siłę, aby podchwycić tę doniosłą tajemnicę. Och, iluż Samsonów kędziory znalazły się pod mymi nożycami! Ci przestali być niebezpieczni: tych jednych pozwoliłam sobie upokorzyć niekiedy. Z innymi umiałam się uciekać do innych sposobów: sztuka popchnięcia ich samych do niewierności, aby nie zdradzić się z odmianą własnego serca, udana przyjaźń,

<sup>114</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

pozory zaufania, tu i ówdzie oddane przysługi, podsycanie w każdym z osobna tego tak pochlebnego dla mężczyzny mniemania, iż był mym jedynym kochankiem; oto środki, które zapewniły mi dyskrecję. Wreszcie gdy te sposoby zawodziły, umiałam, w przewidywaniu zerwania z mej strony, zdusić zawczasu niebezpieczeństwo za pomocą ośmieszenia lub potwarzy.

Patrzysz na mnie; widzisz, jak niezłomnie przestrzegam tych zasad: i ty wątpisz o mej przezorności! Zechciej sobie tedy przypomnieć czas swoich o mnie zabiegów: nigdy żaden hołd nie był mi tyle pochlebny; pragnęłam cię, zanim cię jeszcze poznałam. Olśniona twym rozgłosem, miałam uczucie, że brak mi ciebie dla mej chwały; pałałam niecierpliwością zmierzania się z tobą w pojedynczej utarczce. Mimo to gdybyś mnie chciał zgubić, jakież znalazłbyś sposoby? Gołosłowne zapewnienia bez wartości, podejrzone już przez samą twą reputację; wiązka pozbawionych wszelkiego prawdopodobieństwa faktów, których wierna opowieść zdawałaby się zaczerpnięta z lichy skleconego romansu. To prawda, później odsłoniłam ci wszystkie karty: ale wiesz, jakie interesy nas jednoczą i czy z nas dwojga mnie należałoby nazwać nieostrożną<sup>115</sup>. Skoro raz zadałam sobie trud wyłożenia ci wszystkiego, chcę zrobić to dokładnie. Słyszę już, jak mówisz, że jestem co najmniej na łasce pokojówki. To prawda, ta dziewczyna, nie znając tajemnicy mych uczuć i poglądów, posiada, bądź co bądź, sekret mego postępowania. Kiedy mi o tym wspominałeś niegdyś, odpowiedziałam tylko, że jestem jej pewna. Odpowiedź ta wystarczyła ci widocznie wówczas, gdyż zwierzyłeś jej później wcale niebezpieczne tajemnice, i to tyżące samego ciebie. Ale teraz, kiedy nabiłeś sobie głowę Prévaniem i straciłeś wszelki sąd o rzeczach, obawiam się, że już mi nie uwierzysz na słowo. Trzeba cię zatem pouczyć.

Po pierwsze, jest moją mleczną siostrą: węzeł ten nam wydaje się niczym, lecz nie jest bez znaczenia dla ludzi jej stanu. Po drugie, posiadam jej tajemnicę, i więcej niż tajemnicę. Dziewczyna ta stała się w swoim czasie ofiarą nieopatrznej miłości i byłaby zgubiona, gdybym jej nie ocaliła. Rodzice jej, nieubłagani na punkcie honoru, chcieli po prostu ją zamknąć. Zwrócili się do mnie. W mgnieniu oka oceniłam, jakie korzyści mogę wyciągnąć z ich gniewu. Pochwaliłam zamiar, poczyniłam starania o odpowiedni dekret i otrzymałam go. Wówczas przerzuciłam się na drogę łagodności. Korzystając ze względów, jakimi cieszyłam się u starego ministra, nakłoniłam, aby pozostawiono wyrok w moich rękach i dano mi swobodę zniszczenia go lub wprowadzenia w życie, zależnie od dalszego zachowania się dziewczyny. Wie zatem dobrze, że jestem bezwzględną panią jej losu; gdyby zaś, co trudno przypuścić, te potężne środki nie zdołały zapewnić wierności, pojmujesz łatwo, do jakiego stopnia odsłonięcie jej prowadzenia i oddanie w ręce sprawiedliwości osłabiłoby jej wiarogodność.

Do tych ostrożności, które uważam za zasadnicze, łączy się tysiąc innych, zależnych od miejsca i okoliczności, a kierowanych głębokim namysłem, który z czasem przechodzi w przyzwyczajenie. Wyliczanie byłoby zbyt uciążliwe: są to jednak wszystko rzeczy pierwszorzędnej wagi. Jeżeli zadasz sobie nieco trudu, możesz je sam z łatwością odtworzyć, zastanowiwszy się dobrze nad całokształtem mego postępowania.

I ty przypuszczasz, że po to dołożyłam tylu starań, aby nie zbierać owoców? Że wzniosłszy się dzięki wyteżonej pracy tak wysoko nad poziom innych kobiet, zgodzę się później pełzać jak one między nierozwagą a tchórzostwem; że zwłaszcza mogę obawiać się do tego stopnia jakiegoś mężczyzny, aby widzieć ratunek jedynie w ucieczce? Nie, wicehrabio, nigdy. Zwyciężyć lub zginąć. Co do Prévana, chcę go mieć i będę miała; on chce rozgłosić i nie rozgłosi: oto w dwóch słowach historia naszego romansu. Do widzenia.

20 września 17\*\*

## LIST LXXXII

*Cecylia Volanges do kawalera Danceny*

<sup>115</sup>wiesz, jakie interesy nas jednoczą (...) — w dalszym ciągu, w liście CLII, pokaże się, jakiego mniej więcej rodzaju mogła być tajemnica pana de Valmont i czytelnik zrozumie, iż niepodobieństwem było bliżej objaśniać go w tym przedmiocie. [przypis tłumacza]

Mój Boże, ileż pana list sprawił mi zmartwienia! Potrzebniem też, doprawdy, oczekiwała go z taką niecierpliwością! Myślałam, że znajdę trochę pociechy, a tymczasem jeszcze więcej zgryzłam się niż wprzód. Płakałam rzewnymi łzami, kiedy czytała: ale nie to panu wyrzucam; przecież już nieraz płakałam dawniej z powodu pana, a nie robiło mi przykrości. Ale tym razem, to całkiem nie to samo.

Co pan chce przez to powiedzieć, że miłość staje się dla pana udręczeniem, że pan nie może już żyć w ten sposób ani znieść dłużej swego położenia? Czy pan może chce przestać mnie kochać, dlatego że już nie jest tak przyjemnie jak przedtem? Zdaje mi się, że i mnie nie lepiej jest od pana; owszem, przeciwnie, a mimo to Kocham pana tylko więcej. Że pan de Valmont nie napisał, to nie moja wina, nie mogłam go o to prosić, bo nie byłam z nim sama; umówiliśmy się nigdy z sobą nie mówić przy ludziach: także tylko dlatego, żeby łatwiej mógł zrobić to, czego pan pragnie. Nie mówię wcale, że i ja nie pragnę tego samego; powinien pan wiedzieć o tym, ale cóż ja poradzę? Jeżeli się panu wydaje, że to tak łatwo, niech pan znajdzie sposób, bardzo będę wdzięczna.

Już z samym odbieraniem listów to cała historia; gdyby pan de Valmont nie był taki dobry i zręczny, nie wiedziałabym po prostu, jak sobie dać radę; a z pisaniem, to jeszcze większy kłopot. Przez całe rano nie miałam odwagi, bo mama jest niedaleko i czasem wchodzi niespodzianie do pokoju. Czasem uda mi się popołudniu pod pozorem śpiewu lub grania na harfie; a i wtedy muszę przerywać pisanie po każdym wierszu, żeby było słychać, że ćwiczę. Na szczęście panna służąca zasypia niekiedy wieczorem i mówię jej wówczas, że się położę sama, aby ją nakłonić, żeby odeszła i zostawiła światło. A potem dopiero muszę się chować pod firanki, żeby nie było widać światła, i nad słuchiwać najmniejszego szmeru, czy kto nie idzie. Chciałabym, żeby pan tu był i mógł to widzieć! Zobaczyłby pan, że trzeba bardzo kogoś kochać, żeby to robić. Jednym słowem, to pewna, że robię co mogę i że chciałabym móc robić jeszcze więcej.

Do widzenia, drogi panie. Kocham pana z całego serca. Będę kochać przez całe życie. Mam nadzieję, że teraz już się pan nie będzie martwił; gdybym była tego pewna, sama bym się także już nie martwiła. Niech pan napisze najprędzej, jak pan będzie mógł, bo czuję, że aż do tego czasu będę ciągle smutna.

*Z zamku \*\*\*, 21 września 17\*\**

## LIST LXXXIII

*Wicebrabia de Valmont do prezydentowej de Tourvel*

Błagam cię, pani, wróćmy do rozmowy tak nieszczęśliwie przzerwanej! Niech mi wolno będzie jeszcze przekonać panią, jak bardzo odmienny jestem od haniebnego portretu, pod jakim mnie przedstawiono; niech mi będzie wolno zwłaszcza rozkoszować się lubą ufnością, jaką zaczęłaś mnie obdarzać! Ileż wdzięku umiesz użyzyć cnocie! Jak powabnym i upragnionym umiesz uczynić zacne i niewinne uczucie!

Ach, wystarczy ujrzeć ciebie, aby pragnąć ci być miłym; wystarczy przebywać w twoim towarzystwie, aby pragnienie to spotęgowało się jeszcze. Ale gdy kto ma szczęście znać cię bliżej, gdy mu danym jest niekiedy czytać w twojej duszy, ogarnia go niebawem zapał szlachetniejszej natury; przepelniony po równi czcią i miłością, ubóstwiał w tobie obraz doskonałości. Czy potępisz własne dzieło? Czegóż można się obawiać po uczuciu tak czystym i pełnym słodyczy?

Miłość moja przeraża cię, wydaje ci się zbyt gwałtowną, bez hamulca! Umiarkuj ją miłością łagodniejszej natury, nie odrzucaj władzy, jaką oddaję ci w ręce. Czyż byłoby dla mnie poświęcenie zbyt ciężkie, gdybym wiedział, iż w twoim sercu znajdę uznanie? Ach! czemuż twoje szczęście nie zależy ode mnie! Jakbym cię pomścił za ciebie samą, czyniąc cię szczęśliwą! Ale tej słodkiej władzy jałowa przyjaźń stworzyć nie jest w stanie: moc swoją czerpie ona jedynie w miłości.

To słowo o lęk cię przyprawia! I czemu? Najtkliwsze przywiązanie, związek serc najściślejszy, wspólna myśl, wspólne szczęście, jak i wspólne troski: i cóż w tym jest, co by

było obcym twojej duszy! A to jest przecież miłość! Przynajmniej miłość taka, jaką ty budzisz i jaką ja odczuwam!

Te prawdy tak jasne i słodkie zarazem, czym mogą cię niepokoić? Jakąż obawą może cię napęlniać kochający człowiek, któremu już miłość sama broni szczęścia niebędącego wraz i twoim? Oto jedyna chęć, jaką oddycham; poświęcę wszystko, aby ją spełnić; wszystko, z wyjątkiem uczucia, które ją natchnęło. Zgódź się podzielić jeno to uczucie, a będziesz nim kierować wedle woli. Ale nie cierpmy dłużej, aby ono miało nas rozdzielać, wówczas gdy powinno łączyć. Jeśli przyjaźń, którą mi ofiarowałaś, nie jest pustym słowem, jeśli, jak mówiłaś wczoraj, jest ona najśłodszym uczuciem, jakie zna twoja dusza, niechaj nas rozsądzi: nie uchylę się od wyroku. Ale skoro ma być sędzią miłości, niechaj zgodzi się jej wysłuchać: odmowa byłaby niesprawiedliwością; przyjaźń zaś nie może być niesprawiedliwa.

Chwila ponownej rozmowy nie przedstawia żadnej trudności: przypadek może znów dostarczyć sposobności po temu; ty sama, pani, mogłabyś oznaczyć porę. Chcę wierzyć, iż jestem w błędzie; czyż nie milej by ci było przekonać mnie niż zwalczać i czy wątpisz o mej powolności? Gdyby ktoś trzeci tak nie w porę nie przerwał rozmowy, byłbym już może całkiem przychylił się do twego zdania; któż wie, jak daleko sięga twa władza?

Mam wyznać, pani? Ta niezwykła potęga, której wydają się w ręce, nie śmiejąc nawet obliczyć jej siły, ten nieprzeparty czar, który cię czyni władczynią moich myśli i czynków, to wszystko przejmuje mnie niekiedy obawą. Kto wie, czy to nie ja powinienem drżeć przed rozmową, o którą tak proszę! Kto wie, azali po niej, spętany własną obietnicą, nie ujrzę się skazanym na to, by pałać miłością niezniszczalną i niewygasłą, nie śmiejąc nawet błagać twej pomocy! Ach, pani, przez litość, nie nadużywaj swej władzy! Ale co mówię! Jeśli ty masz być szczęśliwsza, jeśli ja mam się stać w twych oczach godniejszym ciebie, jakichż cierpień nie zdoła złagodzić myśl tak pełna pociechy! Tak, czuję, że mówić z tobą jeszcze, znaczy dać ci przeciw sobie jeszcze silniejszą broń, znaczy poddać się jeszcze zupełniej twej woli. Łatwiej bronić się przeciw twym listom: są w nich twoje słowa, ale nie ma ciebie, byś mogła użyć im całej potęgi. Mimo to chęć słyszenia cię, pani, każe mi narażać się na to niebezpieczeństwo; będę miał przynajmniej to szczęście, iż uczyniłem dla ciebie wszystko, nawet przeciw sobie samemu, a poświęcenie moje stanie się nowym świadectwem miłości. Zbyt szczęśliw będę, mogąc ci dowieść raz jeszcze, iż jesteś i będziesz zawsze przedmiotem najdroższym memu sercu, droższym nawet niż własne dobro.

*Z zamku \*\*\*, 23 września 17\*\**

## LIST LXXXIV

*Wicebrabia de Valmont do Cecylii Volanges*

Widziała pani, jak wszystko spiknęło się przeciw nam. Przez cały dzień nie miałem sposobu oddania pani listu, który miałem dla niej; nie wiem, czy dziś powiedzie mi się lepiej. Lękam się zaszkodzić pani, rozwijając w tej mierze więcej zapału niż zręczności; nigdy bym sobie nie przebaczył nieuwagi, która stałaby się tak zgubną dla pani, a zarazem, czyniąc cię nieszczęśliwą na całe życie, wtrąciłaby w rozpacz mego najlepszego przyjaciela.

Mimo to wiem, co to niecierpliwość serca; czuję, jak musi ci być przykro znieść opóźnienie jedynej pociechy, jakiej możesz kosztować w tej chwili. Toteż łamiąc sobie głowę nad środkami usunięcia przeszkód, znalazłem sposób, którego wykonanie, przy dobrej woli, nie przedstawiałoby trudności.

Zdaje mi się, o ile zauważyłem, że klucz od pani pokoju, wychodzącego na korytarz, spoczywa zawsze na kominku u mamy. Wszystko byłoby łatwym, pojmuje pani, gdybyśmy mieli ten klucz; otóż gotów jestem postarać się o duplikat. Aby to uzyskać, potrzebowałbym jedynie mieć tamten na jakie dwie godziny. Przypuszczam, że znajdzie pani z łatwością sposobność usunięcia go na czas tak krótki: aby zaś nie spostrzeżono braku, dołączam tutaj inny klucz. Jest dość podobny, aby zamiana nie wydała się, o ile

go ktoś nie spróbuje; to zaś nikomu nie przyjdzie do głowy. Musi tylko pani przywiązać doń niebieską spłowiałą wstążeczkę, taką, jaka jest przy kluczu od twego pokoju.

Trzeba się postarać o ten klucz na jutro lub pojutrze w porze śniadania. Wtedy najłatwiej zdołasz mi go wręczyć. W ten sposób powróci na miejsce przed wieczorem, kiedy mama pani mogłaby nań właśnie zwrócić baczniejszą uwagę. Postaram się oddać go pani w chwili obiadu, jeżeli się nam uda porozumieć.

Wie pani, że kiedy przechodzimy z salonu do jadalni, pani de Rosemonde idzie zawsze na ostatku. Podam jej rękę. Pani postara się zapóźnić przy krosienkach lub też upuści coś na ziemię, tak aby zostać w tyle; wówczas możesz z łatwością wziąć klucz; będę go trzymał za sobą.

Skoro go już będziesz miała, trzeba dla niepoznaki podejść do staruszki z jakimś zapytaniem lub pieśczętą. Gdyby przypadkiem zdarzyło się pani upuścić klucz, proszę nie tracić spokoju: udam, że to ja, odpowiadam za wszystko.

Brak zaufania, jaki pani okazuje matka, oraz postępowanie jej tak surowe usprawiedliwiają najzupełniej ten podstęp wojenny. Zresztą to jedyny sposób, aby dalej odbierać listy i pisywać do Dancenego. Każdy inny środek jest istotnie zbyt niebezpieczny i mógłby oboje zgubić bez ratunku, tak iż nie miałbym odwagi narażać was na to.

Skoro raz staniemy się panami klucza, trzeba będzie jeszcze zabezpieczyć się od skrzywienia drzwi i zamku, ale to już drobnostka. Pod tą samą szafą, pod którą włożyłem wówczas papier, znajdzie pani oliwę i piórko: nasmarujesz starannie zamek i zawiasy. Wystrzegać trzeba się plam, mogłyby panią zdradzić.

Skoro pani przeczyta ten list, proszę, byś chciała odczytać go jeszcze raz i dobrze przemyśleć: najpierw, ponieważ trzeba dobrze wiedzieć to, co się ma dobrze wykonać, następnie, aby się upewnić, czy niczego nie przeoczyłem. Nie mając sposobności posługiwania się takimi sztuczkami dla własnej potrzeby, nie posiadam zbyt wielkiej wprawy: trzeba było mej żywej przyjaźni dla Dancenego i sympatii dla pani, aby mnie nakłonić do takich środków, mimo ich całej zresztą niewinności. Nienawidzę wszystkiego, co trąci podstępem: to nie w moim charakterze. Ale nieszczęścia wasze wzruszyły mnie do tego stopnia, że wszystkiego będę próbował, aby je złagodzić.

Domyśla się pani, że skoro raz droga porozumienia będzie ustalona, o wiele łatwiej będzie mi doprowadzić panią do widzenia się z Dancenym, czego on tak pragnie. Mimo to niech mu pani nic nie donosi: powiększyłabyś jego niecierpliwość, a moment nie jest jeszcze może bliski. Raczej, sądzę, należy ci ją uśmierzać niż zaostrzać. Sądzę, iż pani to zrozumie. Do widzenia, piękna pupilko, bo jesteś wszak moją pupilką? Miej trochę sympatii dla opiekuna, a przede wszystkim, bądź mu we wszystkim posłuszną: tylko dobrze na tym wyjdiesz. Myślę o twym szczęściu i bądź pewna, że znajdę w nim własne.

24 września 17\*\*

## LIST LXXXV

*Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont*

Nareszcie uspokoisz się, wicehrabio, a przede wszystkim oddasz mi sprawiedliwość. Słuchaj i nie mieszaj mnie na przyszłość z innymi kobietami. Doprowadziłam do końca przygodę a Prévaniem! *Do końca!* Rozumiesz dobrze, co to znaczy? Teraz możesz osądzić, kto z nas, on czy ja, będzie miał prawo się chlępić. Opowiadanie nie będzie tak ucieszne jak wykonanie, ale też nie byłoby sprawiedliwie, abyś ty, który ograniczyłeś się jedynie do mędrkowania o tej sprawie, miał wycisnąć z niej tyleż przyjemności, co ja, która nie pożałowałam dla niej i czasu, i trudów.

Mimo to, jeżeli masz jakie wielkie przedsięwzięcie na myśli, jeżeli miałeś ochotę pokusić się o coś, w czym obecność tego groźnego rywala stawała ci w drodze, przybawaj teraz. Zostawia ci wolne pole, przynajmniej na jakiś czas; być może nawet, nie podniesie się nigdy z pod ciosu, który mu zadałam.

Jakiś ty szczęśliwy, doprawdy, że masz taką przyjaciółkę! Jestem niby dobroczynna wróżka. Więdziesz z dala od piękności, która cię przykuła: mówię słowo i oto znowu

jestes przy niej. Chcesz się zemścić na kobiecie, która ci szkodzi: czynię znak w miejscu, gdzie powinieneś ugodzić i wydaję ci ją na łaskę i niełaskę. Zwracasz się wreszcie o pomoc w uprzątnięciu z areny groźnego współzawodnika — i to zostało wysłuchane. W istocie, jeśli nie obrócisz reszty życia na hymny dziękczynne, nie wart jesteś tyłu dobrodziejstw! A teraz wracam do mej przygody: zaczynam od początku.

Spotkanie naznaczone tak głośno przy wyjściu z Opery<sup>116</sup> rozumiano tak, jak się spodziewałam. Prévan zjawił się; kiedy zaś marszałkowa zauważyła uprzejmie, że dumną jest, iż widzi go dwa razy z rzędu na swym przyjęciu, pospieszył odpowiedzieć, że od wtorku pozrywał mnóstwo ułożonych projektów, aby tylko móc w ten sposób rozporządzić wieczorem. To było pod moim adresem. Ponieważ chciałam upewnić się jeszcze, czy w istocie ja byłam prawdziwym przedmiotem tej pochlebnej gorliwości, z rozmysłu postawiłam mego świeżego wielbiciela w konieczności wyboru pomiędzy mną a jego główną namiętnością. Oświadczyłam, iż nie będę grała: istotnie, i on znalazł naprędce wymówkę; pierwszy tryumf odniosłam tedy nad lancknechtem<sup>117</sup>.

Następnie wdałam się w rozmowę z biskupem de\*\*\*; wybrałam go z powodu jego zażyłości z naszym bohaterem, któremu chciałam wszelkimi sposobami ułatwić zbliżenie. Byłam zarazem bardzo rada, iż mam czcigodnego świadka, który w razie potrzeby mógłby zaświadczyć o mym zachowaniu i słowach. Wyrachowanie powiodło mi się w zupełności.

Po chwili obojętnej rozmowy Prévan, ująwszy rychło w ręce ster konwersacji, począł próbować kolejno rozmaitych tonów, aby przekonać się, który przypadnie mi do smaku. Odrzuciłam hasło uczuć, jako nie wierząca w nie z zasady; powściągnęłam poważnym zachowaniem jego żarty, które wydały mi się jak na początek zbyt lekkie: wówczas uderzył w struny powinowactwa dusz i przyjaźni i pod tym to zużytym sztandarem zaczęliśmy utarczkę.

Podano kolację: biskup nie siadał do stołu. Prévan podał mi zatem rękę. Trzeba oddać sprawiedliwość, że podtrzymywał z wielką zręcznością naszą uboczną rozmowę, mimo iż na pozór cały pochłonięty rozmową ogólną. Przy deserze mówiono o nowej sztuce zapowiedzianej na następny poniedziałek w komedii francuskiej. Wyraziłam ubolewanie, że nie mam łoży; Prévan ofiarował swoją: odmówiłam zrazu, jak wypadało. Odpowiedział dość sprytnie, że źle go zrozumiałam; z pewnością nie ośmieliłby się uczynić tej ofiary, mając zaszczyt znać mnie tak niewiele, ale zawiadamia mnie jedynie, że marszałkowa będzie rozporządzała jego łożą. Marszałkowa dała się wciągnąć w ten żart, ja zaś przyjęłam.

Gdyśmy przeszli do salonu, Prévan poprosił, jak możesz sobie wyobrażać, o miejsce w łoży. Marszałkowa, która traktuje go bardzo łaskawie, przyrzekła pod warunkiem, że *będzie grzeczny*; wówczas on, ukląkłszy jak posłuszne dziecko i niby to prosząc o wskazówki, i odwołując się do jej pobłażliwości, znalazł sposobność powiedzenia rzeczy nader pochlebnych i czułych, które z łatwością mogłam wziąć do siebie.

Wkrótce rozstaliśmy się, oboje wielce zadowoleni z wieczoru.

W poniedziałek stawiałam się w Komedii, jak to umówiono. Mimo iż znam twoje zamiłowania literackie, nie umiem ci nic powiedzieć o przedstawieniu jak tylko, że Prévan jest rozkoszny i że sztuka padła... Oto wszystko, co wiem. Żał mi było, iż wieczór dobiega końca, gdyż istotnie spłynął mi bardzo miło; aby go przedłużyć, zaprosiłam marszałkową, by zaszła do mnie na kolację: dzięki temu mogłam gościć u siebie mego miłego kawalera. Poprosił jedynie o czas przebiegnięcia do hrabiny de P\*\*\*, aby się stamtąd wymówić. To nazwisko<sup>118</sup> odświeżyło we mnie cały gniew. Zrozumiałam jasno, że rozpoczną się już zwierzenia; przypomniałam sobie twoje światłe rady i postanowiłam święcie... prowadzić dalej przygodę, pewna, że uda mi się go wyleczyć z niebezpiecznego plotkarstwa.

Będąc pierwszy raz u mnie w domu, gdzie tego wieczora miałam osób bardzo niewiele, Prévan musiał dopełnić obowiązków przepisanych zwyczajem; kiedy zatem siedliśmy do kolacji, pospieszył podać mi rękę. Dopuściłam się tej złośliwości, iż przyjmując jego rękę, wprawiłam moje ramię w nieznaczne drżenie; również idąc do stołu, miałam oczy spuszczone i oddech wyraźnie przyspieszony. Zachowanie moje znamionowało osobę, która przeczuwa porażkę i drży przed zwycięzcą. Zauważył to doskonale, toteż zdracza

<sup>116</sup>Spotkanie naznaczone (...) przy wyjściu z Opery — patrz List LXXIV. [przypis tłumacza]

<sup>117</sup>lancknecht — żołnierz piechoty w XV–XVI w. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>do hrabiny de P\*\*\* (...) To nazwisko odświeżyło we mnie cały gniew (...) — patrz List LXX. [przypis tłumacza]



natychmiast zmienił ton i obejście. Przedtem był dworny, teraz stał się natarczywy. Nie w słowach, gdyż rozmowa obracała się z konieczności w tych samych ramach: ale spojrzenie jego stało się bardziej przyćmione i pieszczotliwe, brzmienie głosu nabrało słodyczy; uśmiech, przedtem tak sprytny, teraz wyrażał upojenie. Ilekroć zwracał się do mnie, dowcip jego, tak błyskotliwy w ogólnej rozmowie, ustępował miejsca tkliwej serdeczności. Pytam cię, wicehrabio: i cóż ty sam mógłbyś zrobić więcej?

Co do mnie, stałam się zamyślona, marząca, do tego stopnia, iż musiało to zwrócić powszechną uwagę; gdy zaś zaczęto mnie tym prześladować, z umysłu broniłam się bardzo niezręcznie, rzucając na Prévana krótkie, lecz trwożliwe i zawstydzone spojrzenia.

Po kolacji, skorzystawszy z czasu, gdy pocziwa marszałkowa opowiadała jedną ze swoich nieuniknionych anegdot, siadłam na otomanie w pozie pełnej tkliwego rozmarzenia. Pojmujesz dobrze, że moje trwożliwe spojrzenia nie śmiały szukać ócz zwyczajcy, ale parę zerknięć przekonało mnie wkrótce, że osiągnęłam zamierzone wrażenie. Trzeba było jeszcze upewnić go, że i ja je podzielam: toteż gdy marszałkowa oznajmiła, iż wraca do domu, wykrzyknęłam miękkiem i tkliwym głosem: „Ach Boże! tak mi dobrze było!”. Mimo to podniosłam się z miejsca, ale zanim rozstałam się z marszałkową, zapytałam ją o zamiary na najbliższe dni, aby pod tym pozorem oznajmić o moich i wtrącić, iż pojutrze wieczór będę w domu. Po czym towarzystwo się rozeszło.

Zaczęłam się zastanawiać. Nie wątpiłam, że Préván zechce skorzystać ze schadzki, jaką mu niejako naznaczyłam; że przyjdzie dość wcześnie, aby mnie zastać samą i przypuści żywy atak: ale byłam również zupełnie pewna na podstawie mej reputacji, że nie będzie się odnosił do mnie zupełnie lekko, tak jak człowiek bodaj trochę wytrawny zachowuje się jedynie wobec awanturnicy lub też zupełnej gąski. Widziałam tedy przed sobą pewne zwycięstwo, jeśli padnie z jego strony słowo *miłość*, a zwłaszcza jeśli pokusi się uzyskać to słowo ode mnie.

Jak to wygodnie mieć do czynienia z wami, *ludźmi zasad!* Czasem zdarzy się, że jakiś nieobliczalny wielbiciel popłata nam szyki nieśmiałością albo też zaskoczy namiętnym wybuchem; jest to rodzaj febrы, która, jak każda inna, ma swoje dreszcze i gorączki i niekiedy zmienia się w objawach. Ale u was, wasza z góry uplanowana taktyka tak łatwa jest do odczytania! Na dzień naprzód wiadomo, jak wszystko się odbędzie: wejście, wygląd, głos, sposób rozmowy, wszystko przewidziałam najdokładniej. Nie będę ci zatem opisywała naszej konwersacji; odtworzysz ją sobie z łatwością. Uważ tylko, że ja, broniąc się na pozór, pomagałam mu z całej mocy. Wszystko tam było: zakłopotanie, aby mu dać czas mówić; błahe argumenty, aby mógł je zwalczać; obawa i nieufność, aby wywołać zakłęcia; i ten nieustannie wracający refren z jego strony: *pragnę od pani tylko jednego słowa*. Dodaj do tego moje milczenie, jak gdyby wytrzymujące go dłużej jedynie po to, aby spotęgować zapalę: wśród tego ręka ujmowana po sto razy, która sto razy się umyka, a nigdy się nie wzbrania. Można by w ten sposób spędzić cały dzień; my spędziliśmy całą śmiertelną godzinę: byłibyśmy jeszcze może tak trwali, gdyby nie turkot karocy wjeżdżającej na dziedziniec. Ta nieszczęśliwa przeszkoda podsyciła oczywiście jeszcze jego nalegania; ja zaś widząc, że nadeszła chwila, w której jestem bezpieczna od zamachu, przygotowawszy się długim westchnieniem, wyrzekłam wreszcie owo cenne słowo. Oznajmiono kogoś i wkrótce salon napełnił się gośćmi.

Préván poprosił, aby mógł przyjść nazajutrz rano. Zgodziłam się, ale chcąc zabezpieczyć sobie obronę, kazałam pokojówce zostać przez cały czas wizyty w sypialnym pokoju, skąd wiesz, że widać wszystko, co się dzieje w gotowni, gdzie go przyjął. Mogąc rozmawiać poufnie, ożywieni oboje jednakim pragnieniem, porozumieliśmy się rychło, ale trzeba się było uwolnić od niepożądanego świadka. Tutaj właśnie czekałam mego Prévana.

Wówczas, kreśląc mu wedle własnej fantazji i potrzeby obraz mego życia domowego, wytłumaczyłam z łatwością, że niepodobieństwem nam będzie znaleźć w tych warunkach chwilę swobody; że mamy przeciw sobie cały szereg zwyczajów przyjętych w mym domu, które się utarły, ponieważ aż do tego dnia w niczym nie czułam się nimi skrepowana. Zarazem kładłam nacisk na niepodobieństwo zmieniania czegokolwiek w mym trybie bez obawy zdradzenia się w oczach służby. Próbował przybrać smutną minę, dąsać się, mówić, że go nie kocham; domyślasz się, jak mnie to wzruszało! Ale chcąc zadać cios ostateczny, przywołałam na pomoc łzy. Dosłownie efekt „*Zairo, ty płaczesz!*” z tragedii

Woltera. Uczucie tryumfu, a co za tym idzie błysk pewności, iż będzie mnie mógł zgubić wedle ochoty, stanęły kochankowi za całą miłość Oromana<sup>119</sup>.

Skoro przeszło wrażenie tego efektu, zaczęliśmy się naradzać. W braku wolnej chwili w dniu, zastanawialiśmy się nad nocą: ale tutaj wysunął się mój szwajcar jako niezwykła przeszkoda; nie godziłam się zaś, aby go próbował przekupić. Préván zwrócił uwagę na drzwiczki od ogrodu: i to przewidziałam, i stworzyłam na poczekaniu psa, który, spokojny i rozkoszny w dzień, stawał się w nocy istnym demonem. Łatwość, z jaką wchodziłam w te wszystkie szczegóły, dodawała śmiałości uwodzicielowi; toteż zaproponował mi sposób ze wszystkich najbardziej śmieszny i bezczelny i na ten właśnie się zgodziłam.

Przed wszystkim oznajmił mi, iż służący jego jest równie pewny jak on sam: co do tego nie zwodził mnie, ponieważ istotnie obaj byli jednako pewni. Następnie podał plan taki. Mam wydać prośbą kolację; on będzie na niej i postara się wyjść sam. Zręczny powiernik zawoła jego powóz, otworzy drzwiczki, on zaś zamiast wsiąść do powozu, ukryje się zręcznie. Woźnica nie spostrzeże się na niczym; tak tedy Préván, wyszedłszy w oczach całego zebrania, mimo to zostanie u mnie. Chodzi tylko o to, czy będzie się mógł dostać do mych pokoi. Wyznaję, że prawdziwym kłopotem było mi znaleźć przeciw temu projektowi dosyć zarzutów tak lichych, aby Préván mógł je odeprzeć zwycięsko: odpowiedział przykładami. Wedle jego twierdzenia jest to sposób najzwyczajniejszy w świecie; on sam posługiwał się nim bardzo często; mówił nawet, że to jego ulubiona metoda, jako przedstawiająca najmniej niebezpieczeństw.

Zniewolona tymi nieodpartymi argumentami przyznałam w prostocie ducha, że istnieją w domu ukryte schodki, wychodzące opodal mego buduaru: tam mógłby się zamknąć i zaczekać bez wielkich obaw, aż służba zostawi mnie samą. Aby nadać więcej prawdopodobieństwa przyzwoleniu, za chwilę znowu zaczęłam się wzdragać, to znów godziłam się pod warunkiem, iż przysięgnie zupełną uległość, przyrzeknie, że będzie rozsądny... co się zowie *rozsądny!*... słowem, godziłam się dowieść mu mojej miłości, ale nie zadowolić jego chęci.

Zapomniałam ci dodać, że odwrót mego galanta miał się odbyć przez furtkę w ogrodzie: chodziło tylko o to, aby doczekać brzasku: Cerber już ani warknie; żywa dusza nie przechodzi ulicą o tej porze, a służba tonie w najgłębszym śnie. Dziwi cię ten stek niedorzeczności? Zapominasz chyba o naszym wzajemnym położeniu. O cóż chodziło więcej? Jemu było najzupełniej na rękę, aby wszystko wyszło na jaw, ja zaś posiadałam dostateczną pewność, że nie wyjdzie. Schadzka miała się odbyć za dwa dni.

Zauważ, proszę, że sprawa już była jak ubita, a jeszcze nikt nie widział Prévána w moim towarzystwie. Spotykam go na kolacji u znajomych; ofiaruje gospodyni domu łóżę na nową sztukę, ja zaś przyjmuję miejsce w łoży. Zapraszam marszałkową na kolację, podczas przedstawienia i wobec Prévána; nie zaprosić i jego jest prawie niepodobieństwem. On przyjmuje i składa mi w dwa dni później obowiązkową wizytę. Zjawia się, to prawda, nazajutrz rano: ale pomijając to, że ranne wizyty przechodzą dość niepostrzeżenie, ode mnie jedynie zależy, aby znaleźć to postąpienie zbyt swobodnym; w istocie, daję mu uczuć, iż zaliczam go do rzędu dalszych znajomości, zapraszając go listownie na ceremonialną kolację. Mogę powiedzieć zupełnie dobrze jak molierowska Anusia: „*Ależ to wszystko!*”.

Za nadejściem nieszczęsnego dnia, dnia, który miał być grobem mojej cnoty i reputacji, wydałam rozporządzenia wiernej Wiktorii. Wykonała je tak, jak to niebawem zobaczysz.

Nadszedł wieczór. Salon był prawie pełny, kiedy oznajmiono Prévána. Przyjęłam go z wyszukaną grzecznością podkreślającą dostatecznie nasz ceremonialny stosunek i posadziłam do gry przy stole marszałkowej, jako osoby, która wprowadziła go niejako do mnie. Wieczór nie przyniósł nic godnego uwagi prócz maleńkiego bileciku, który dyskretny kochanek zdołał mi wręczyć i który spaliłam wedle zwyczaju. Oznajmiał, iż mogę *na niego liczyć*; to zasadnicze słowo przybrane było różnymi zbyt czcnymi, a nieuniknionymi w podobnych okolicznościach słówkami, jak miłość, szczęście, itd.

O północy, skoro partie już się zakończyły, proponowałam jeszcze krótkiego *fàraona*. Miałam podwójny cel: jeden, aby ułatwić wymknięcie się Prévána, drugi zaś, aby

<sup>119</sup>Zaira, Orosman — bohaterowie tragedii *Zaire* Voltaire'a z 1732 r. [przypis edytorski]

zwrócić na niego uwagę, co było nieuniknione, zważywszy jego opinię zapamiętałego gracza. Rada była również, że w potrzebie każdy będzie sobie mógł przypomnieć, że nie było mi pilno zostać samej.

Gra przeciągnęła się dłużej niż przypuszczałam. Diabeł mnie kusił: uległam chęćce, aby pójść pocieszyć niecierpliwego więźnia. Już się zbliżałam ku swej zgubie, kiedy przyszło mi na myśl, że skoro raz ulegnę w zupełności, nie będę miała już mocy utrzymać go w nieposzlakowanym stroju, niezbędnym dla ziszczenia mych zamiarów. Miałam się oprzeć się pokusie. Zawróciłam z drogi i nie bez żalu zajęłam na nowo miejsce przy grze ciągnącej się beznadziejnie długo. Skończyła się nareszcie i wszyscy się rozeszli. Zadzwoeniłam na służę, rozebrałam się bardzo szybko i wyprawiałam je również na spoczynek.

Czy widzisz mnie, wicehrabio, jak w leciutkim stroju, ostrożnym i lęklwym krokiem idę niepewną ręką otworzyć drzwi zwycięzcy? Ujrzał mnie... błyskawica nie jest równie szybka... Cóż ci powiem? Pokonał, pokonał mnie zupełnie, zanim byłabym zdolna wymówić słowo, aby go powstrzymać lub usiłować się bronić. Po tym zwycięstwie Préván chciał przybrać postawę bardziej dogodną i bardziej zastosowaną do okoliczności. Przeklinał swój strój, który — jak mówił — oddala go ode mnie: chciał walczyć równą bronią. Ale moja nadzwyczajna trwożliwość sprzeciwiła się temu zamiarowi, tkliwe zaś pieszczoty, jakimi go obsypałam, nie zostawiły mu czasu po temu. Niebawem Préván zajął się innymi sprawami.

Jego prawa do mego serca zdwoiły się, pretensje zaś odżyły na nowo: ale wówczas ja ozwałam się w te słowa: „Nieprawdaż, aż dotąd, miałbyś pan wcale zabawną anegdotkę do opowiedzenia paniom de P\*\*\* i publiczności; ciekawa jestem, w jaki sposób opowiesz koniec przygody”. To mówiąc, pociągnęłam ze wszystkich sił za dzwonek. Teraz przyszła na mnie kolej działania, a czyn szybszy był od słów. Zaledwie Préván zdołał coś wybąkać, już usłyszałam kroki Wiktorii, zwołującej równocześnie moich ludzi, których zatrzymała z mego rozkazu u siebie. Wówczas rzekłam głośno, przybierając ton obrażonej królowej; „Wyjdź pan i nie pokazuj mi się na oczy”. Równocześnie wpadła do pokoju zgraja służby.

Biedny Préván postradał głowę. Dopatrując się zasadzki w tym, co było w gruncie jedynie żartem, porwał się do szpady. Nie wyszło mu to na dobre: pokojowy, chłopak silny i odważny, chwycił go wpół i powalił na ziemię. Wyznaję, iż miałam chwilę śmiertelnego strachu. Krzyknęłam, aby go wstrzymano, i rozkazałam zostawić śmiałkowi wolne przejście, pilnując jedynie, aby opuścił dom. Usłuchali, ale nie bez szemrania; nie posiadali się z oburzenia, że ktoś śmiał uchybić ich *świętej Pani*. Hurmem odprowadzili do bramy nieszczęsnego kawalera z krzykami i hałasem, jak to było mym życzeniem. Jedna Wiktorii została; zajęłyśmy się przez ten czas doprowadzeniem do porządku łóżka.

Moi ludzie wrócili gromadnie: ja, *cała jeszcze wzruszona*, zapytałam ich, jakim szczęśliwym przypadkiem nie spali jeszcze: Wiktorii opowiedziała, że zaprosiła na kolację dwie przyjaciółki, zabawa przeciągnęła się nieco dłużej, słowem, bajeczkę, którą ułożyłyśmy z góry. Podziękowałam wszystkim i kazałam się oddalić. Równocześnie poleciłam, aby natychmiast posłano po mego lekarza. Zdawało mi się, że byłam w prawie obawiać się następstw *mego śmiertelnego przestřachu*; zarazem był to pewny sposób dania nowinie szybkiego i szerokiego rozgłosu.

Przybiegł w istocie, ubolewał wielce nade mną i zalecił jedynie spokój. Ja, z mej strony, nakazałam jeszcze Wiktorii, aby od wczesnego ranka paplała o zajściu po całym sąsiedztwie.

Wszystko powiodło się tak dobrze, że przed południem jeszcze, zaledwie się obudzila, nabożna sąsiadka była już u wezłowania mego łóżka, aby dowiedzieć się o całej prawdzie i szczegółach strasznej przygody. Byłam zmuszona przez dobrą godzinę współbiadać nad zepsuciem naszych czasów. W chwilę później otrzymałam od marszałkowej bilecik, który dołączam. Wreszcie przed piątą ujrzałam u siebie, ku swemu wielkiemu zdumieniu, pana de \*\*\*. Przybywał, jak oznajmił, przeprosić mnie za to, iż oficer z jego pułku mógł mi uchybić w tak niesłychany sposób<sup>120</sup>. Dowiedział się o tym dopiero na obiedzie u marszałkowej i natychmiast posłał Prévánowi rozkaz udania się do więzienia. Zaniósłam moje wstawiennictwo, ale mi odmówił. Wówczas pomyślałam, że jako

<sup>120</sup>ujrzałam u siebie (...) pana de \*\*\* (...) — komendant korpusu, w którym służył Préván. [przypis tłumacza]

współwinowajczyni powinnam i ja nałożyć sobie jakąś karę, a przynajmniej zachować ścisły areszt. Nakazałam służbie nie przyjmować nikogo i oznajmiać, że jestem cierpiąca.

Temu osamotnieniu zawdzięczasz ten długi list. Równocześnie mam zamiar przesłać pani de Volanges wiadomość, której pewno nie omieszka odczytać publicznie. Poznasz zatem tę historię w świetle, w jakim należy ją rozgłaszać.

Zapomniałam ci dodać, że Belleruche jest wściekły i chce koniecznie bić się z Prévanem. Poczciwy chłopak! Na szczęście mam pod dostatkiem czasu, aby ochłodzić mu głowę. Tymczasem spróbuję skłonić moją własną, znużoną nieludzko długim pisaniem. Do widzenia, wicehrabio.

25 września 17\*\*

## LIST LXXXVI

*Marszałkowa de... do markizy de Merteuil*

*(Bilet dołączony do poprzedzającego listu)*

Mój Boże! Czegóż ja się dowiaduję, droga pani? Czy to możliwe, aby ten chłystek dopuścił się podobnych potworności? W dodatku jeszcze wobec pani! Na co się jest narażoną doprawdy! We własnym domu nie można się czuć bezpieczną! Doprawdy, słysząc o takich rzeczach, trzeba tylko dziękować Bogu, że się jest starą babcią. Ale nie daruję sobie nigdy, że to ja poniekąd wprowadziłam do ciebie niegodziwca. Przyrzekam ci, że jeżeli to, co słyszę, jest prawdą, Prévan nie przestąpi więcej mego progu; mam nadzieję, że wszyscy uczciwi ludzie tak samo się z nim obejdą.

Mówiono mi, że ten wypadek bardzo odbił się na twoim zdrowiu, niespokojna jestem. Zechciej, najdroższa, udzielić mi wiadomości; lub, jeśli nie możesz pisać, prześlij słówko. Tylko jedno słówko dla mego spokoju. Byłabym przybiegła od rana, gdyby nie kąpiele, których doktor nie pozwala mi przerywać; popołudniu zaś muszę być w Wersalu, zawsze w tej samej sprawie mego siostrzeńca. Do widzenia, drogie dziecko, bądź pewna na całe życie mojej szczerzej przyjaźni.

Paryż, 25 września 17\*\*

## LIST LXXXVII

*Markiza de Merteuil do pani de Volanges*

Piszę do ciebie z łóżka, dobra, droga przyjaciółko. Wypadek najprzykrzejszy w świecie, a zarazem najniepodobniejszy do przewidzenia, przyprawił mnie o chorobę z przestrachu i alteracji. Nie, abym sobie miała coś do wyrzucenia; ale zawsze przykro jest niezmiernie dla uczciwej i przestrzegającej względów płci swojej kobiety, ściągać na siebie uwagę publiczną. Nie wiem, co byłabym dała, aby uniknąć tego nieszczęsnego wydarzenia; dziś jeszcze nie wiem, czy nie namyślę się wyjechać na wieś, aby przeczekać, aż wszystko pójdzie w niepamięć. Oto co zaszło:

Spotkałam kiedyś u marszałkowej de \*\*\* niejakiego pana de Prévan, którego znasz z pewnością z nazwiska i którego ja również znałam tylko w ten sposób. Bądź co bądź, spotkawszy go w tym domu, byłam uprawniona, jak mniemam, przypuszczać, że liczy się do przyzwoitego towarzystwa. Posiada dość ujmującą powierzchowność i — o ile mogę sądzić — nie zbywa mu na sprycie. Przypadek zrządził, iż nie mając ochoty do gry, znalazłam się sama jedna w sąsiedztwie biskupa de \*\*\* i tego pana, podczas gdy towarzystwo zajęte było *lancknecht*<sup>121</sup>. Rozmawialiśmy we troje aż do chwili, gdy nas wezwano do

<sup>121</sup>*lancknecht* — tu: hazardowa gra karciana. [przypis edytorski]

stołu. Przy stole rozmowa toczyła się koło nowej sztuki; Préván skorzystał ze sposobności, aby ofiarować swą lożę marszałkowej, która przyjęła tę grzeczność; stanęło na tym, że i ja mam mieć miejsce w loży. Chodziło o ostatni poniedziałek, loża zaś była do Komedii. Ponieważ marszałkowa miała wieszcząć u mnie po teatrze, zaproponowałam temu panu, aby jej towarzyszył; tak się też stało. Na trzeci dzień złożył mi wizytę, która odbyła się wedle przyjętych zwyczajów i bez żadnej nadzwyczajnej oznaki. Następnego dnia znów zjawił się rano, co mi się wydało nieco za swobodne; ale sądziłam, że zamiast mu to okazać chłodnym przyjęciem lepiej mu jakąś grzecznością dać do poznania, że nie jesteś tak zażyły, jak on zdaje się rozumieć. W tym zamiarze posłałam mu tego samego dnia bardzo suche i ceremonialne zaproszenie na kolację, którą dawałam przedwczoraj. Nie odezwał się doń więcej niż cztery razy w ciągu wieczora; on, ze swej strony, zniknął, skoro tylko partia się skończyła. Przyznasz, że jak dotąd nic nie zdawało się zapowiadać romantycznej przygody. Po ukończeniu gry złożono jeszcze wspólnego *faraona*, który przeciągnął się blisko do drugiej, po czym wreszcie znalazłam się w łóżku.

Upłynęło co najmniej dobre pół godziny od czasu, jak moje dziewczęta opuściły sypialnię, kiedy nagle słyszę jakiś szelest. Odchyłam firankę z niemałym przerażeniem i widzę mężczyznę, który wchodzi drzwiami prowadzącymi do buduaru. Wydaje przeraźliwy krzyk i poznając przy świetle nocnej lampki, pana de Préván, który z trudnym do pojęcia zuchwałstwem mówi, abym się nie lękała, że wyjaśni tajemnicę swego postąpienia i błaga, abym nie czyniła hałasu. Mówiąc to, zapala świecę; byłam tak zdrętwiała, że nie mogłam słowa z siebie wydobyć. Jego spokojne i pewne siebie zachowanie potęgowało tylko moje przerażenie. Ale nie wymówił jeszcze dwóch słów, kiedy poznałam, co to za mniemana tajemnica: jedyną odpowiedzią było, jak możesz sobie wyobrazić, zadzwonić na gwałt na ludzi.

Niesłychanie szczęśliwym wydarzeniem, cała służba była zebrana u Wiktorii i jeszcze nikt nie spał. Panna służąca, która wpadając do mnie, słyszała, że coś mówię z wielkim podnieceniem, przelęknęła się i zwołała wszystkich. Możesz pomyśleć sobie, co za skandal! Ludzie byli oburzeni; przez chwilę myślałam, że jeden ze służących zabije Prévána. Wyznaję, że na razie byłam zadowolona z tej silnej odsieczki; kiedy dziś się zastanawiam, wolałabym, aby się zjawiła tylko pokojowa: wystarczyłaby zupełnie, a może uniknęłoby się rozgłosu, który mnie tak martwi.

Tymczasem w ten sposób hałas rozbudził sąsiadów, służba wszystko rozgadała, tak że od wczoraj zdarzenie to jest bajką całego Paryża. Pan de Préván jest w areszcie na rozkaz swego pułkownika, który był na tyle uprzejmy, iż zjawił się, aby, jak mówił, przedłożyć mi swoje przeprosiny. Ten areszt powiększył jeszcze rozgłos sprawy, ale za żadną cenę nie mogłam uzyskać, aby go poniechano. Kto żyw zapisuje się u mych drzwi, które zresztą są szczelnie zamknięte. Od tych kilku osób, które widziałam, wiem, że wszyscy oddają mi sprawiedliwość i że oburzenie na pana de Préván nie ma wprost granic; zasłużył na nie z pewnością, ale to nie zmniejsza przykrości całego wydarzenia.

Co więcej, ten człowiek posiada z pewnością przyjaciół, a jego przyjaciele to muszą być źli ludzie; kto wie, kto może odgadnąć, co wymyślą, aby mi szkodzić? Mój Boże, jakże nieszczęśliwą istotą jest młoda kobieta! Mało dla niej jeszcze uchronić się od obmowy; trzeba, aby umiała nakazać milczenie nawet i potwarzy.

Donieś mi, proszę, co byłabyś uczyniła wówczas i teraz na moim miejscu; słowem wszystko, co o tym myślisz. Od ciebie zawsze sływały na mnie najmiłsze słowa pociechy i najzbawienniejsze rady; od ciebie również najchętniej je przyjmuję.

Do widzenia, droga i dobra przyjaciółko; znasz uczucia, jakie wiążą mnie do ciebie na zawsze, ściskam twoją miłą dziewczynkę.

*Paryż, 29 września 17\*\**

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/laclos-niebezpieczne-zwiazki-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Choderlos de Laclos, *Niebezpieczne związki*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wydanie drugie, przejrane przez tłómacza, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1922.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Szczęsny.

ISBN 978-83-288-0486-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.